WÓRCZOŚĆ

ESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

LISTOPAD • 1947 • ZESZYT 11

TWÓRCZOŚĆ

LISTOPAD

1947

TREŚĆ ZESZYTU

I. KIRILENKO: SZUMIĄ CHŁODNE FALE
ALEKSY TOŁSTOJ: ĆWIERĆ WIEKU LITERATURY RADZIECKIEJ
KAZIMIERA GROTTOWA: MUZEUM HISTORII I REKONSTRUKCJI MOSKWY
GEORG LUKACS: W POSZUKIWANIU OBYWATELA
CZESŁAW ZGORZELSKI: MICKIEWICZ W ROSJI
STEFAN FLUKOWSKI: „KWADRYGA", LUCJAN SZENWALD I JEGO POEZJA
WANDA ŻÓŁKIEWSKA: KAPEL
SPRAWOZDANIA

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

ROK III ZESZYT 11

LISTOPAD 1947

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 34023

I. KIRILENKO

SZUMIĄ CHŁODNE FALE...

Poniżej drukowany tekst ukazał się najpierw w czasopiśmie „Dalnij Wostok" (r. 1946, zesz. 5—6) i został przedrukowany w miesięczniku „Znamia" (r. 1947, zesz. 8), skąd też pochodzi nasze tłumaczenie. Autorem tekstu jest I. Kirilenko, radiotelegrafista statku handlowego „Kola" z Władywostoku, zatopionego przez „nieznaną" — tekst nasz objaśnia skąd cudzysłów — łódź podwodną na Morzu Japońskim w lutym 1943 roku. Zapiski Kirilenki stanowiące świetny dokument ludzki, tłumaczący znakomicie psychikę i ofiarność człowieka radzieckiego, podajemy z niewielkimi skrótami.

W końcu stycznia „Kola"[1] skończył wyładunek i zaczął przygotowania do nowej podróży. Zanosiło się na niezwykły rejs. W lutym Cieśnina La Perouse'a, przez którą statki radzieckie wychodzą na Morze Ochockie, a potem na ocean, zamarza na długi czas. O tej porze nawet łamacze lodów nie mogą tędy się przebić. W czasie pokoju statki radzieckie wychodziły w zimie na ocean przez Cieśninę Tsugaru. Teraz była ona zamknięta przez Japończyków. Małożby się więc czekać do maja, aż Cieśnina La Perouse'a uwolni się od lodów?

W tym właśnie czasie Armia Czerwona zadała ciężki cios faszystowskim wojskom pod Stalingradem. Niemcy przetoczyli się za Don. Frontom naszym, jak nigdy, potrzebna była broń i amunicja, a miastom i fabrykom w kraju — surowce, maszyny i żywność. W takim okresie było rzeczą niemożliwą trzymać przez kilka miesięcy flotę transportową na uwięzi, w bezczynności, i czekać na pomyślne warunki żeglugi.

Postanowiono skierować transporty wedle marszruty Władywostok — Cieśnina Koreańska — ocean Spokojny, i — obszedłszy Japonię od południa i wschodu — wyjść na nasze zwykłe północne szlaki komunikacyjne i stąd dojść do Kamczatki. Wprawdzie przy takim wariancie rejs przedłużał się o 8—10 dni, ale nie było innego wyjścia.

„Kola" — transportowiec o pojemności ponad 6.000 ton — podobnie jak każdy inny statek energicznie począł się przygotowywać do tej podróży.

[1] Nazwa statku pochodzi od półwyspu Kola. (Przyp. tłum.).

Zrobiono zapas smarów i słodkiej wody, zaopatrzono się w żywność n cztery miesiące. W czasie wojny uzbraja się również statki handlowe — „Kola miał pięciocalowe działo dalekonośne i osiem dwudziestomilimetrowych działe automatycznych.

Ukończono wszystkie przygotowania, pozostało jeszcze tylko przyjąć n pokład pasażerów. Było ich dziewięciu: dwóch mężczyzn, trzy kobiety, pi tnastoletni chłopak i troje dzieci w wieku od pięciu do siedmiu lat. Szybk załatwiono formalności związane z odejściem statku i 13 lutego o czwartej ran wyruszył on na morze.

Był jasny, mroźny poranek, kiedy „Kola" mijał wyspę Skryplewa. Z łatwo ścią przebijając się przez cienki lód Cieśniny Piotra Wielkiego wziął kurs n południowy-zachód, pozostawiając daleko na lewo wyspę Askold. W miar tego jak rozjaśniał się wschód, coraz wyraźniej rysowały się na horyzonc kontury skalistych brzegów Przymorza Amurskiego. Wkrótce pola lodowe po zostały za rufą. Rozbijając ostatnie pływające kry zbliżał się „Kola" do czyst powierzchni morza. Wschodzące słońce oślepiającym blaskiem zalało cały prze stwór morza i oddalające się zarysy naszych wybrzeży.

Podróż zaczęła się wspaniale. Pogoda była cudowna. Na wszystkich twa rzach jaśniał uśmiech. Śniadanie na statku przeszło wesoło również i dla tego, że radio przyniosło radosne wieści z frontu. Nasze waleczne wojsk podchodziły pod Charków.

Nastrój dorosłych udzielił się dzieciom, które szczebiotały na pokładzie be przerwy. Wesołe i dźwięczne ich głosy kazały chwilami zapominać, że je steśmy na okręcie, na morzu, i że wyszliśmy na odpowiedzialny rejs.

Wśród dzieci zwracał szczególną uwagę pięcioletni Alik Gierasimow. Na wiek rozwinięty, ciekawy i żywy, nie dawał matce spokoju: biegał po pokła dzie, podchodził do burty tak blisko, że mógł wpaść do wody. Przerażon matka chwytała go, dawała kilka klapsów, groziła, że zamknie go w kajuci Alik złościł się i płakał, a jego wrzaski docierały aż do mnie, do kabiny ra diowej.

Podobało mi się to żywe dziecko. Wyszedłem z kabiny. Alik rzucił się d mnie i od razu zasypał mnie pytaniami:

— Wujku, a dlaczego na parowcu nie widać żagli? A dlaczego mewy lataj nad morzem, a nie latają nad domami? A dlaczego...

Musiałem odpowiadać na jego niezliczone „dlaczego". Podszedł Misza — chłopak piętnastoletni. Zauważył widoczną przed nami, na kursie, sylwet statku i również zapytał:

— Wujku, czy to nie japoński parowiec?

W głosie jego dźwięczała równocześnie trwoga i żądza „niezwykłych przy gód". Ale przed nami szedł nasz parowiec „Wschód", który wypłynął z Wła dywostoku przed „Kolą". Miał on mniejszą szybkość, dopędzaliśmy go i d wieczora powinniśmy go mieć już za rufą.

Miszę interesowało wiele rzeczy: jak jest zbudowany statek, co będzie z ludź mi, jeśli statek zacznie nagle tonąć. Żeby zaspokoić ciekawość chłopaka opro

wadziłem go po statku, pokazałem mu szalupy ratunkowe i duże żaglowe łodzie ratunkowe.

Szalupy urządzone są tak, że trudno im zatonąć. Burta od wewnątrz wyłożona jest lekkimi bańkami z nierdzewiejącego metalu, najczęściej z ocynkowanego żelaza. Bańki te wypełnione są roślinnym puchem, który trudno wchłania wodę. Metalowa łódka zaopatrzona w takie bańki nie tonie nawet wtedy, kiedy napełni się wodą po brzegi. Pod siedzeniami łódki są baki, gdzie składa się żywność: suchary, herbatniki, mleko w tabletkach, czekoladę w zalutowanych puszkach, prasowany pudding i apteczkę.

W czasie wojny dodatkowo zaopatrywano statki jeszcze w tratwy (przynajmniej cztery na statek towarowy); jest to kilka pustych beczek żelaznych okratowanych deskami. W środku znajdują się metalowe skrzynki z takim samym zapasem żywności co w łodzi. Naładowane tratwy zawiesza się na linach w ten sposób, że przy zanurzeniu się statku pod wodę zwalniają się automatycznie i wypływają na powierzchnię.

Na parowcu „Kola" były dwie duże żaglowe łodzie ratunkowe, na trzydzieści osób każda, dwie szalupy mające po dwadzieścia miejsc, cztery tratwy, na których mogło się zmieścić po osiem osób i dwie tratwy jednoosobowe.

Dzień wstawał cichy i jasny. Nastrój był podniosły. Obiad przeszedł hucznie. Ale poza ogólną wesołością, poza żartami, wyczuwało się naprężenie — szczególnie u marynarzy, którzy lepiej niż inni zdawali sobie sprawę, że w takiej podróży wszystko może się zdarzyć.

Rozmawiałem z Miszą, kiedy podszedł do mnie nasz lekarz okrętowy Konstanty Aleksandrowicz Kowalewski.

— Wiecie, ile już lat tu nie byłem — zapytał i sam odpowiedział: — Osiem lat! Przez ostatnie lata ciągle Kamczatka, Półwysep Czukocki, Arktyda i Przymorze Amurskie... A jednak zawsze przyjemnie jest znaleźć się w miejscach, gdzie się kiedyś, dawno bywało!

— Konstanty Aleksandrowiczu, za kilka lat powiecie to samo o Kamczatce, Półwyspie Czukockim i Arktydzie, nie tylko zresztą o ich brzegach, ale także o wodach Morza Berynga czy Morza Ochockiego. „Jakże — powiecie — stęskniłem się za tym morzem, jakie tu piękne niebo". Mimo że stale spowite niskimi chmurami... Mnie samemu bardziej podoba się Morze Berynga z jego sztormami i chmurnym niebem niż, powiedzmy, Śródziemne.

— Macie rację, Iwanie Charitonowiczu, ja też tak sądzę...

Doktor Kowalewski miał już około sześćdziesięciu lat. Ale trzymał się dobrze, chód miał jak młody porucznik. W ciągu dwudziestu pięciu lat żeglugi na okrętach bywał na wielu morzach i oceanach. W okrętowych załogach lubiano go za jego takt i życzliwość. Na każdym okręcie, na którym Kowalewski płynął, zawsze był on przewodniczącym okrętowego związku marynarzy. Los zrządził, że i ja służyłem z nim już na czwartym parowcu.

Byłem młodszy od Kowalewskiego, ale i ja już pływałem na handlowych statkach dwadzieścia lat; byłem również i na lodach Arktydy i w strefach tro-

pikalnych, widziałem i Atlantyk, i Ocean Indyjski, i wiele innych mórz. Przez ten czas, podobnie zresztą jak i wszyscy moi koledzy, niejeden raz byłem w ciężkiej sytuacji. A starzy marynarze rozumieją się od jednego spojrzenia. Tak było i teraz. Wyczuwałem, że chce mi powiedzieć coś jeszcze. I rzeczywiście:

— Jak myślicie — zapytał cicho, przysunąwszy się blisko do mnie — może nam być gorąco tym razem? Czy niebezpieczeństwo jest wielkie?

Wzruszyłem ramionami.

— Któż może na to odpowiedzieć? Ale nie jest znowu tak strasznie. Przecież nasz okręt nie jest wojenny — każdy to widzi...

Nie zdążyłem skończyć; z kabiny radiowej zawołała mnie Luda, nasza praktykantka. Nie wiedziała jak włączyć aparat. Szybko pomogłem jej uporać się z tym głupstwem, ale — nie wiem sam dlaczego — rad byłem w duszy, że przerwało to naszą rozmowę. Wprawdzie okręt nie jest wojenny, ale czas — wojenny!

Nagle na całym statku — w oddziale maszynowym, w kotłowni, na korytarzach, na stanowiskach bojowych i w kajutach mieszkalnych — zadźwięczały przeraźliwie dzwonki. Usłyszałem tupot nóg na pokładzie i wyglądnąłem z kabiny. Ze wszystkich stron biegli marynarze i zajmowali swe miejsca w takim porządku, jakiego wymagał nasz okrętowy regulamin na wypadek alarmu bojowego. Za kilka sekund rozległa się z górnego pokładu komenda kapitana „Koli", Lwa Michajłowicza Sołowiewa:

— Peryskop za lewą burtą... Odległość — jedna mila... Z lewej burty — ognia!

W tej samej chwili ryknęły dwudziestomilimetrowe działa, posławszy we wskazanym kierunku huraganową serię pocisków.

— Wstrzymać ogień! Przygotować do zrzucenia bomby głębinowe!

Strzelanina umilkła, ale natychmiast rozległy się sygnały alarmu pożarowego i nowa komenda:

— Pożar w okolicy komory nr 3?

Do komory nr 3 rzucił się okrętowy oddział przeciwpożarowy. Zaledwie dopadł celu, rozległy się sygnały alarmu wodnego.

— Wyrwa w lewej burcie, w komorze nr 2.

Teraz oddział przeznaczony do zabezpieczania wyrw rzucił się do wskazanego miejsca, zabierając się do założenia uszczelnienia. W tym momencie rozległ się ostatni alarm — ratunkowy. I wszyscy, którzy byli na posterunkach bojowych, przy likwidacji pożaru, przy zabezpieczaniu wyrw, zgodnie z regulaminem runęli na pokład, ku łodziom ratunkowym. Jedni uwijali się około wielokrążków, inni odczepiali szalupy, zdejmowali pokrowce. Można już było spuszczać szalupy na wodę, gdy nagle odwołano alarm. Był to na razie tylko alarm próbny. Całą załogę ustawiono na pokładzie. Sprawdzono jeszcze raz w jakim stopniu ludzie opanowali swoje funkcje na wypadek alarmu. Nielicznym, którzy nie dość dobrze jeszcze znali swoje obowiązki, kazano wykuć „na blaszkę" regulamin. Każdy okręt i każdy człowiek na nim musi być przygoto-

wany na wszelki wypadek. Któż mógłby zapewnić, że następny alarm nie będzie prawdziwy, bojowy?...

Pasażerowie patrzyli na wszystko co się działo szeroko rozwartymi oczyma. Nie brali oni udziału w pracy wedle regulaminu. Pokazano im tylko szalupy, w których należy zająć miejsca w razie alarmu ratunkowego.

Normalne życie na okręcie szło dalej swoim trybem. Ktoś usadowiwszy się na luce środkowej komory czytał książkę, ktoś inny obserwował pracę marynarzy. Dzieci bawiły się na pokładzie. Misza z wyraźną zazdrością patrzył jak nasi najmłodsi marynarze, Ganziuk i Utkin, jego rówieśnicy, pomagali w pracy dorosłym marynarzom. A chłopcy — czując, że uwaga zwrócona jest na nich — poruszali się z powagą „wilków morskich". Ich pogardliwe spojrzenia mówiły: „Oto, jak pracujemy na morzu! Umiemy to od dawna — dla nas to zabawka!..."

Minęła noc; ranek dnia następnego był cichy i słoneczny. Pełne morze igrało lekkimi falami, co jeszcze nie zdążyły się uspokoić po niewielkim wietrze. Słońce przelewało się w nich oślepiającym blaskiem. Nie odczuwało się już mocnego, lutowego mrozu, który jeszcze wczoraj szczypał w nos i uszy, ale powietrze było dosyć rześkie.

Nastawiłem odbiornik i przy śniadaniu słuchaliśmy wszyscy komunikatu Radzieckiego Biura Informacyjnego. Wojska nasze w dalszym ciągu zacieśniały pierścień wokół nieprzyjaciela. Charków był w przededniu oswobodzenia. Okrętowi „wojenni obserwatorzy" zadecydowali przy herbacie: „Jutro Charków będzie znowu nasz".

„Kola" szedł zgodnie ze swoim kursem. Około południa na horyzoncie zaczęły się wyłaniać niejasne zarysy ziemi. Zbliżaliśmy się do Cieśniny Koreańskiej. O godzinie pierwszej w południe ukazał się niewielki statek idący w poprzek naszego kursu. Szedł pod japońską wojenną banderą — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa był to statek patrolowy. Z daleka jeszcze okręt ten dawał z masztu jakieś sygnały chorągiewką; na daleki dystans nie można ich było zrozumieć. Lecz gdyśmy się zbliżyli na odległość półtorej mili, rozeznaliśmy sygnał: „Wstrzymać bieg".

Kapitan Sołowiew wyszedł na mostek i przestawił rączkę telegrafu maszynowego na „stop". „Kola" szedł jeszcze naprzód prawem inercji, ale stale zwalniał biegu i w końcu stanął w dryf. Teraz widać było wyraźnie jak na sterówce japońskiego patrolowca dwaj marynarze obracali karabin maszynowy dużego kalibru, kierując go na nasz mostek, to znowu na pokład. U nas, na „Koli", nie zdjęto nawet pokrowców z dział.

Jeszcze zanim się przybliżyliśmy, kapitan wezwał mnie do siebie i umówiliśmy się, że zamknę się od wewnątrz w radiowej kabinie i — jeśli Japończycy zjawią się na pokładzie „Koli" — w żadnym wypadku nie otworzę. Wiedzieliśmy, że Japończycy dostawszy się na pokład przede wszystkim rzucają się do kabiny radiowej, żeby pozbawić statek łączności ze światem zewnętrznym. Zamknąwszy się miałem utrzymywać radiostację w pogotowiu i, kiedy ka-

pitan da mi z mostku przez tubę odpowiedni rozkaz, natychmiast przesłać go dalej do Władywostoku. Trzeba było sygnalizować dopóty, dopóki Władywostok się nie odezwie, albo dopóki Japończycy — jeśli do tego dojdzie — nie wyłamią drzwi od kabiny.

Ale ci jakoś nie zdecydowali się wejść na pokład. Za to podszedłszy zupełnie blisko zaczęli badanie międzynarodowym systemem sygnałów chorągiewkowych i zwolna obchodzili wokół „Kolę", żeby móc sfotografować go ze wszystkich stron. Z mostku „Koli" odpowiadano również przy pomocy chorągiewek. Wywiązała się następująca rozmowa:

Japończycy: Nazwa statku?

My: „Kola".

Japończycy: Skąd płyniecie?

My: Z Władywostoku.

Japończycy: Dokąd jedziecie?

My: Na Kamczatkę.

Japończycy: Jaki ładunek macie na pokładzie?

My: Nie mamy ładunku.

Japończycy: Wątpię.

My: Nie mamy ładunku.

Japończycy: Czy macie pasażerów? Ilu?

My: 9 pasażerów.

Japończycy: Jaką szybkość ma statek?

My: Dwanaście węzłów.

Japończycy: Podajcie swój sygnał. Do kogo należy statek?... W którym roku zbudowany? Gdzie go zbudowano?...

Pytania zaczęły się powtarzać. Jedno było jasne: Japończycy przeciągają i zadając niepotrzebne pytania usiłują zatrzymać „Kolę" na dłużej. Wtedy nasz kapitan przez tubę rozkazał mi przesłać nieszyfrowany tekst do Władywostoku: „Zatrzymany przez japoński statek patrolujący w Cieśninie Koreańskiej". Moja radiostacja od razu zaczęła działać i Władywostok odpowiedział, że radiodepeszę przyjęto.

Radiotelegrafista japońskiego patrolowca bez wątpienia śledził naszą króciutką rozmowę z Władywostokiem. To zrobiło swoje — na maszcie japońskiego statku pojawił się zaraz sygnał: „Jedźcie dalej w swoją drogę". Wesoło zadzwonił telefon do oddziału maszynowego i, zawiadomiwszy Władywostok o dalszym przebiegu, pełną parą ruszyliśmy naprzód. Daleko przed nami z lewej strony ukazały się niewielkie wyspy Goto, które mieliśmy obejść, zgodnie z kursem „Koli" wyznaczonym na mapie.

Mapę tę otrzymaliśmy przed wyjazdem z Władywostoku i na niej na japońskich wodach wyznaczony był dla nas wąski pas, z którego nie wolno było zboczyć. Pozostała przestrzeń, pokratkowana, była dla nas zamknięta — widocznie zgodnie z umową z rządem japońskim, który nie życzył sobie, by radzieckie statki przepływały blisko brzegów Japonii.

W czasach pokojowych statki nie płyną takimi szlakami. Zwykle ścina się

maksymalnie kąty obrotów, żeby skrócić drogę. W tym wypadku trzeba się było liczyć z szczególnymi warunkami rejsu i ściśle trzymać się instrukcji. Tak np. statek nasz musiał płynąć przez wody japońskie z zapalonymi światłami, podczas gdy japońskie statki szły bez świateł. Wkrótce przekonaliśmy się, że już ta jedna okoliczność była brzemienna w skutki.

Zaczęła się skomplikowana żegluga po obcych wodach. Kapitan dał rozkaz wystawić wzmocnioną wartę, która miała śledzić horyzont. Nocną porą prócz zwykłej warty pełniło służbę trzech obserwatorów. W razie jakiejś niespodzianki mogli oni wszyscy razem zająć cztery stanowiska bojowe jeszcze przed sygnałem alarmu bojowego.

Wieczorem, przy kolacji w kajucie ogólnej, żartowano z kulomiotu, którym Japończycy próbowali nastraszyć załogę „Koli".

— Szkoda, że na naszych działach były pokrowce — powiedział trzeci mechanik Staryczewski. — Samuraje może myśleli, że zamiast dział mamy rekwizyty.

— Nie szkodzi, na razie wystarczyła nasza radiostacja, żeby ich nauczyć rozumu — odezwał się ktoś inny.

Jednakże tym razem nie wdawano się w długie rozhowory i zjadłszy kolację rozeszli się ludzie do kajut, żeby lepiej odpocząć przed wartą. Wyczuwało się naprężoną atmosferę obcych wód terytorialnych. Wszyscy jakby zwarli się w sobie i wyglądali poważniej niż zwykle.

W nocy pogoda się zmieniła. Całe niebo pokryło się chmurami, zerwał się rześki wiatr. Chmury wisiały nisko nad wodą. Horyzont skrył się w oddali, podobnej do rzedniejącej mgły. Morze miało wygląd nieprzyjazny. Ale radio właśnie podało, że Charków oswobodzony! Chmurny ranek od razu stał się radosny i świąteczny. Najbardziej dumni byli nasi „wojenni obserwatorzy" — ich prognoza okazała się słuszna.

Skoro tylko Lewitan, speaker moskiewski, skończył czytać komunikat Radzieckiego Biura Informacyjnego, ludzie raz po raz zaczęli zaglądać do mej kabiny radiowej, w nadziei, że dowiedzą się nowych szczegółów. Nie mniej od wszystkich wzruszony zaklinałem się każdemu uroczyście, że umożliwię transmisję moskiewskich audycyj i dziś, i jutro wieczorem, i o północy — o godz. 23.30 czasu miejscowego.

Chmury zgęszczały się coraz bardziej nad „Kolą", padał drobny, zimny deszcz. Kiedy na chwilę wiatr rozpędził mgłę, można było dojrzeć na lewo niejasne zarysy Kiusziu — trzeciej podług wielkości wyspy Japonii. Potem ukazała się wyspa Jakuszima i wkrótce znikła we mgle. Ostatniej wyspy — Tanegaszima — w ogóle nie zobaczyliśmy. Jeszcze prawie dobę mieliśmy płynąć według kursu, który na mapie był wyznaczony jako wąski pas z kratkami po obu stronach. 16 lutego „Kola" wreszcie wypłynął na ocean. Wyspy pozostały daleko za rufą.

Przez cały ten pochmurny dzień dął północny wiatr, ocean dyszał martwą falą. Horyzont jak poprzednio przesłonięty był ciemnoszarym całunem, a ciężkie fale zupełnie blisko burty zlewały się ze strzępami obłoków. Od czasu do

czasu wiatr podchwytywał małe bryzgi i przerzucał je przez pokład pozostawiając na nim mokre ślady. Załoga statku pośpiesznie napełniała słodką wodą beczułki i rozmieszczała je po szalupach, starając się uporać z tym jeszcze za dnia.

Z nastaniem nocy pokłady „Koli" opustoszały. Załoga i pasażerowie rozeszli się do kajut. Na okręcie ucichło — wielu ludzi już spało, tylko wartownicy czuwali na swych stanowiskach.

Niebo przejaśniło się nieco. Wiatr rozpędzał tu i ówdzie chmury i wtedy ukazywały się gwiazdy. Jednakże w dalszym ciągu nie można było dojrzeć horyzontu i było rzeczą niemożliwą oznaczyć współrzędne geograficzne kierując się podług gwiazd. Tak czy owak kapitan Sołowiew postanowił o północy zmienić kierunek ze wschodu na wschód-północ-wschód.

Nie zdążył jednak zrealizować swojego zamiaru. W pół godziny przed północą — o godz. 23.30 — od strony lewej burty „Koli", w okolicy grot-masztu, dał się słyszeć ogłuszający wybuch. Wstrząsnął on całym statkiem; w górę wzbił się słup ognia. Maszyna okrętowa pracowała jeszcze przez pewien czas, ale wyczuwało się, że stało się coś niezwykłego, coś nieodwołalnego.

Wewnętrzna awaria na okręcie była wykluczona. Pole minowe? Przecież w odległości dwustu mil od brzegu, na głębokości dochodzącej do ośmiu tysięcy metrów nie mogło być pól minowych. Pozostawało tylko jedno przypuszczenie: „Kola" został storpedowany przez łódź podwodną. Wróg wybrał porę z rozmysłem. Statek został zaatakowany w chwili, kiedy — przy największym nawet skupieniu uwagi na powierzchni morza — nocna mgła i drobne fale nie pozwalały dojrzeć nie tylko peryskopu łodzi, lecz nawet torpedowej salwy i ślizgających się torped.

Poza tym łódź podwodna wykorzystała światła „Koli", znak jego neutralności. Storpedowała ona „Kolę" jak na ćwiczeniach, bez ryzyka, że może nie trafić, wymierzywszy salwę torpedową dokładnie podług świateł. Wybuch rozerwał lewą burtę, część górnego pokładu — od burty do grot-masztu — i zniszczył mieszkalną część lewej burty. Oszołomieni ludzie wygrzebawszy się spod zwalonych koi i grodzi rzucili się na górny pokład. Nie widząc w ciemnościach przerwanego pokładu, niektórzy wpadli w powstałą wyrwę. Inni obszedłszy to miejsce przez prawą burtę szczęśliwie dostali się na dolny pokład. Ale w kilka sekund później nastąpił drugi wybuch między fok-masztem i mostkiem. Torpeda trafiła w zbiornik z paliwem, co jeszcze wzmogło siłę wybuchu — tak że okręt dosłownie podskoczył. Zgasły światła, na pokład posypały się odłamki.

Tym razem wybuch zniszczył znaczną część pokładu koło drugiej komory i kajuty pod mostkiem, przeciął wszystkie komory. Śmiertelnie raniony okręt przechylił się pod kątem 25° na lewą burtę i szybko zaczął pogrążać się w wodę. Siła wybuchu wyrzuciła na górny pokład smary. Przechylony pokład stał się śliski. W nieprzejrzanych ciemnościach ludzie padali i staczali się na burtę.

Niektórzy z pasażerów rzucali się za burtę usiłując odpłynąć jak najdalej od tonącego okrętu, inni próbowali dostać się na dolny pokład, w pobliże łodzi ratunkowych.

Podczas tych tragicznych sekund usiłowałem się przedostać przez zalany smarem pokład na swoje miejsce — do kabiny radiowej, od której, nieprzewidzianym zbiegiem okoliczności, znalazłem się dosyć daleko.

Przed samym wybuchem spokojnie robiłem przygotowania do transmisji z Moskwy, zgodnie z obietnicą daną współtowarzyszom. Była godzina 23.25, kiedy nagle stwierdziłem, że przewodnik transformatora, używanego do transmisji, jest zerwany. Do rozpoczęcia audycji ostatnich wiadomości pozostawało pięć minut — można było jeszcze zdążyć zalutować zerwany przewód. Radio, które było łącznikiem między nami i ojczyzną, było teraz jedyną pociechą dla marynarzy i pasażerów. Chciałem za wszelką cenę umożliwić transmisję teraz, kiedy na frontach rozgrywały się takie radosne wydarzenia.

Pobiegłem do drugiego mechanika po elektryczny palnik, który z rana wziął ode mnie. W kajucie u niego siedział starszy mechanik Motin i zastępca drugiego mechanika Krawcow. Wszyscy trzej dyskutowali nad czymś odnoszącym się do działania głównej turbiny. Przeprosiwszy ich pośpiesznie, przerwałem im i poprosiłem o palnik. Drugi mechanik wyciągnął go ze skrzynki i podał mi. W tym samym momencie nastąpił wybuch i silny wstrząs okrętu. Bez słowa wypadliśmy z kajuty.

„Torpeda" — mignął domysł. Pobiegłem korytarzem w kierunku drzwi wiodących na górny pokład. Zaledwie otworzyłem — huknął drugi, jeszcze silniejszy wybuch. Uderzył we mnie silny podmuch, ale utrzymałem się na nogach i przestąpiłem wysoki próg korytarza.

Pośliznąwszy się na smarze upadłem i dosłownie jak na sankach zjechałem po pokładzie do burty. Tylko dlatego nie stoczyłem się do wody, że zaczepiłem nogami o ściek pokładowy; zerwałem się i trzymając się relingów popełzłem prawie po przechylonym, śliskim pokładzie. Czułem jak okręt pogrąża się szybko i za wszelką cenę chciałem się dostać do kabiny radiowej, aby nadać sygnał o storpedowaniu, zanim jeszcze okręt zatonie.

Tuż koło kabiny natknąłem się na praktykantkę Ludę. Poznała mnie w ciemnościach:

— Iwanie Charitonowiczu! Co się stało? Co mam robić?

— Proszę iść do łodzi! Szybciej! — krzyknąłem nie zatrzymując się.

Namacawszy w końcu drzwi kabiny pchnąłem je z siłą, wpadłem do środka, jedną ręką włączyłem światło awaryjne — drugą nacisnąłem guzik awaryjnej radiostacji. Lampy radiostacji nadawczej rozgrzewają się przez 20 sekund — dopiero wtedy można zacząć pracę przy pomocy klucza. Chwyciłem dziennik radiowy i szybko ołówkiem wpisałem:

„23.30. Jesteśmy storpedowani, szybko toniemy".

Pozostało jeszcze dziesięć sekund... Trzymałem rękę na kluczu: „Jest godzina wpół do dwunastej, kto mnie usłyszy o tej porze? Wszyscy radiotelegrafiści nadają teraz transmisję z Moskwy... Ale trzeba telegrafować. O 120 mil

za nami idzie „Wschód", a za nim inne statki. Żeby chociaż usłyszał, żeby tylko nie wpadł w taką przygodę, jak my...".

W ciągu tych sekund nie zdążyłem pomyśleć o ratowaniu siebie — po prostu zapomniałem o tym. „Najważniejsze, żeby zdążyć uprzedzić nasze statki, które idą tym samym kursem, i nie dopuścić do ich zguby. Ale jakie są nasze współrzędne geograficzne? Nie ma żadnych danych. Czy podać je w przybliżeniu? A jeśli się omylę i poplączę, jeśli zamiast ostrzec wprowadzę swoich w błąd? Nie, nie będę nadawać niczego od siebie" — postanowiłem wyobrażając sobie, że ci co odbiorą sygnały „Koli" będą mieli dość czasu, by obliczyć jego położenie geograficzne, skoro zawiadomią o naszych sygnałach Władywostok i dowiedzą się stamtąd, kiedy wyruszyliśmy. Przecież wszystkie okręty mają ten sam kurs.

Aparat zahuczał, lampy zaczęły działać. Ręka dosłownie sama zaczęła nadawać:

„Mówi „Kola". Jesteśmy storpedowani... szybko toniemy... jesteśmy storpedowani... szybko toniemy...".

Powtórzyłem to sześć razy i nagle usłyszałem szum wody, która wdarła się do korytarza. Spełniłem swój obowiązek. Odruchowo chwyciłem ze stołu lampkę elektryczną i wsunąwszy ją do kieszeni pospieszyłem do wyjścia. W korytarzu woda sięgała już do kolan. Zwiększył się kąt nachylenia i przy świetle przebijającym z kabiny radiowej było widać, że woda tuż, tuż zaleje środkową komorę. Wydostałem się na pokład. Z trudem wspiąłem się tam po drabinie i ujrzałem, że wali się na bok komin naszego parowca; w tym samym momencie uczułem, że znalazłem się w zimnych objęciach wody. Coś mnie stuknęło po głowie, zapadły nieprzeniknione ciemności, i zaparło mi oddech. Potem coś szarpnęło mnie z taką siłą, że uczułem silny ból w kolanach.

W następnym momencie przestałem doznawać ucisku i zrozumiałem, że szybko podnoszę się na powierzchnię morza razem z pustym bakiem, który wyrwał się z kotłowni czy też z ładowni. Chcąc uchwycić bodaj łyk powietrza odetchnąłem pełną piersią. Ale wraz z powietrzem dostał się do ust smar i słona woda. Smar nie pozwalał nic zobaczyć; szczypał w oczy jak mydło. Nie mogłem głęboko odetchnąć i chociaż dobrze umiałem pływać, znowu powoli poszedłem na dno. Przemogłem ból, otworzyłem oczy i ujrzałem przed sobą zieloną ścianę wody. Ściana ta była ciemna, to znowu zmieniała barwę na jasnozieloną. Dostałem się w gigantyczny lej powstały na miejscu zatopionego okrętu.

Nie poruszając się, żeby zaoszczędzić resztki powietrza w płucach, wypatrywałem, w którym miejscu ściana wody jest jaśniejsza. Brakło mi już sił, by dłużej wstrzymywać oddech. Ale oto wielka plama świetlna przepłynęła obok. Zrobiłem dwa silne ruchy rąk w tym kierunku i poczułem, że znowu wynurzyłem się na powierzchnię i że głowę mi owionął wiatr. Ale usta i podbródek pozostały w wodzie. Poruszyłem jeszcze raz rękami — nie pomogło. Odetchnąłem spazmatycznie i znów wciągnąłem wodę ze smarem. W tej samej chwili ktoś z tyłu pociągnął mnie za kurtkę do dołu i począł mi się gramolić na plecy.

Ktoś tonął jak i ja i uczepił się mnie instynktownie. Próbowałem się wyrwać, wypłynąć troszkę wyżej, ale brakło mi sił i po raz trzeci pogrążyłem się w wodę. Czułem, że to po raz ostatni, że więcej już nie wypłynę.

Ale nagle pod odrzuconą ręką wyczułem deskę, która zjawiła się gdzieś z boku. Oparłem się na niej gwałtownie, podciągnąłem bliżej i ostatnim wysiłkiem wydostałem się po piersi na powierzchnię. Odrzuciwszy głowę nareszcie odetchnąłem powietrzem i krzyknąłem człowiekowi, co się mnie czepiał:

— Puść! Chwyć się deski!

Ten ktoś posłusznie uwolnił mnie i przywarł do deski. Oglądnąłem się i ujrzałem Wierę Guńko, naszą praktykantkę-palacza, dziewczynę siedemnastoletnią. Dyszała chrapliwie i z trudem już tylko utrzymywała się na wodzie. Oglądnąłem się znowu, usiłując dojrzeć cokolwiek, co mogłoby nam pomóc.

— O, tam na przodzie coś czernieje — powiedziałem. — Nie rozpaczajcie, Wiero. Popłyniemy tam powoli. W razie czego — ja wam pomogę...

Popłynęliśmy jedno obok drugiego; ja z rozmysłu pozostawałem nieco w tyle, by nie tracić towarzyszki z oczu. Za trzy minuty byliśmy koło łódki, płynącej do góry kilem... Na niej, rozpłaszczywszy się, leżało już dwoje ludzi; ktoś trzeci usiłował również tam się dostać. Ale przy każdym jego oparciu się łódka uciekała pod wodę, a on staczał się z jej dna pokrytego smarem.

— Trzymajcie się łódki, Wiero, i odpocznijcie — poradziłem. — Nie ma sensu wyłazić na odwróconą łódź, oszczędzajcie siły...

Szalupa ta, którą później poznaliśmy, była jednym z nielicznych sprzętów ratunkowych, które nie zatonęły wraz z „Kolą". Wróg storpedował „Kolę" znienacka i w dodatku jeszcze wśród ciemnej nocy. W takiej sytuacji załoga, będąc nawet w stałym pogotowiu, nie mogła spuścić na wodę wszystkich szalup, tratw i dużych łodzi żaglowych.

Nie zważając na szybkie pogrążanie się „Koli" marynarze do ostatnich sekund pracowali w nieprzejrzanych ciemnościach około łodzi, usiłując je spuścić. Ale łodzi prawej burty w żaden sposób nie można było zepchnąć za burtę. Całym swym ciężarem ciągnęły w kierunku kąta nachylenia, na lewą burtę, co groziło zmiażdżeniem wszystkich, którzy znajdowali się na pokładzie. Zabiegi około nich byłyby daremną stratą drogiego czasu. Trzeba je było z powrotem umocować. Ale nie udało się również spuścić łodzi lewej burty — z powodu nachylenia statku utknęły one w blokach kilowych. W ostatniej chwili bosman Matwiejew chwycił nóż i nie widząc nic w ciemnościach zaczął przecinać wszystkie liny w łodziach, jakie mu tylko wpadły pod rękę. Pracował jak opętany dopóki nie poczuł, że jest już w wodzie razem z pozostałymi towarzyszami.

„Kola" był już pod wodą. Wśród mnóstwa drewnianych odłamków i desek wypłynęły na powierzchnię, odwrócone do góry kilem, jedna szalupa i jedna duża żaglowa łódź ratunkowa. Oczywiście te same, które oderżnął bosman. Wypłynęły na wierzch również dwie tratwy ocalałe z wybuchu. Bańki z pu-

chem z taką siłą wyniosły szalupę na wierzch, że dosłownie wyskoczyła na powierzchnię wody. To samo było z dużą łodzią żaglową.

Ale wtedy nie wiedzieliśmy nic ani o dużej łodzi żaglowej, ani o tratwach. Uczepiwszy się łodzi staraliśmy się odetchnąć. Z daleka, z ciemności, to z jednej to z drugiej strony dolatywały krzyki:

— Ratu-u-unku! Pomo-o-o-cy!

— Pomo-o-o-cy-y-y! Ratu-u-unku-u-u!

Krzyki te rozdzierały duszę. Zimno się robiło na myśl, że obok giną towarzysze, bliscy. Po tej nocy nigdy już nie ujrzałem ani wesołego Alika, ani ciekawego Miszy, ani naszego lekarza okrętowego Kowalewskiego, ani wielu innych...

Trzymałem się łodzi i bezradnie rozglądałem się naokoło, starając się obliczyć odległość, z jakiej słychać było krzyki. Cóż jednak można było zrobić, jak im pomóc — na oceanie, nocą, wśród wzburzonych fal?

— Ano, postawmy łódź do dołu kilem — krzyknąłem do tych, co siedzieli na dnie. — Może być, że uda się wyczerpać wodę!...

Ci już sami zeskoczyli na dół i chwycili za burtę. Ale odwrócić ciężką, śliską od smaru łódź — było ponad nasze siły. Wytężaliśmy wszystkie siły — ale usiłowania nasze były daremne.

— Hej, kto tam. Płyńcie tu! — usłyszeliśmy nagle zupełnie blisko kilka głosów.

Odwróciliśmy się wszyscy i zauważyliśmy niedaleko od nas coś ciemnego.

— Przecież to tratwa! — domyśliłem się i zaproponowałem reszcie, by jak najszybciej podpłynąć ku niej razem z odwróconą szalupą.

Wierze Guńko poradziliśmy płynąć tam wprost, nie czekając na nas. Ale była ona jeszcze tak osłabiona, że nie mogła się zdecydować, by płynąć sama. Popchnąłem dziewczynę naprzód i — sam pozostając nieco w tyle — popłynąłem razem z nią. Kiedy zobaczyłem, że dostała się szczęśliwie do tratwy, zawróciłem i pomogłem holować łódź.

Na tratwie był kapitan Sołowiew i kilku ludzi z załogi. Pomogli nam przywiązać łódź do tratwy. Teraz, kiedy był punkt oparcia, udało się przewrócić ją na kil. Ale była pełna wody. W pośpiechu, gorączkowo wyczerpywaliśmy wodę rękami — innych środków nie było. Czas wlókł się nieznośnie, fale zalewały łódkę i cała nasza praca szła na marne. Staraliśmy się osłonić burtę własnymi ciałami i znowu czerpaliśmy. W końcu, kiedy udało się opróżnić łódkę do połowy, odkryliśmy przywiązane do belki wiadro. Praca poszła raźniej. Przez ten czas rozrzuciło ginących ludzi tak daleko, że nie było ich ni widać, ni słychać. Gdzie ich teraz szukać? Kapitan Sołowiew przeszedł z tratwy do szalupy, żeby kierować akcją ratunkową. Odwiązano linę łączącą tratwę z szalupą.

Nagle ostry snop światła przeszył ciemność i padł obok nas na powierzchnię oceanu. Obejrzeliśmy się i zamarli ze zdumienia i gniewu. Nie dalej niż w odległości 0.2 mili morskiej, zapaliwszy białe światło na wzniosówce, wypłynęła łódź podwodna — tak blisko, że widoczna była nawet siatka ochronna na

lampie u pułapu. Pozostała na powierzchni przynajmniej przez dziesięć minut obmacując światłem tratwę i ludzi nurzających się w wodzie. Wróg lubował się efektem swej zbrodni. Potem łódź znikła w niewiadomym kierunku — równie nieoczekiwanie jak się pojawiła.

Byliśmy wściekli. Za łodzią posypał się grad przekleństw. Ludzie krzyczeli i wyciągali z wody zaciśnięte pięści, jakby chcieli rzucić się w pościg za wrogiem.

Gdy tylko przeszło wzburzenie, zauważyliśmy, że nie ma naszej szalupy. Kiedy wypłynęła wroga łódź podwodna, wszyscy zapomnieli o szalupie odwiązanej od tratwy i prawdopodobnie wiatr zniósł ją dalej. Wpatrując się w ciemność wołaliśmy:

— Hej, wy tam na łodzi! Wiosłujcie tutaj!

Nikt nie odpowiadał. I nagle z boku usłyszeliśmy nowe głosy. Okazało się, że niedaleko od nas niosło na falach drugą tratwę. Podawano stamtąd sygnał. Wspólnymi siłami udało się przyciągnąć i związać obie tratwy. W ciemnościach trudno było zrobić coś innego. Po naradzie postanowiliśmy czekać do rana, żeby się rozejrzeć przy dziennym świetle, zorientować w sytuacji i wtedy znowu próbować połączyć się z szalupą.

Na naszej tratwie w zagłębieniu ktoś rozwiązywał pakiet z kocami, owinięty w kawałek brezentu. Koców było tylko sześć, nie starczyło dla wszystkich. Nikt nie chciał wziąć kawałka brezentu, wielkości metra kwadratowego, więc ja narzuciłem go na plecy. Dawno już szczękałem zębami — robocza kurtka z lekkiej papierowej tkaniny, przemoknięta i przylepiona do ciała, nie osłaniała od wiatru, który nad ranem zaczął przybierać na sile.

Fale coraz częściej zalewały tratwy, nie dając ludziom obeschnąć. Robiło się coraz widniej. Zagłębienie pośrodku tratwy miało czworokątny, podłużny kształt; wszyscy, spuściwszy tam nogi, jak do studni, usiedli ciasno przywarłszy jeden do drugiego i okrywszy plecy kocami. Koce też były mokre i przepojone smarem, ale przecież choć troszkę grzały. Dla mnie nie starczyło miejsca w zagłębieniu, usadowiłem się więc z boku.

Pochmurny ranek 17 lutego ukazał smutny obraz. Wiatr siódmego stopnia podniósł dość wysoką falę. Woda ciągle zalewała przeciążone tratwy. Na naszej było 11 osób, na drugiej — 9. Tratwy to rozchodziły się daleko, to znowu zderzały się i znowu się rozchodziły, dopóki naciągnięta lina znów ich nie zbliżyła. Obok pływały szczątki belek i deski. A wokół jak daleko sięgnąć okiem podnosiły się spienione bałwany.

Pierwszym uczuciem, jakie ogarnęło nas na widok pustynnego oceanu, był dojmujący ból po stracie towarzyszy, co zginęli, po stracie okrętu, co zatonął. Nigdzie nie było ani śladu szalupy, która zniknęła w nocy. Teraz mogliśmy liczyć już tylko na siebie.

Na tratwach, na oceanie, o 200 mil od brzegu... Było bardzo mało szans na uratowanie się. Tratwa ratunkowa nie popłynie sama, nie da się też nią pokierować — może całymi miesiącami unosić się na oceanie. Fale, wiatr, prądy

mogą ją pędzić nie do brzegu, ale w odwrotnym kierunku, mogą ją oddala od ziemi, zamiast ją do niej przybliżyć. Wszyscy bez wyjątku zdawali sob dobrze z tego sprawę.

Na naszej tratwie siedzieli wszyscy w koło, spuściwszy nogi w zagłębieni Zgiąwszy się, żeby było cieplej, tak że głowy ich się stykały, ludzie z cich rozmawiali. Znajdowali się wśród nas tacy, którzy byli już na storpedowa nych okrętach. Wspominali o tym szczegółowo, opowiadali w jaki sposób s uratowali. Ale kiedy rozmowa zeszła na obecną sytuację, wszyscy jakoś ni zręcznie umilkli. Ludzie jak gdyby omijali coś w swoich myślach, nie chcie więcej mówić.

Nie popadali jednak w rozpacz: każdego podtrzymywało ramię siedzącego obok towarzysza. Trzeba było czymś zająć ludzi, żeby rozbić ich niewesołe myśl

— Rozglądnijmy się po morzu, towarzysze! — wmieszałem się do ogóln rozmowy. — Może być, że jesteśmy w pobliżu trasy, którą chodzą statki p tych wodach. I nas oczywiście zabiorą za dwa, trzy dni. Trzeba tylko uzbro się w cierpliwość i przetrzymać te trzy dni!

Dlaczego właśnie trzy dni — tego sam nie potrafiłbym wyjaśnić. Chciałe wierzyć, że tak będzie. I wszyscy chętnie mi uwierzyli, nie żądając wyjaśnie

— Ano, poszukajcie w tratwie — co my tam mamy. Czas by już pokrzep się trochę, bo aż mdli od tego smaru.

Poruszyli się wszyscy obszukując zagłębienie tratwy i wyciągając stamtą ocalałe pakiety z żywnością. Znaleziono czekoladę w tabliczkach i suchar w małych paczkach lekko nasiąknięte słoną wodą. Nie trzeba było ogran czać porcji; wszyscy jak gdyby się umówili, zjedli po kilka sucharków i po ka wałeczku czekolady. Zawołaliśmy na drugą tratwę zachęcając, by poszła z naszym przykładem. Tam suchary zupełnie nie zamokły i druga tratwa chętn podzieliła się z nami.

Po jedzeniu wszyscy wyprostowali się odrzuciwszy koce i teraz z ciek wością przyglądali się sobie nawzajem. Wielu z nas można było poznać jedyn po głosie. Każdy od stóp do głów umazany był smarem. Cztery dziewczęt z naszej tratwy były podobne jedna do drugiej jak siostry z cygańskiego obozu ich włosy wyglądały, jak gdyby nigdy nie widziały grzebienia. Jedna tylk bufetowa Motia wyróżniała się nieco od innych: lewy policzek i skroń był spuchnięte i krwawa szrama na skroni pokryta była grubą warstwą smar niczym wielkim plastrem.

Podczas wybuchu i w czasie tonięcia statku wielu z nas odniosło rany i kon tuzje, ale nikt się nie skarżył. Maszynista Mielnikow wstał, rozprostował nog zdrętwiałe od długiego siedzenia i z brzegu tratwy z natężeniem wpatrywa się jednym okiem w horyzont. Drugie jego oko napłynęło krwią i wyglądał jak jedna ogromna spuchlizna. Ja miałem na twarzy ranę szarpaną, któr biegła od lewego oka do skroni. Morska woda i smar paliły ją nieznośn i szczypały. Oko i skroń opuchły, — nie pozwalało mi to patrzeć. Odczuwałem głuchy ból w kolanach obu nóg po pamiętnym ciosie otrzymanym w leju. Al czy teraz można było zwracać na to uwagę?

Wszyscy myśleli o czym innym. Przez cały dzień raz po raz stawał ktoś na tratwie i wytężonym wzrokiem badał powierzchnię oceanu. Tuż przed wieczorem usłyszeliśmy okrzyk:

— Dym na horyzoncie!

Wszyscy zerwali się od razu. Rzeczywiście w oddali, w przerwie pomiędzy ciemnymi chmurami, odbijał się wyraźnie słupek dymu. Wił się w górę i ścielił się jak czarny obłok. Widoczność horyzontu z tratwy jest nie większa niż sześć do siedmiu mil. Więc, co za tym idzie, gdzieś w odległości ośmiu do dziesięciu mil szedł statek. Za kwadrans widać było już dwa słupki wzbijające się z dwóch statków, potem opodal ukazał się trzeci dymek.

Z początku wszystkie trzy dymki się zbliżały. Ukazały się też wierzchołki masztów okrętowych, ale wkrótce zniknęły, a dymki zaczęły się oddalać. Okręty poszły swoim kursem, nie zauważywszy naszych tratw. W wieczornym zmierzchu szybko zatarły się na niebie ostatnie ślady dymu.

— Nic nie szkodzi, dzieci! Skoro chodzą tędy okręty, to znaczy, że jeśli nie te, to inne mogą podejść bliżej, zauważą nas i zabiorą — powiedział ktoś z przekonaniem.

Nadchodziła druga noc na dryfujących tratwach. Ale fakt ten nie mógł już zepsuć nastroju u ludzi, którym zaświtała nadzieja ocalenia. Możliwe, że tylko ja jeden jej nie podzielałem. Przeciwnie, wątpliwości moje jeszcze wzrosły. Zrozumiałem, że prąd znosi tratwę od trasy i może się zdarzyć, że jutro nie ujrzymy już nawet dymu przepływających statków. Ale milczałem...

Ciężkie fale w ciągu dalszym nie skąpiły nam kąpieli. Chwilami zakrywały nas z głową. Ludzie zachłystywali się, parskali i cichli do następnego zalewu. Nad ranem stały się one częstsze i przeciążona tratwa coraz głębiej zanurzała się w wodę. Trzy razy zmywało mnie z niej, a o świcie zmyło po raz czwarty; nie mogłem już o własnych siłach znowu się na nią wydostać: zgrabiałe ręce nie mogły utrzymać jej brzegu. Na szczęście druga tratwa była wówczas blisko i z niej pomogli mi dostać się na miejsce.

Ranek osiemnastego lutego wydawał się jakiś jaśniejszy, chociaż wiatr był jeszcze silniejszy. Zdawało się, że rozpędzi chmury pokrywające całe niebo. Wzeszło słońce i poprzez szarą przesłonę oświetliło na krótko niewielką połać oceanu. Zalśnił on jakimś mętnym blaskiem i znowu pociemniał.

Fale podnosiły się coraz większe i z jeszcze większą furią zwaliły się na tratwę. Wcisnąłem obcas buta pomiędzy ogrodzenie tratwy i wsunąłem rękę w szczelinę. Nie zmywało mnie już wprawdzie, ale oblewało całego tak, że za każdym razem musiałem się nałykać słonej wody. Odpluwając i broniąc się z trwogą myślałem, że sztorm może przybrać na sile i wtedy wielu z nas nie utrzyma się na tratwie. Ze zmęczenia czy też z nieprzespanej nocy głowa ciążyła mi jak ołów. Patrzyłem na mętne, przelewające się wodne wały, a w głowie natrętnie powtarzały się ciągle te same słowa pieśni:

Szumią chłodne fale
Biją o morski brzeg...

Starałem się oderwać, zapomnieć o nich, a one ciągle i ciągle wynurzały się z pamięci. Brzeg — gdzież on jest, ten brzeg, w której stronie go szukać? I czy w ogóle jeszcze kiedyś będzie można nań wstąpić?

Po południu słońce więcej już się nie pokazało. Po niebie pełzły czarne chmury, wiatr dął coraz silniejszy, prawdziwy sztorm. Wszystko to działało przygnębiająco na ludzi. Dostali suchary, ale jakoś nikomu nie chciało się jeść. Od czasu do czasu jeszcze ktoś się podnosił i obserwował horyzont, by potem znów w milczeniu usiąść na swym miejscu.

I nagle po południu rozległ się znowu przejęty głos:

— Statek! O tam!

Przez chwilę wszyscy z niedowierzaniem wpatrywali się we wskazanym kierunku, ale wkrótce kilka głosów zawołało równocześnie:

— Tak jest, statek!... Zdaje się, że żaglowiec... I to dość duży.

W istocie daleko od tratw wynurzał się z fal jakiś obcy statek żaglowy. Jakim kursem on idzie — oto pytanie, które pochłaniało wszystkich. Z zagłębienia tratwy wyciągnięto specjalną żółtą flagę i przywiązawszy ją do deski zaczęto nią wymachiwać: żółty kolor jest łatwiej widoczny na morzu.

Zagadkowy statek ciągle się nurzał w falach. Co to był za żaglowiec? Coś podobnego widziałem w muzeum na starych obrazach japońskch. Możliwe, że Japończykom zabrakło statków i wychodzą na połów ryb na takich „arkach"?

— Żaglowiec idzie w naszą stronę — zawołał jeden z naszych obserwatorów.

Rzeczywiście statek zawrócił w kierunku tratw, z trudem pokonując fale (nie jest rzeczą łatwą kierować żaglowcem w czasie sztormu), i powoli zaczął zbliżać się ku nam.

— Podobny jest do starego japońskiego żaglowca — wypowiedziałem głośno swą myśl. — Trzeba być przygotowanym nawet na takie spotkanie. Samuraje lubią się przyczepiać, włazić za skórę, zawracać głowę... Najlepiej będzie, jeśli każdy z nas będzie mniej odpowiadał na ich pytania, a bardziej milczał o tym, co wie. Najważniejsze — trzymać się razem.

Wszyscy chętnie przyjęli tę radę, przekazali ją na drugą tratwę i niecierpliwie oczekiwali zbliżenia się owego nieznanego statku.

Nie był to ani japoński statek, ani też żaglowiec. Czekała nas niezwykła radość. Do tratw zbliżała się łódź żaglowa z „Koli". Nie wiedzieliśmy nic o jej ocaleniu. Łódź ta była na chodzie dzięki staraniom pierwszego oficera Wiktora Michajłowicza Aleksiejewa.

Łódź Aleksiejewa nieoczekiwanie połączyła się z naszą szalupą, która zginęła nam z oczu owej pierwszej nocy po katastrofie. W szalupie prócz kapitana Sołowiewa byli jeszcze: starszy mechanik Motin, trzeci mechanik Staryczewski i maszynista Władykin.

[Szalupę przywiązano za pomocą liny do łodzi. Kapitan objął komendę na

łodzi, Aleksiejew na szalupie. Zdecydowano płynąć na południe w nadziei odnalezienia zaginionych tratw, albo też dotarcia do małych wysepek, najbliższego lądu stałego. Tak wyglądała — w naszym streszczeniu — historia zbliżającej się łodzi].

Właśnie w chwili, kiedyśmy się na naszych tratwach przygotowywali na spotkanie z obcym japońskim statkiem — ujrzeliśmy nagle jak on dosłownie rozpadł się na dwie części. Jedna część, mniejsza, zaczęła szybko przybliżać się ku nam. I za jakieś dziesięć minut ujrzeliśmy naszą zaginioną szalupę. Z nieprawdopodobnym wysiłkiem, walcząc z wiatrem i falą, zbliżała się ciągle ku nam. Oswobodzona duża łódź żaglowa stała się bardziej posłuszna sterowi i też zdążała w kierunku tratw. Wszyscy porwali się ze swoich miejsc.

— Hurra! Hurra! — rozległo się nad oceanem. — Witajcie drodzy nasi! Cześć ludziom radzieckim, którzy nawet wśród oceanu odnajdą jeden drugiego!

Zaledwie szalupa podeszła bliżej tratwy, ludzie zaczęli wskakiwać do niej. Duża łódź, która się też zbliżyła, również przyjmowała ich na swój pokład. Kilku z nas pozostało na tratwach, by przeładować przez szalupę żywność przy pomocy transportera. Starszy mechanik Motin przynaglał, żeby skończyć ładowanie; fale z siłą uderzały szalupę o tratwę. Starałem się niczego nie zostawić, ale usłyszawszy, że oddano linę, wskoczyłem do szalupy. Z niej podano już linę holowniczą na dużą łódź. Tam podniesiono żagle — i nasze tratwy, opustoszałe, skryły się w zmierzchu wśród fal. A myśmy szli na spotkanie nocy i sztormowi — w poszukiwaniu ziemi.

Na pokładzie dużej łodzi było teraz dwadzieścia osób, w szalupie jedenaście. Przytuliwszy się ciasno jeden do drugiego, nie zważając na zimno, usnęliśmy po raz pierwszy od dwóch dni. Tylko chory Aleksiejew czuł się źle. Podniósł futrzany kołnierz kanadyjki i leżał skurczony na dnie szalupy, nie mógł usnąć.

Ta noc i dzień następny — 19 lutego — przeszły względnie spokojnie. Chociaż rzucało nami silnie, północny wiatr dął równomiernie i łódź szła pod pełnym żaglem. Tak pewnie trzymała się na falach, tak dobrze ciągnęła szalupę na holownicy, że nikt nie miał wątpliwości: za dzień — dwa osiągniemy brzeg, tym bardziej, że komendę na łodzi sprawował sam kapitan i prowadził ją wedle kompasu.

Ranek 20 lutego był dla nas nieprzychylny. Niskie chmury dosłownie dławiły ocean swym ciężarem. Po południu wiatr zaczął się wzmagać, zwiększając wyraźnie falę.

Na łodzi prawie zupełnie skrócono żagiel. Trzeba było napoić ludzi w szalupie słodką wodą. Obie łodzie zbliżyły się, ale fale nie pozwalały podejść zupełnie blisko: starając się uniknąć zderzenia się burt, trzymały się w odległości kilku metrów. Przecież jednak udało się dostać po kubku słodkiej wody dla dwóch chorych. Innym obiecano wodę, gdy tylko się trochę pogoda poprawi. Mimo że starano się utrzymać w odległości, przecież uderzyło szalupą o dużą łódź tak, że trzeba się było szybko rozminąć.

Wiatr ciągle się wzmagał, dochodził już do dziesiątego stopnia. Pod wieczór niebo zaczęło się przejaśniać. Wąski sierp księżyca migał raz po raz wśród szybko pędzących obłoków. Na fali pojawiły się niedobre, białe, szumiące grzebienie. Coraz częściej szarpało liną łączącą szalupę z łodzią, coraz trudniej było kierować szalupą. Łódź lekko wspinała się na fale i równie lekko spadała pomiędzy nie. W takich momentach lina naprężała się jak struna i ciągnęła szalupę wprost w falę. Stałem przy sterze i z trudem poruszając wiosłem usiłowałem ustawić szalupę dziobem bardziej na prawo od kursu. Trzeba było tak robić za każdym razem, kiedy lina zwalniała, żeby przy jej nowym natężeniu osłabić szarpnięcie przy zwrocie szalupy.

Czułem, że siły moje słabną, ale nikt w tej chwili nie mógł mnie zmienić. Kierować sterem podczas takiej pogody jest trudno, a na szalupie nie było doświadczonych sterników. Aleksiejew był chory. Bosman Matwiejew, który nie zdążył jeszcze zupełnie przyjść do siebie po blokadzie Leningradu, również leżał na dnie szalupy zupełnie wycieńczony. Starszy mechanik Motin wywichnął rękę jeszcze w noc katastrofy. Pozostali nigdy nie mieli do czynienia ze sterem. Jeden tylko trzeci mechanik Staryczewski dzielił ze mną ten obowiązek. Ale on stał przy sterze przez dzień i miał mnie zmienić dopiero około północy, do której pozostawały jeszcze dobre dwie godziny.

Wytężając ostatki sił robiłem wiosłem i dręczony niedobrym przeczuciem myślałem z trwogą: „Żeby tylko lina wytrzymała, żeby tylko nie pękła. Źle będzie, jeśli pęknie i to jeszcze w nocy!"

W morskiej praktyce zwykle tak bywa: w większości wypadków nieszczęście zwala się nocą.

Trzeba wytrzymać do rana; wtedy fala jest bardziej widoczna i łatwiej kierować szalupą. Cała powierzchnia oceanu pokryła się już białą pianą. Zamazywały się kontury fal. Wpatrywałem się w ciemność starając się zorientować w kierunku i sile fal, żeby na czas odwrócić szalupę i osłabić szarpnięcie liny. Wściekły wiatr wzbijał istne potoki bryzg i boleśnie siekał nimi twarz.

Wokół bieliła się wszystko pokrywająca piana, fale z rykiem waliły się na łódkę, podrzucały ją i zalewały spienionymi bałwanami. Przed nami to pojawiając się, to zapadając w przepaść migała niejasno sylweta łodzi, szarpiąc z siłą linę. I nagle — gwałtowny krótki zryw, szalupa podskoczyła i stoczyła się po zboczu olbrzymiej fali.

Lina nie wytrzymała sztormu i pękła. Zobaczyłem to pierwszy. Krzyknąłem ze wszystkich sił:

— Żagiel w dół!

— Żagiel w dóóół — krzyknęło kilka głosów w ślad za łodzią.

Ale ona raz tylko jeszcze mignęła między falami i znikła w nocnej ćmie. Na domiar złego księżyc zaszedł. Wszyscy w szalupie zerwali się na równe nogi, i chorzy, i zdrowi.

Nikt z nas wówczas jeszcze nie wiedział, że widzieliśmy po raz ostatni i łódź, i wszystkich, którzy się w niej znajdowali.

Nie można było sterować szalupą pozbawioną oparcia — stała się ona igraszką fal. Miotało nią na wszystkie strony i zalewało zewsząd. Ktoś chwycił wiosła próbując ustawić ją przeciw fali, ale żadna ludzka siła nie mogła się przeciwstawić rozszalałemu żywiołowi. Olbrzymie bałwany oceaniczne gwałtownie podrzucały łódeczkę na grzebień, i równie gwałtownie zrzucały ją w dół, gdzie czekał już na nią następny wał wodny. Ludzie nie mogli nadążyć z wyczerpywaniem wody, która jedną wielką ścianą waliła się przez burtę.

Z trudem przekrzykując ryk wiatru Aleksiejew kazał zarzucić pływającą kotwicę. Kiedy to zrobiono, szalupa stanęła w dryf dzióbem do fali i mniej ją zalewało. Ale nieszczęścia waliły się jedno po drugim. Za kilka minut okazało się, że szalupa stoi znowu burtą do fali i w żaden sposób nie można jej było odwrócić. Ktoś wpadł na pomysł, żeby wyciągnąć linę pływającej kotwicy i wtedy okazało się, że kotwica jest zerwana. Widocznie w pośpiechu i w ciemności za słabo zaciągnięto węzeł; rozwiązał się i szalupa została pozbawiona swej najbardziej nieodzownej części — pływającej kotwicy, która w krytycznym momencie mogła się okazać kotwicą ratunku.

W jednym mgnieniu oka wysoka fala nakryła nas tak, że skąpała nas wszystkich od stóp do głów. Rzuciliśmy się czerpać wodę wiadrem, bańką blaszaną, w końcu po prostu rękami. Rozwścieczony ocean mógł w każdej chwili skończyć z nami — garstką skazańców. Ale — widziałem to z twarzy towarzyszy i po sobie — nikt z nas, nawet młodziutki Ganziuk, nie doznawał strachu. Podtrzymywało nas poczucie wspólnoty, nieodzowność zgodnych, wspólnych wysiłków w obliczu zagłady. Uczucie to znają dobrze marynarze, szczególnie radzieccy. Ludzie nasi przywykli cenić kolektyw i wierzyć w jego siłę.

Stojąc przy wiośle sterowym zauważyłem, że leżący na dnie szalupy Aleksiejew daje mi znak ręką. Pochyliłem się nad nim i usłyszałem jego rwący się głos:

— Proponuję rozbić jedną blaszankę, rozprostować ją, przebić dziurkę w środku, przepuścić przez nią linę i zarzucić jako pływającą kotwicę: przetrzymamy do jutra, a potem zobaczymy...

Aleksiejew mówił z trudem; ostatnie zdanie ledwie można było zrozumieć. Głośno powtórzyłem jego polecenie. Marynarz Morozow chwyciwszy siekierę pierwszy rzucił się do najbliższej bańki. Rozbicie jej okazało się pożyteczne jeszcze z innego względu. Podczas gdy jedni sporządzali kotwicę, inni rozdzielali pomiędzy siebie wyciągnięty z rozbitej bańki wypełniający ją puch dziko rosnącej błotnej trawy. Puchem tym napełnia się kamizelki ratunkowe, bańki w szalupach itd. Teraz ludzie wpychali go w zanadrze i w rękawy koszul, żeby się choć trochę zabezpieczyć przed silnym wiatrem.

W końcu bosman Matwiejew zameldował, że kotwica gotowa. Domyśliliśmy się raczej, niż zrozumieli, komendy chorego Aleksiejewa:

— Zarzucić pływającą kotwicę!

Teraz szalupa odwróciła się przeciw fali i stała się posłuszna sterowi. Objął go teraz mechanik Staryczewski — nadeszła właśnie jego zmiana. Mnie już od

dawna gnębiła pewna myśl i, zmieniwszy się przy sterze, przedostałem się do miejsca, gdzie leżał Aleksiejew.

— Wiktorze Michajłowiczu — zapytałem go — czy wiadomo wam, dokąd szła nasza łódź żaglowa i dokąd prowadziła nas przeszło dobę?

— Nie... nie mogę tego powiedzieć — odpowiedział Aleksiejew i dodał po chwili milczenia: — Możliwe, że kapitan miał na uwadze grupę małych wysepek, rozrzuconych na południe, o jakieś sto mil od kursu „Koli". Ale nie wiem, czy minęliśmy je już, czy jesteśmy dopiero na ich wysokości.

— Jeśli kapitan myślał o wyspach Volcano — powiedziałem — to, moim zdaniem, płynąć tam miało sens jedynie z tego względu, że jest tam cieplej. Ale do tego trzeba dokładnie znać współrzędne geograficzne i dwa — trzy razy dziennie sprawdzać je przy pomocy obserwacji astronomicznych. W przeciwnym razie można w ogóle nie trafić. Przecież na łodzi był tylko kompas, a to za mało, by znaleźć na Oceanie Spokojnym miniaturowe wysepki.

— Przez tę przeklętą moją chorobę nie trzymałem warty i nie śledziłem kursu „Koli" — powiedział Aleksiejew z goryczą. — Teraz trudno mi określić nawet w przybliżeniu nasze współrzędne. Przypuszczam jednak, że storpedowano nas mniej więcej na wysokości Zatoki Tokijskiej, o jakieś dwieście mil od jej brzegów. — Odetchnął i mówił dalej: — Płynąc na południe to oczywiste ryzyko, bo widoczność horyzontu z szalupy jest nie większa niż osiem do dziesięciu mil. Można przejść obok małych wysp nie zauważywszy ich nawet za dnia, przy dobrej pogodzie... A jeśli w dodatku jest mgła, nawet najsłabsza — omyłka jest nieunikniona. Nocą jest jeszcze gorzej, przecież teraz w czasie wojny nie zapala się latarni morskich, zabronione są nawet rybackie ogniska, obowiązuje przecież zaciemnienie...

— Wobec tego, Wiktorze Michajłowiczu, musimy obrać sobie własny kurs. Jak myślicie?

— Sądzę, że lepiej będzie nam obrać kurs przeciwległy temu, jakim szła nasza łódź... W takim wypadku pomoże nam prąd, który — jak mi wiadomo — idzie tu w kierunku północnym.

— Ile czasu trzeba, by idąc tym kursem dostać się do brzegu?

— To zależy od pogody i od tego, jaki będzie wiatr. Sądzę jednak, że nie mniej niż siedem, osiem dni.

Westchnąłem tylko w odpowiedzi na to. Długo obaj rozmyślaliśmy w milczeniu. Aleksiejew pierwszy przerwał je zwracając się do mnie:

— Wania, wyjmij z mojej lewej kieszeni mleczne tabletki i włóż mi do ust, bo ręce mi zupełnie zdrętwiały w rękawach.

Ręce jego wciśnięte były w rękawy jak w ciasną mufkę. Wyciągnąłem z jego kieszeni szklany słoiczek z mlecznymi tabletkami i wsypałem mu w usta pięć sztuk.

— Weź i ty, Wania, spróbuj. Moim zdaniem, wywołują one trochę śliny i nie chce się tak bardzo pić.

Przełknąłem trzy pastylki i powróciłem do przerwanej rozmowy.

— Uważam, że trzeba utrzymywać kurs na zachód, równocześnie prąd bę-

dzie nas znosić na północ. Jeśli rzeczywiście znajdujemy się na wschód od Zatoki Tokijskiej, nie możemy minąć wyspy Hondo.

Aleksiejew długo milczał i w końcu zgodził się:

— Dobrze, niech będzie — północny zachód... Gdybyśmy tak mieli dobry żagiel!

— Trzeba zebrać wszystkie kawałki brezentu, wykorzystać kliwer. Pamiętam dobrze, że sam zerwałem z tratwy dwa kawałki i rzuciłem je do szalupy. Zeszyje się je — i powinien być żagiel! A więc umawiamy się: kurs zasadniczy — północno-zachodni. A z rana zabierzemy się do żagla.

Owinąłem Aleksiejewa szczelniej jego kanadyjką i sam nakryłem się kwadratowym kawałkiem brezentu, z którym nie rozstawałem się już piąty dzień. Przysunąwszy się do Aleksiejewa próbowałem się ogrzać i usnąć, ale to mi się nie udawało. Przemoknięte płótno sterczało sztywno jak blacha, pod spód zawiewał wiatr i niesposób było się ogrzać.

21 lutego skoro świt zabraliśmy się do robienia żagla. W pracy tej brała udział połowa załogi szalupy: jedni rozkręcali linę, drudzy robili z tego szpagat, przygotowywali do zeszycia kawałki brezentu. Znalazłem w kieszeni maleńką zakrętkę, która posłużyła nam za igłę. Bosman Matwiejew, którego stan zdrowia znacznie się pogorszył, leżąc kierował pracą. Czwarty mechanik Sidorenko i marynarz Morozow osłabli zupełnie z zimna i głodu.

Od chwili utraty łodzi nie mieliśmy zupełnie słodkiej wody. To było najgorsze. Prawie wszyscy nie pili już piąty dzień. Szczególnie cierpieli chorzy. Sidorenko i Morozow męczeni pragnieniem próbowali ugasić je morską wodą. Kusząco przelewała się za burtą, ale nie tylko nie gasiła pragnienia, lecz jeszcze zwiększała męczarnie. Sąsiedzi ostrzegali chorych, by nie pili wody zza burty, ale potem i oni, krzywiąc się, łykali ją ukradkiem. Szalupa nadal stała w dryfie na pływającej kotwicy. Jej lina manilowa była napięta jak struna. Znaczyło to, że łódkę niesie dokądś z wielką siłą. Za dnia ocean, na którym szalał sztorm, ukazał się w całym swym straszliwym chaosie. Huragan zmiatał wierzchołki przewalających się bałwanów, raz po raz wzdymały się nad szalupą pionowe ściany fal. Za każdym razem ludzie jak zaklęci, nie odrywając wzroku, śledzili nadciągający wał wody. Mimo to szczęśliwie wyrzucało wątłą łódeczkę na wierzch i tylko potoki rozbitej morskiej trąby ulewą zwalały się na nią. Za burtą cała powierzchnia przelatujących fal nabiegła białą pianą, a w górze czarne chmury nisko przepływały na kłębiącym się niebie.

„Żeby chociaż spadł deszcz — myślałem — wtedy i falę zbije i wiatr się osłabi..."

Chwilami wydawało się, że mży, ale trudno było się zorientować, czy to był deszcz, czy bryzgi lecące ze wszystkich stron. Około południa żagiel nasz był gotów. A wiatr tymczasem ciągle się nie zmniejszał. Obawialiśmy się, że płynąc z podniesionym żaglem szalupa się przewróci, albo że sam żagiel zeszyty na prędce nie wytrzyma silnego naporu wiatru. Na dobitek tylko kilku z nas

umiało się z nim obchodzić, większość uczyła się tego dopiero w czasie podróży.

W zimie na tych wodach sztorm panuje całymi miesiącami. Nie można przez tak długi czas stać w dryfie, trzeba płynąć według obranego kursu, z żaglem podniesionym przynajmniej do połowy. I szalupa wtedy lepiej by się utrzymywała na falach, rzadziej by ją zalewało.

— Nie mamy innego wyjścia — padły posępne głosy. — Ryzykujmy!

Wśród rwącego wiatru podnieśliśmy żagiel i szybko podnieśliśmy pływającą kotwicę. Szalupa szarpnęła się i poszła naprzód; rzeczywiście lepiej opanowała falę, ale miotało nią jeszcze silniej. Kołysanie przeszło dosłownie w taniec na falach.

Zmęczony chorobą Aleksiejew nie brał udziału w naszych pracach. Ale zobaczywszy, że łódka poszła naprzód, kazał ściągnąć żagiel, nie podnosić go więcej i jeśli wiatr nie osłabnie, na noc znowu stanąć w dryf.

W biegu mniej zalewało szalupę, nie trzeba było ciągle wyczerpywać wody. Zaprzestawszy tej nieprzerwanej pracy ludzie przypomnieli sobie, że już dawno nic nie jedli. Wyszukawszy skrzynkę z prasowanym puddingiem rozdano każdemu po puszce. Zagryźliśmy malutkim kawałeczkiem czekolady. Nikt nie chciał jeść więcej, żeby nie wywoływać pragnienia, które i bez tego męczyło nas niewymownie.

Wieczorem ujrzałem jak Aleksiejew nagle podniósł się z trudem i zaczerpnął wody zza burty. Długo przyglądał się jej zbielałymi oczyma, a potem wolno podniósł do ust. Chwyciłem go za rękę.

— Wiktorze Michajłowiczu, nie można... Wytrzymajcie, Wiktorze Michajłowiczu...

Przechylił się i podniósł wodę do warg. Niby niechcący wywróciłem puszkę, przemawiając do niego w dalszym ciągu. Ale nie chciał mnie słuchać i nic nie odpowiadając, znowu zaczerpnął wody. Tym razem po prostu wybiłem mu puszkę z rąk.

— Myślicie, że żałuję wam trochę słonej wody?

— Nie przeszkadzaj mi!... Nie jestem dzieckiem! — oburzył się Aleksiejew — wiem co robię... sam za siebie odpowiadam...

Opuściwszy zesłabłe ręce patrzył na mnie mętnymi, zmęczonymi oczyma, potem z wysiłkiem po raz trzeci przechylił się za burtę, żeby zaczerpnąć wody.

— A pij sobie! — powiedziałem ze złością. — Sam sobie zaszkodzisz!

— Nie chcę pić, chcę tylko popłukać usta — odezwał się słabo, jakby usprawiedliwiając się, i począł płukać usta i odpluwać.

Ale ja widziałem, że od czasu do czasu połyka słoną wodę, krzywiąc się od jej wstrętnego smaku.

Skończywszy to „płukanie" długo patrzył mi w oczy i powiedział cicho:

— Daruj mi, Wania, ten wybuch. Zdaje się, że wkrótce już nie zechcę w ogóle pić... A tymczasem, widzisz, organizm potrzebuje trochę płynu...

Powoli zaciągnął kołnierz na głowę i położył się na dnie szalupy, skurczywszy się tak, że kolana sięgały prawie brody.

Wokół stała znowu noc, szalupa kołysała się na pływającej kotwicy. Zapcha-
em się pod siedzenie na rufie próbując usnąć. Ale zimno było tak przejmujące,
e nie można było uleżeć spokojnie. Przewracałem się z boku na bok i za każ-
ym razem, gdy podnosiłem głowę, pozostawiałem kosmyki włosów na burcie
zalupy. Przylepiały się do zastygniętego smaru i z chrzęstem odrywały się od
łowy przy każdym poruszeniu. W końcu wstałem i nagle usłyszałem, że tuż
bok mnie ktoś głośno szczęka zębami.

Był to nasz mały Ganziuk. Pełzał on po całej łódce w poszukiwaniu choćby
roszeczkę zaciszniejszego miejsca. Zawołałem go i zaproponowałem, byśmy się
ołożyli razem: w ten sposób łatwiej będzie się ogrzać. W cienkim gumowym
łaszczu, bosy — chłopak cały drżał. Nie miałem go czym okryć. Objąłem go
przygarnąłem do siebie, ale on bez przerwy dzwonił zębami, nie mogąc opa-
ować wstrząsających nim dreszczy.

— No i co, przemarzłeś, kolego? — zapytałem, zdając sobie sprawę, jak nie-
otrzebne było to pytanie.

— Ależ nie — z trudem opanował drżenie warg — ja tylko tak... tro-
zeczkę...

Poczułem jak łzy napływają mi do oczu. Co za siła ducha, co za charakter
tego chłopaczka! Dosłownie zamarzała w nim dusza, ale nikt nie usłyszał od
iego skargi. Cierpiał w milczeniu, nie chcąc niepokoić towarzyszy.

Nagle, jakby czytał w moich myślach, chłopak wstał i uwolnił się z mego
bjęcia. Może w swej młodzieńczej dumie przykro odczuwał wszelkie objawy
itości? Czy może go to krępowało? A może jednak było mu cieplej kiedy się
oruszał? Tak czy owak, popełzł dalej szeleszcząc gumowym płaszczem.

Nie mogłem w żaden sposób usnąć. Przed świtem ukazał się księżyc zza
hmur, niebo zaczęło się przejaśniać. Nie wolno było przepuścić takiej okazji.
Zbudziłem drzemiącego Staryczewskiego i zaproponowałem, żeby wyciągnąć
otwicę i podnieść żagiel. Za kilka minut łódka pod skróconym żaglem znowu
zaczęła podskakiwać na falach.

Staraliśmy się trzymać kursu, co do którego umówiłem się z Aleksiejewem,
le nie mieliśmy kompasu. Pouczałem jak mogłem mego pomocnika przy sterze,
w jaki sposób ma sprawdzać kurs według gwiazd, jeśli się pojawią, i orienta-
wać się bez gwiazd podług kierunku fal i wiatru. Jednakże za dnia ja sam tra-
iłem przekonanie, czy szalupa idzie zgodnie z kursem. Sprawdzić to można
yło jedynie przy wschodzie lub zachodzie słońca, ustaliwszy kierunek fali
wiatru. Kiedyśmy dojrzeli wreszcie, w którą stronę toczą się pędzone wiatrem
ale, oczekiwaliśmy wschodu słońca.

O świcie stwierdziliśmy, że nocą dosięgło nas nieszczęście: zmarli czwarty
nechanik Sidorenko i marynarz Morozow. Oni również w milczeniu znosili
izyczne cierpienia. Obaj byli młodzi i nawet lepiej ubrani niż inni; podczas
gdy na pozostałych ledwie się trzymały podarte koszule, Sidorenko miał
ukienny kitel, a Morozow — kaftan. Lecz widocznie organizmy ich okazały
ię słabsze. Śmierć wstąpiła w szalupę, wybrawszy ich jako pierwsze ofiary.

Wszyscy — kto tylko mógł utrzymać się na nogach — powstali pochyliwszy głowy nad ciałami zmarłych towarzyszy. Zawiadomiono Aleksiejewa o nieszczęściu. Jego chuda, zapadnięta twarz pociemniała jeszcze bardziej. Kazał jeszcze sprawdzić: a może przecież Sidorenko i Morozow stracili tylko przytomność? Jednakże przeszedł dzień i ani jeden, ani drugi nie oprzytomniał, ciała ich leżały bez ruchu i zastygłe. Kiedy się znowu ściemniło, Aleksiejew głucho rozkazał:

— Pogrzebać towarzyszy według morskiego zwyczaju...

W surowym milczeniu dwaj marynarze oddali morzu ciała Sidorenki i Morozowa. Stałem przy sterze i poprzez świst wiatru nie usłyszałem nawet krótkiego pluśnięcia wody. Mechanik Motin zapisał w swym ocalałym notatniku nazwiska i datę śmierci pogrzebanych.

Na niebie poprzez pędzące obłoki zaczęły przezierać gwiazdy. Postanowiliśmy płynąć dalej, orientując się wedle nich, i nocą nie stawać w dryf. Około północy ukazał się księżyc. W jego zimnym świetle wydawało się, że ocean zamiera, że zastygają jego przewalające się bałwany, tworząc jakby pustynię, na której w chaosie nagromadzają się lśniące lodowe pagórki.

W istocie ocean się uspokajał. Nad ranem wiatr zmniejszył się do siódmego stopnia. Po cyklonie fala była jak przedtem wielka, ale bardziej pochyła i nie rzucało już tak szalupą niemiłosiernie.

Zeszedłszy z warty nagle przypomniałem sobie o odzieży zmarłych. Nikt w szalupie nie miał na sobie kitla ani kaftana. — Widocznie pogrzebano naszych towarzyszy w ciepłej odzieży. Ci, którzy ich grzebali, nie wykazali poczucia elementarnej praktyczności, którą w obecnych warunkach dyktował rozsądek.

— Hennadiusz! — zwróciłem się do Staryczewskiego. — Stałem przy sterze i nie widziałem — kto grzebał Sidorenkę i Morozowa?

— Czerniawski i Płatonow... A o co chodzi?

— Czemużeś ty, Gienia, nie powiedział im, żeby kitel i kaftan oddali żywym tym, co są prawie nadzy...

Staryczewski zdziwiony popatrzył na mnie. Chciał coś powiedzieć, ale jemu przerwałem:

— Oczywiście, że to ciężko i boleśnie — rozbierać zmarłych... Ale w naszej sytuacji trzeba patrzeć rzeczywistości w oczy. Przecież zmarli nie potrzebują ciepłej odzieży. A żywi? Sam widzisz, jak wszystkich skręca z zimna. Popatrz, jak męczy się Ganziuk... Gdybym miał coś ciepłego, dawno bym mu już oddał. Czy trzeba to mówić tobie, kiedy ty sam jesteś w jednej podartej koszuli!... A dzisiaj dwóch ludzi mogło się uchronić przed zimnem...

— Rzeczywiście, masz rację — westchnął Staryczewski. — Przemknęła mi wtedy taka myśl, ale nie miałem odwagi jej wypowiedzieć... Teraz przepadło...

Siedzieliśmy w milczeniu, oparci o burtę. Nagle spoza obłoków wyglądnęło słońce, rzuciwszy na ocean oślepiająco jasny blask. Jakbyśmy się zmówili, spojrzeliśmy na nie obaj z nadzieją. Ale w tej chwili skądś nadleciał obłoczek, z

nim drugi i znowu cały horyzont zaciągnął się chmurami. Nad oceanem ciągle eszcze dął wiatr z północy.

Popatrzyłem na Ganziuka. Nie pełzał już więcej po łodzi szukając zaciszego miejsca. Zdawało się, że znalazł je w końcu i uspokoił się. W rzeczywistości chłopak nie miał już sił podnieść się i leżał na burcie zwinięty w kłębek. Ciało jego prawie zupełnie ostygło, oddech był ledwo uchwytny. Nie odpowiadał na pytania, patrząc na nas dalekim, nieobecnym wzrokiem.

Chcieliśmy wierzyć, że chłopaczkowi jeszcze się polepszy i próbowaliśmy ułożyć go wygodniej. Szczególnie męcząca była świadomość, że musi umrzeć właśnie on — taki młody, co ledwie zaczął żyć. Ale około południa chłopak zupełnie przestał oddychać. Staryczewski, który odkrył to pierwszy, wskazał ręką w jego stronę. Pokiwaliśmy tylko głowami — zrozumieliśmy wszystko.

Wszyscy pili słoną wodę i nikt już nikogo nie namawiał, by przetrzymać pragnienie, by się opanować. Ja również czułem wewnątrz kłujący ból. Krtań, przełyk, żołądek palił ogień, ale jeszcze się trzymałem.

„Sześć dni cierpiałem, spróbuję jeszcze, jak długo wytrzymam — myślałem odwracając oczy od powierzchni oceanu. — O, ile tego dobrego!... W każdej chwili można się napić...“

Obok mnie młody marynarz Szapowałow podtrzymując głowę bosmana Matwiejewa wlewał mu ostrożnie do ust morską wodę z blaszanej bańki. Bosman nie mógł już poruszać ni ręką, ni nogą.

Dławiło mnie poczucie bezsilności wobec śmierci. Nie chciałem nawet myleć o tym, żeby się poddać, opuścić ręce i bezwolnie czekać końca. Nie, trzeba było w jakiś sposób przeciwstawić się zgubie, walczyć dalej!

Tak samo myśleli starszy mechanik Motin, trzeci mechanik Staryczewski i marynarz Płatonow. Słyszałem jak rozmawiali o tym, jakby tu urządzić destylator morskiej wody. Do tego musi się mieć coś, w czym można by ją gotować, a potem, po oddzieleniu się soli, w czym ochładzać. Nie było jednak ani aparatu, ani kotła do gotowania, ani rury do chłodzenia.

Szybko podpełzłem do mechaników:

— W osiemnastym roku widziałem jak pędzono samogon. Technika tego nie jest skomplikowana, aparat zupełnie prosty. Może byśmy i my w ten sposób spróbowali.

— Masz rację — ożywił się Motin. — Kociołek do gotowania zrobimy z miedzianej puszki rakietowej. Ma ona nawet karbowaną nakrywkę... ale skąd wziąć gumowego węża...

— Akurat tu gdzieś leżała rurka od stojaka burtowego. Jeśli jej kto nie wyrzucił, może zastąpić węża.

Zaczęto szukać rurki. W końcu Płatonow znalazł ją:

— Ta?

— Właśnie ta... jest trochę za krótka, to prawda, ale jeśli będzie się ją intensywnie ochładzać, być może, że coś z tego wyjdzie.

— Spróbujmy! — podchwycił Staryczewski. — Trzeba coś robić.

Wziął siekierkę i ostrożnie, koniuszkiem, począł przebijać dziurę w górnej

części puszki rakietowej. W powstały w ten sposób nierówny otwór wbit kawałek pasa korkowego. Zakrętką przewiercono w nim bardziej regularn otwór, do którego miała być wstawiona rurka. Chłodnicę postanowiono zrobi z płaskiej blaszanej bańki, w której trzymano czekoladę.

Opróżniono ją. Jednocześnie postanowiłem zjeść kawałeczek czekolady, al rozgryzłszy ją, nie mogłem przełknąć suchego proszku, który utworzył m się w ustach — nie miałem śliny. Zakrztusiwszy się czekoladowym pyłem który dostał się do tchawicy, machinalnie chwyciłem puszkę i zaczerpnąwszy wody zza burty duszkiem ją wypiłem. Wrażenie wstrętnej, słonej goryczy roz lewającej się w żołądku przypomniało mi, co zrobiłem.

„No cóż, początek zrobiony — pomyślałem — długo cierpiałem, teraz skoń czył się post!..."

Pochłonięci sporządzaniem destylatora nie zauważyliśmy nawet kiedy nad szedł wieczór. Nieoczekiwanie przed samym zachodem słońce wyjrzało zz chmur i wesoło oświetliło powierzchnię wzburzonego oceanu. Zachód zapowia dał na jutro piękny dzień.

Wyczuli to nie tylko ludzie. Patrzyliśmy na przelewające się w falach sło neczne błyski i nagle z trwogą spojrzeliśmy po sobie. Zupełnie blisko burty krążyło całe stado rekinów. Igrały w wodzie i wysunąwszy nad powierzchni czarne pletwy, podobne do peryskopów podwodnych łodzi — długo towarzy szyły naszej szalupie.

— Obiecujący konwój — odezwał się ktoś ponuro.

Staryczewski raz jeszcze rzucił lękliwe spojrzenie na nieproszonych współ towarzyszy i zabrał się znowu do majstrowania destylatora, żeby skończyć g przed nocą. Płatonow patrzył na zachód słońca i nagle odezwał się w zamy śleniu:

— Do tej pory nie widziałem ani jednego ptaka. Gdzie się podziały mewy

Rzeczywiście, nikt dotychczas nie zwrócił na to uwagi. To prawda, że mew trzymają się zwykle blisko brzegów. Ale petrele zapędzają się daleko na ocea i szybują nad falą nie obawiając się sztormu. Było wprost rzeczą niepojętą dlaczego nie widać było ni jednych, ni drugich.

— Daleko jednak jeszcze do brzegu — westchnął Płatonow.

Miał rację. Nieobecność ptaków nie przemawiała na naszą korzyść. Czyż byśmy tak wolno płynęli według kursu, czy może zboczyliśmy z niego?... Kiedy jednak w nocy niebo się przejaśniło, stwierdziłem, orientując się podług gwiazd że na ogół trzymaliśmy się obranego przez nas kursu.

Szalupa więc powoli, ale pewnie, szła ku celowi. Żeby tylko jakoś wytrzy mać do pojawienia się ziemi.

O świcie zabraliśmy się do uruchomienia destylatora. Przede wszystkim trzeba go było rozpalić. Uratowało się nam zaledwie pół pudełka zapałek reszta zupełnie zamokła. Starszy mechanik spróbował jedną wysuszoną w kie szeni. Ja rąbałem drzazgi z drewnianych listew szalupy. Staryczewski i Płato now przygotowywali palenisko. Przebijali w wiadrze dziury do dmuchania

Za godzinę w baku destylatora zawrzało. W rurce ukazały się pierwsz

krople destylowanej wody. Ściekały przeraźliwie wolno a my skupieni wokół aparatu liczyliśmy każdą kroplę. Ale potem do puszki, gdzie było już około pięćdziesięciu gramów destylowanej wody, nagle — przy silniejszym zakołysaniu się szalupy — wdarło się tyleż wody słonej. Trzeba było zaczynać wszystko od początku.

Widoczne było jednak, że aparat funkcjonuje i cierpliwie pracowaliśmy dalej. Do wieczora udało się zdobyć około trzystu gramów słodkiej wody. Rozdzielono ją na wszystkich, odlawszy większe porcje dla chorych. Bosman Matwiejew wypił swoją zupełnie obojętnie. Widać było, że słodka woda nie przynosi mu już ulgi w cierpieniach. Aleksiejew, przeciwnie, gorąco zaaprobował nasz pomysł i podziękował nam. Wszyscy inni połknęli słodką wodę jak łakotkę. Było jej jednak bardzo mało, wzmogła tylko pragnienie. Trzeba było zapić poczęstunek puszką wody zza burty.

25 lutego pogrzebano Ganziuka. A nad ranem, 26-go, umarł Matwiejew. Sam przez się przyjął się u nas taki zwyczaj: trzymać zmarłych w szalupie przynajmniej dobę, żeby przez omyłkę nie pogrzebać towarzysza, który mógł tylko stracić przytomność. I bosman do wieczora leżał z nami. Zdawało się, że położył się tylko zdrzemnąć na godzinkę, że zaraz wstanie, by dalej kierować pracami na łodzi.

Od rana zabraliśmy się znowu do fabrykowania słodkiej wody. Staryczewski i Szapowałow pilnowali baka. Ja regulowałem ogień i bez przerwy polewałem rurkę chłodnicy. Płatonow siedział koło bańki z oczyszczoną wodą i od czasu do czasu próbował jej smak. Chwilami trzeba było izolować zebraną już wodę, kiedy w rurce zaczynała klekotać para ze słoną wodą. Przeczekawszy gwałtowne wrzenie znowu kropla po kropli zbieraliśmy drogocenny napój.

Rzeczywiście nowy dzień był słoneczny. Obeschliśmy i wiatr już nam tak nie dokuczał. Doszła do tego jeszcze jedna pocieszająca okoliczność: po raz pierwszy ujrzeliśmy dwa petrele i jedną mewę. Co prawda mewa była jakaś niezwykła — zamiast ogona sterczało jej długie pióro. Nikt z nas nie widział dotychczas takiej mewy, ale zawsze był to ptak i byliśmy mu radzi. Teraz wyłoniły się różne domysły o bliskości brzegu. Umówiliśmy się, że będziemy śledzić mewę: trzeba zobaczyć, dokąd odleci. Ale mewa to oddalała się w różnych kierunkach, to znowu się zjawiała, aż wreszcie zupełnie znikła z oczu. Również jeden po drugim, niewiadomo gdzie, przepadły petrele.

Teraz coraz to ktoś inny z nas wchodził na ławkę i trzymając się masztu długo wpatrywał się w bezbrzeżną dal oceanu, w nadziei, że ujrzy brzeg. Ale z szalupy niewiele można było zobaczyć. Początkowo poprzez mgłę widać było tylko obłoki. Chwilami zdawało się, że są to śnieżne góry — ale było to tylko złudzenie. Brzeg widocznie był jeszcze bardzo daleko.

Rozgoryczeni powróciliśmy do destylatora. Nagle po południu usłyszeliśmy podniecony, przenikliwy krzyk Aleksiejewa:

— Komendancie szalupy! Przysłać mi natychmiast sygnalistę!

Drgnęliśmy, ale nikt się nie odezwał. Aleksiejew był sam komendantem sza-

lupy — kogóż więc wołał? Za minutę okrzyk powtórzył się jeszcze głośniejszy, już zniecierpliwiony. Wtedy ja odpowiedziałem:

— Tak jest!

— Dajcie rozkaz sygnaliście: wezwać okręt dyżurujący na redzie! — rozkazał Aleksiejew.

Serca nasze ścisnęły się: Aleksiejew bredził.

— Tak jest, wezwać dyżurny okręt! — odezwałem się znowu.

— Podajcie sygnał, żeby z dyżurnego okrętu przysłano kuter... — podniecenie chorego minęło równie nagle jak się zjawiło. — Trzeba odwieźć do szpitala pierwszego oficera — zakończył słabym głosem.

— Tak jest! — potwierdziłem, żeby go uspokoić.

Bredził jeszcze coś dalej bez związku i niewyraźnie, i w końcu, bąknąwszy jeszcze kilka słów, umilkł. Patrzyliśmy po sobie bezradnie: co mamy robić, jak możemy mu pomóc?

Na szczęście uspokoił się — stracił przytomność. Potem oprzytomniał — ale leżał spokojnie. Krzątaliśmy się dalej około destylatora aż do zmierzchu. Tym razem udało się nam wyciągnąć około 700 gramów wody. Pierwszy dostał swoją porcję Aleksiejew. Wypił ją ostrożnie, maleńkimi łykami i oddając próżną puszkę Płatonowowi gorąco mu podziękował. Pomyśleliśmy z ulgą, że może przecież mu się polepszy.

Pozostali również wypili swoją porcję słodkiej wody. Co prawda było jej za mało, by ugasić pragnienie i znowu każdy z nas „poprawił" sporą dozą wody zza burty. Ale teraz zachciało się już jeść (widocznie wskutek działania słodkiej wody). Dotychczas nikt nie miał apetytu i czekolada i mleczne tabletki leżały nietknięte. Żując mleczne pastylki postanowiliśmy, że nazajutrz ugotujemy na uzyskanej wodzie czekoladę i pokrzepimy się gorącym napojem. A teraz — spać.

Jak zwykle ja zostałem przy sterze. Około północy obudziłem trzeciego mechanika Staryczewskiego, żeby się przygotował do zmiany warty.

— A co, księżyc już wzeszedł? — zapytał.

— Jeszcze nie, ale wkrótce wzejdzie.

— To zbudzisz mnie gdy wzejdzie — dziwnie apatycznie i martwo powiedział Staryczewski.

— Co ma księżyc do tego? — zapytałem nic nie rozumiejąc. — Przecież z reguły zmieniamy się przy sterze o północy — księżyc wschodzi właśnie o północy — może odrobinę wcześniej lub później.

— Nie, księżyc teraz wschodzić będzie w dzień — tak samo apatycznie, ale zupełnie poważnie powiedział trzeci mechanik.

W innych okolicznościach można się było uśmiać z takiego oświadczenia. Ale teraz było mi nie do śmiechu. Nikt z nas nie uchylał się od żadnej pracy. Tym bardziej nie mogłem podejrzewać, by Staryczewski, tak zawsze sumienny, miał kręcić czy symulować. Nie, trzeci mechanik też bredził — widoczne było, że jest wyczerpany do ostateczności. Nie wolno mu było w takich wa-

runkach powierzyć wiosła. Ale stać jednemu przy sterze do rana — na to nie starczy sił.

Mniej więcej za godzinę znowu ostrożnie obudziłem Staryczewskiego. Kiedy zobaczył, że jeszcze nie ma księżyca, zaperzył się nagle i zaczął coś mówić szybko i nerwowo.

— A toś się uczepił tego księżyca, Gienia — zagadywałem go starając się obrócić wszystko w żart. — On nam nie może ani pomóc, ani zaszkodzić. Teraz twoja zmiana, a sam przecież rozumiesz, że musimy przez cały czas utrzymywać szalupę na kursie, żeby jak najprędzej dostać się do brzegu.

Zamilkł, potem wstrząsnął głową i popatrzył na mnie tak, jak gdyby mnie teraz dopiero zobaczył.

— Wania, to ty — powiedział wyraźnie — która godzina? Zdaje się, że już dawno po północy. Dlaczego nie obudziłeś mnie do tej pory? Oszczędzasz mnie? Ty siebie oszczędzaj...

Podszedł do steru i ujął wiosło. Księżyc ciągle jeszcze nie wschodził. Przekonawszy się, że Staryczewski zupełnie oprzytomniał, położyłem się na dnie szalupy. Nad ranem znów zrobiło się zimniej. Czułem, że ogarnął mnie żar i nawet byłem rad z tego, że mam podniesioną temperaturę: pod gorącym oddechem łatwiej można było ogrzać skostniałe ręce.

W tę noc gorączka musiała męczyć wielu z nas: to tu, to tam słychać było mamrotanie i krzyki przez sen. Była to nasza jedenasta noc na oceanie.

Dzień 27 lutego początkowo nie różnił się niczym od poprzedniego; znowu było zachmurzenie zmienne i wiatr stawał się coraz zimniejszy. Znowu zjawiła się mewa z długim ogonem, ale nie pozostała długo w naszym polu widzenia. Nadleciał petrel i zrobiwszy dwa czy trzy piękne wiraże równie szybko znikł.

Pod naporem wiatru wysoka fala silnie rzucała szalupą i kilka razy woda prawie zupełnie zalała palenisko destylatora. To stawało się teraz groźne: pozostało nam jeszcze dziesięć zapałek, a drzewo w szalupie kończyło się. Musieliśmy zrobić z bańki nowe, lepiej zabezpieczone palenisko.

W końcu z trudem zdobyliśmy 600 gramów słodkiej wody. Jak zwykle pierwszą porcję zanieśliśmy Aleksiejewowi. Z rana patrząc na niego, jak spokojnie drzemał koło masztu, z ulgą stwierdziliśmy, że ma się lepiej. Teraz chcieliśmy go obudzić — ale on się już nie obudził — był martwy. Nie chciało się w to wierzyć — do tego stopnia poza Aleksiejewa przeczyła wszelkiej myśli o śmierci. Siedział koło masztu objąwszy go rękami, głowa jego była lekko pochylona, plecy zaledwie troszkę zgięte. Ciągle jeszcze nie dowierzając sobie próbowaliśmy go położyć, gdyż myśleliśmy, że ręce jego po prostu zgrabiały w niewygodnej pozycji i dlatego są sztywne. Ale sztywne było całe ciało.

Bez słowa staliśmy wokół niego. Zapomnieliśmy nawet wypić wodę. Ale nie zdążyliśmy się jeszcze opamiętać po tym nieszczęściu, kiedy zwaliło się na nas nowe.

Przed dwoma dniami ktoś zażartował ponuro, nazwawszy rekiny, które

pojawiły się w pobliżu naszej szalupy, „obiecującym konwojem". Rzeczywiście nie opuszczały nas, płynąc nieodstępnie za szalupą. Chwilami podpływały blisko burty, wzbijając ostrymi płetwami pianę na wodzie. Przyzwyczailiśmy się już do tego i nikt nie zwracał na nie uwagi. Tym bardziej nie myśleliśmy o nich teraz, zgnębieni śmiercią Aleksiejewa.

Nieoczekiwanie tuż za nami na burcie rozległ się jakiś łoskot, stuk i bezpośrednio potem krzyk Płatonowa:

— Co robisz?... Kostia, rzuć to!

Odwróciwszy się ujrzeliśmy, jak z wysiłkiem powstrzymuje maszynistę Czerniawskiego uchwyciwszy go z tyłu za pas. Czerniawski ściskał w wysoko podniesionych rękach siekierę. Jedną nogą był już za burtą. Wykrzywiona wściekłością twarz maszynisty była zwrócona w kierunku, gdzie wśród fal pluskało się kilka rekinów. Dzieliło je od łódki co najmniej pięć metrów, ale Czerniawski rwał się tam potrząsając siekierą.

Rzuciliśmy się na pomoc Płatonowowi. Czerniawski w żaden sposób nie chciał ustąpić. Upuścił wprawdzie siekierę, ale wyrywał się i rzęził. Chciał koniecznie rzucić się za burtę na rekiny. Z trudem udało się nam ułożyć go w szalupie twarzą do dołu. W czasie tego zmagania się z nim spojrzenie moje spotkało się z jego oczyma. Wychodziły z orbit, były mętne i bezmyślne. Przeszedł mnie dreszcz. Dotychczas widzieliśmy śmierć towarzyszy — teraz był to wypadek szału.

Okazało się, że Płatonow jeszcze wcześniej zauważył, że Czerniawski dziwnie długo wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w jeden punkt, tam, gdzie widniała rękojeść siekiery, jakby ją hypnotyzował. Aż nagle chwyciwszy ją runął do burty. Musiał myśleć o tym, że rekiny zagrażają jemu i jego towarzyszom i chciał się rozprawić z drapieżnikami...

Teraz leżał cicho i bez ruchu, osłabiony po tak wielkim napięciu. Jakież jednak szalone myśli mogły się zrodzić w jego zmąconej świadomości?... Postanowiliśmy śledzić go bez przerwy. Rozbiwszy ostatnią bańkę wyjęliśmy puch i urządziliśmy na dziobie miękkie posłanie dla chorego.

Ciężki dzień miał się ku końcowi. Wieczorem zająłem swoje miejsce przy sterze. Chmurne niebo nie sprzyjało orientacji. Poprzez chmury z rzadka ukazywały się konstelacje gwiazd. Ale znowu kryły się na długo i trzeba było wpatrywać się w niebo bez przerwy, żeby je uchwycić, albo też trzeba było określać położenie na chybił trafił. Taka żegluga niewiele była warta. Orientując się według fali stwierdzałem raz po raz wyraźne odchylenie od linii kursu. Nie opuszczała mnie gorączka, która męczyła mnie od wczoraj. Trudno mi było utrzymać głowę prosto: zdawało mi się, że stacza się na bok, a po chwili wszystko przed oczyma zaczynało się kręcić i płynąć.

Niespodziewanie dla samego siebie szarpnąłem wiosłem sterowym i ostro skręciłem z kursu. Gdybym tego nie zrobił, łódka za mgnienie uderzyłaby dziobem w pień drzewa. Wyrosło ono z fali, co wzniosła się nad łódką, a spieniony jej grzebień zamienił się w kołyszące się listowie. W tej chwili skręciłem szalupę w przeciwną stronę: teraz drzewo zjawiło się po drugiej stronie

urty. Mrugnąłem kilka razy oczyma i potrząsnąłem głową. Drzewo stało na oprzednim miejscu. A poza nim dalej widniały jakieś krzaki, jakiś niby pagórek na polanie i miękko połyskująca tafla jeziora. Potem wyraźnie usłyszałem głosy żab i cichy szmer strumyka wśród gałęzi. Rozum mówił mi, że na oceanie nie ma i nie może być nic podobnego, ale w wyobraźni malował się uparcie ciągle ten sam obraz.

Zrozumiałem, że to halucynacja, i przestraszyłem się, żeby nie było jeszcze gorzej. Coś podobnego przydarzyło mi się dwanaście lat temu, na zimowisku w Arktydzie. Pamiętam, że warunki zimowania były bardzo trudne. Poszukiwano wtedy dwu zaginionych lotników amerykańskich, których samolot rozbił się na Półwyspie Czukockim. Jako uczestnik ekspedycji ratunkowej pracowałem w miejscu, wokół którego w promieniu przynajmniej trzech tysięcy kilometrów nie było żadnej radiostacji. Zdarzało się, że po kilka dni pod rząd, nie zmrużywszy oka, musiałem podtrzymywać łączność pomiędzy Moskwą i samolotami ekspedycji.

Sam jeden w zawianej śniegiem chatce, na dobitek zachorowałem. Ale właśnie otrzymałem wiadomość, że w czasie poszukiwań zaginął również nasz samolot, pilotowany przez lotnika Gałyszewa. Zebrawszy tedy wszystkie siły pracowałem dalej, żeby chociaż w jakiejś mierze przyczynić się do jego odnalezienia.

Zawalone śniegiem drzwi radiostacji nie otwierały się już od kilku dni. Wiedziałem o tym dobrze. Ale pewnej nocy usłyszałem nagle ich charakterystyczne skrzypnięcie i ujrzałem jak otwarły się na oścież i do mej izdebki wszedł jakiś mężczyzna. Zmierzał wolno w moim kierunku, grożąc mi... gitarą, którą trzymał w ręce. Cofnąłem się w głąb izby i wcisnąłem się w kąt, starając się uniknąć uderzenia. Równocześnie gorączkowo szukałem sposobu, jakby się uwolnić od tego przywidzenia, bo wyraźnie zdawałem sobie sprawę, że drzwi były zasypane śniegiem i nikt przez nie nie mógł wejść. Był to oczywisty absurd, ale przecież nieznajomy stał mi ciągle przed oczyma.

— Hej ty!... Uciekaj stąd!... — krzyknąłem i nachyliłem się nad stołem, żeby wziąć papierosa.

Zapaliwszy go od lampy przekonałem się, że nie śpię. W miarę tego jak wychodziłem ze swego kąta, mężczyzna cofając się uciekał do drzwi razem ze swym cieniem. Potem drzwi znowu skrzypnęły, otwarły się i kiedy nieznajomy zniknął, znowu się zamknęły.

„Tym lepiej" — pomyślałem i ocierając pot z czoła włączyłem aparat.

W jakiś czas później otrzymałem dane o samolocie Gałyszewa i musiałem wyjść, żeby porozumieć się z resztą ekspedycji w sprawie poszukiwań. W tym celu trzeba było rozbierać dach chatki. Drzwi były zupełnie zawalone: śnieg sięgał górnej krawędzi dachu. Uśmiechnąłem się spoglądając na drzwi i poszedłem do swej pracy. Wedle oceny otrzymanej z Moskwy wypełniłem wtedy swe zadanie na „celująco".

Wspomnienia te jakby dodały mi teraz sił.

„Trzeba wytrzymać, wytrzymać — powtarzałem sobie — cokolwiek się zdarzy — wytrzymać!...“

Ciągle jeszcze wymijałem „drzewa“, marnując na to wiele wysiłków, ale w każdym razie nie wypuściłem z rąk steru dopóty, dopóki o północy nie zmienił mnie Staryczewski. Z trudem uwalniałem się od fantastycznych przywidzeń. Leżąc w szalupie nie widziałem już więcej „drzew“, ale ciągle mi się zdawało, że szalupa walczy ze sztormem o milę od latarni jakiegoś portu, a do portu nie można wpłynąć przez jakąś głupią formalność. Jednakże rano, kiedy Staryczewski mnie obudził, bym mu pomógł podciągnąć żagiel — wróciła mi jasność myśli.

Ciężki i bolesny obowiązek musieliśmy spełnić tego rana — trzeba było pochować Aleksiejewa. Widziałem po posępnych twarzach marynarzy, że nikt nie może się zdecydować na to. Zbyt bolesny jest moment rozstania z jednym z najbliższych towarzyszy i dowódców. Wypadło mi wziąć to na siebie.

Okrutne, surowe były warunki pogrzebu. Bez ostatnich honorów... Przykro jest zabierać zmarłemu odzież, a mimo to bez wahania zdecydowałem się na to. On sam, wolny od przesądów, zaaprobowałby mój postępek. Kazałby zrobić to samo.

Jednak było tak ciężko! Szepcąc słowa przeproszenia ostrożnie zdjąłem z Aleksiejewa futrzaną kanadyjkę i buty. Zwinąłem je i położyłem obok Płatonowa. Ten, prawie nagi do pasa, marzł bardziej niż inni. Potem ostrożnie przeniosłem ciało na burtę, obejrzałem powierzchnię oceanu i upewniwszy się że nie ma w pobliżu rekinów, opuściłem zmarłego w fale.

— Żegnaj mój drogi — wyrwało mi się. — Żegnaj Wiktorze Michajłowiczu. Nie myśleliśmy nigdy obaj, że tak nam się przyjdzie rozstawać...

Oparci o burtę długo zamglonymi oczyma odprowadzaliśmy ciało Aleksiejewa. Siwy, wychudły mechanik Motin załkał głucho i odwrócił się. Instynktownie zbiliśmy się ciaśniej i długo jeszcze staliśmy w rozkołysanej łodzi.

Trzeba było jednak powrócić do swych zajęć. Zabierając się do przerabiania wody z zadowoleniem zobaczyłem Płatonowa w kanadyjce i butach. Poznać było, że czuje się lepiej. Ożywiony krzątał się koło baku destylatora. Obok niego przykucnął Szapowałow. Ten był zamyślony i apatycznie polewał rurki chłodnicy morską wodą. Płatonow ciągle go popędzał:

— Ochładzaj, kolego, ochładzaj!... Bo jak para zadławi ognisko — będzie znowu kłopot. Uważaj, nie próżnuj!... I o czym ty tak przez cały czas myślisz?

Szapowałow westchnął i jakby niechcący powiedział:

— Myślę o naszej łodzi żaglowej... Gdzie też ona może być teraz?... Możliwe, że już dawno dostała się do brzegu...

— Cóż, zupełnie możliwe — popatrzył na niego Płatonow. — Mieli beczułkę słodkiej wody. I kompas, i bardzo dobry żagiel. My teraz nawet pierwszego oficera nie mamy — a tam był kapitan... Na pewno się dostali...

— A ja myślę, że nie — odezwał się głośno starszy mechanik Motin. — Gdyby się dostali, dawno by już zatroszczyli się o to, by nas odszukano, za

pranoby nas... Ale po co myśleć o tym? Od tego wcale nie będzie lżej. Jak się już wydostaniemy stąd, dowiemy się i o łodzi.

Marynarze zamilkli. Czy się wydostaniemy?... I kiedy?

Pytanie to dręczyło każdego z nas, ale nikt nie odezwał się więcej ni słowem. Śmierć zabrała połowę z nas, a pozostałych prawdopodobnie również czekała zagłada. Wystarczyło tego aż nadto, by wpaść w rozpacz i zdziczeć zupełnie. W morskiej praktyce zna się wiele takich wypadków! Ale maleńka rodzina sowieckich ludzi nie straciła ani wytrwałości, ani przytomności umysłu, ani ludzkiej godności. Mimo woli z uwagą wpatrywałem się w twarze towarzyszy, jakbym na nowo ich poznawał.

Zgodnie krzątaliśmy się koło destylatora i tego dnia zdobyliśmy prawie litr słodkiej wody. Ugotowaliśmy na niej czekoladę z mlecznymi tabletkami. Z wrzącego napoju unosił się apetyczny zapach. Przede wszystkim daliśmy pić Czerniawskiemu, który teraz leżał cicho na dziobie szalupy. Później otrzymali swe porcje inni. Przełknęliśmy je nie czekając aż czekolada ostygnie, parząc sobie usta.

Możliwe, że co dzień teraz należało oczekiwać nowej straty. W południe 1 marca zmarł maszynista Czerniawski. Śmierć jego nastąpiła szczególnie szybko, chociaż fizycznie był on silniejszy od innych. Prawdopodobnie gorączkowy wybuch — po dwunastu dniach zimna i pragnienia — poderwał w końcu jego siły.

Nie mieliśmy nawet czasu, by zastanowić się nad tą nową stratą: niespodzianie nadciągnął silny sztorm. Musieliśmy zaniechać destylowania wody i znowu uparcie, do upadłego walczyć z żywiołem.

Tym razem walka była bardziej skomplikowana. Było nas wszystkiego pięciu: lekka szalupa nie była posłuszna sterowi, kołysało nią gwałtownie i zalewało wodą. Przez cały czas trzeba było wyczerpywać wodę. Baniek z puchem już nie było i szalupa łatwo mogła stracić zdolność pływania. Do destylatora poszło też prawie wszystko drzewo. Ściślej mówiąc mieliśmy nie łódź, ale żelazne koryto, które pod uderzeniami fal mogło się zmienić w pogięte żelaziwo i pójść na dno.

Zadanie sterników polegało głównie na tym, żeby w jakiś sposób uchronić szalupę od uderzeń sztormu. Trzeba było nieustannie śledzić falę i napierając całym ciałem na wiosło uchylać się przed nią to w jedną, to w drugą stronę. Praca ta nie jest łatwa nawet dla zdrowego człowieka, ze świeżym zapasem sił. Dla nas była ona niewymownie ciężka. Zrozumieliśmy, że już długo nie wytrzymamy i wytężaliśmy resztki sił tylko dlatego, że postanowiliśmy do ostatka przeciwstawiać się sztormowi.

Ja i Staryczewski zmienialiśmy się w krótkich odstępach czasu, by dać sobie wzajemnie możność odetchnięcia. Akurat w momencie takiego króciutkiego odpoczynku, ocierając zimny pot z czoła, ujrzałem długą zieloną plamę na fali. Obok szalupy przepłynął wielki pęk wijącej się morskiej trawy. Nie wierzyłem sobie zrazu i przetarłem oczy. Ale pęk nie znikał. Bez wątpienia

zerwało go koło brzegu i przypływ uniósł go na ocean. Znaczyłoby to, że brzeg jest gdzieś niedaleko. Jak gdyby na potwierdzenie tego przepłynęło obok nas drewniane denko beczułki. Na denku widniał jakiś hieroglif. Podczas pobytu w japońskich portach widziałem nieraz takie beczułki. Japończycy trzymają w niej kiszoną rzodkiew, soję lub saké (wino lub piwo z ryżu).

Pęczek trawy i denko poruszyły wszystkich. Odrywając się co chwila od pracy mimo woli wszyscy zaczęli się wpatrywać w horyzont. Płatonowowi wydało się nawet, jakoby woda była nieco mniej słona.

— Widocznie wpadliśmy na prąd słodkiej wody — oznajmił nam o swym odkryciu. — Spróbujcie, a przekonacie się sami — zaczerpnął wody i wypił kilka łyków. — Prawie słodka... w każdym razie nie taka jak przedtem.

Starszy mechanik Motin kazał napełnić puszkę, by wszyscy pokosztowali. Woda była jak i przedtem gorzko-słona, nie była wcale smaczniejsza — była to tylko fantazja Płatonowa.

Z powodu sztormu nikt nie spał w nocy. Jednakże nie ucichł on i w ciągu następnego dnia. Żeby lekką obecnie szalupę utrzymać na fali i móc nią kierować, chwyciliśmy się ostateczności — utrzymywaliśmy w niej pewien poziom wody, nie wyczerpując jej do końca.

Szczególnie fatalne było to, że podczas sztormu było rzeczą niemożliwą destylować wodę. A przywykliśmy już do niej. Nawet w ograniczonej ilości znaczyła dla nas nadspodziewanie dużo. Teraz z powodu silnego kołysania i wysokiej fali w żaden sposób nie udawało się nam uruchomić destylatora. Nie zdążyliśmy zebrać nawet pół litra wody. Było tego tak mało na pięciu, że zrezygnowałem ze swej porcji.

Cały dzień przeszedł mi jak we mgle. Wieczorem zmusiłem się, by wstać i zająłem miejsce przy sterze. Sam nie wiem jak przetrzymałem tę zmianę. Pamiętam tylko, że często wypuszczałem wiosło z rąk i szalupa przez nikogo nie kierowana szła tak, jak niósł ją żagiel. Ale odetchnąwszy, znów chwytałem wiosło i ustawiałem ją na kurs.

W nocy, osłabiony do ostateczności, ledwie rozpoznałem Staryczewskiego, który przyszedł mnie zmienić. Ten wyciągnął z zanadrza banieczkę, w której chlupało na dnie troszkę słodkiej wody. Nie wypił do końca swej porcji, zostawił część dla mnie, wiedząc, że nie otrzymałem zwykłego przydziału.

— Dziękuję — szepnąłem wzruszony i chciwie przełknąłem wszystko, co było w banieczce.

Potem zmógł mnie ciężki sen. Gdy się obudziłem — był to już ranek 3 marca — poczułem, że nie mogę wyprostować nóg. Opuchły i straciły czucie, chociaż je masowałem, a nawet próbowałem podrapać paznokciami.

„Tak... — przeleciało mi przez myśl. — Nogi obumierają. To znaczy, że trzeba leżeć, nie wolno się podnosić? — Nie, bo wtedy wszyscy... Nie wolno, nie wolno!... — nakazywałem sam sobie. — Nogi obumierają, ale władam jeszcze rękami... Trzeba wstać... trzymać się do końca!...“

Przezwyciężając ból, rękami wyprostowałem nogi i poczołgałem się wzdłuż szalupy. Starałem się poruszać jak najwięcej, bez przerwy. Coraz to wymy-

ślałem sobie inne zajęcie; poprawiałem żagiel, zbierałem drzazgi po kątach, łupałem siekierką szczapy z siedzenia na rufie.

Przy sterze, zwolna wodząc wiosłem, ledwie się poruszał Staryczewski. Widać było, że i on jest zupełnie zmordowany. Nikły uśmiech przemknął przez jego poczerniałą, zaostrzoną twarz, kiedy przysunąłem się bliżej.

— Cóż, Waniusza, zdaje się, że wkrótce powiemy sobie ostatnie „żegnaj"? — powiedział ochrypłym głosem. — Widzisz, ja ciągle myślę — i jest mi ciężko...

— O co chodzi, Gienia? — zapytałem.

— Jakby ci to powiedzieć? — Widzisz, przez wszystkie te dni byłem dumny z siebie. I z ciebie byłem dumny, i z wszystkich naszych chłopców. Dziwiłem się sam sobie — co za siła, okazuje się, jest we mnie! Przecież my tu, w tym zimnym piekle, jesteśmy nadzy — prawie tak, jak przyszliśmy na świat... I żywności nie mamy, a co najważniejsze — nie mamy nic do picia... A przecież żyjemy, pracujemy i płyniemy swoim kursem!... I to nie dzień, ani dwa, ale — z dzisiejszym — piętnaście dni! Daleko jesteśmy od naszej ziemi radzieckiej — kto wie pod jaką jesteśmy teraz szerokością, ale i tu jest ona jakby razem z nami.

Zakaszlał się, zachłysnął wiatrem i z trudem odetchnąwszy mówił dalej innym już, smutnym głosem:

— Jednakże, Wania, widocznie nadchodzi już koniec... I to właśnie, jak pomyślisz o tym, jest tak bardzo gorzkie. Widzisz, śmierć będziemy mieć marną, jakby niepotrzebną... Czekaj, nie protestuj, pozwól mi skończyć!... Bo o czymże ja myślę? Tam — na zachodzie — teraz wojna! Nasi ludzie wroga z radzieckiej ziemi przeganiają, a jeśli już umierają, to chwyciwszy Niemca za gardło!... A my co? Bełtamy się w tej łódce i walczymy tylko z wodą... Zatopiła naszego „Kolę" jakaś swołocz, a my nie mamy nawet możności się zemścić! Jakże tak można umierać? To tyle co oddać życie zupełnie za darmo. Okazuje się, że i śmierć nasza nikomu się na nic nie przyda. Dlatego jest mi tak ciężko...

Nie miałem mu na to co odpowiedzieć. Sam myślałem tak samo.

Przeszła jeszcze jedna noc — brzegu nie było widać. Nadzieja, która wstąpiła w nas wczoraj, teraz znikła. Nadchodziło to, czego oczekiwałem z trwogą: reakcja, ogólny upadek sił.

Zaczęło się to jeszcze poprzedniego wieczoru. Jakoś nagle, od razu, zmienił się Szapowałow. Dotychczas trzymał się lepiej niż inni, ale nagle posmutniał i zamilkł, ruszał się coraz bardziej leniwie, potem się położył. A po upływie nocy — rano 4 marca — nie wstał zupełnie już osłabiony starszy mechanik Motin, nie wstał Płatonow. Obok steru leżał Staryczewski.

Obudziły mnie nierówne uderzenia o burtę. Domyśliłem, się że nikt nie kieruje szalupą; podniosłem się i chciałem się zerwać, ale nie mogłem poruszać nogami. Wtedy czepiając się rękami burty popełzłem w kierunku steru, by w jakiś sposób zabezpieczyć kierunek.

Przez noc sztorm ucichł i nie rzucało już tak łódką, ale wiatr się zmienił i dął z innej strony. Iść wedle poprzedniego kursu można było jedynie zmieniając halsy. Ale przy tym trzeba było bez przerwy manewrować żaglem i szkotem na dziobie. Pracę tę zwykle spełnialiśmy we dwójkę. Mimo woli oglądnąłem się, szukając pomocy; wszyscy leżeli nieruchomo i tylko wodzili za mną oczami. Płatonow z trudem uniósł głowę, ale natychmiast ciężko ją opuścił. Uchwyciłem za szkot i z wysiłkiem pociągnąłem go do siebie. Szalupa zawróciła na kurs i poszła naprzód. Ale dalsze dwa czy trzy szarpnięcia odjęły mi resztki sił. Z osłabienia zakręciło mi się w głowie i bezsilnie opadłem na dno. Nie było już więcej komu zająć się żaglem.

Przeleżałem do południa, ale świadomość, że jesteśmy skazani na zagładę, nie dawała mi spokoju. Nie poddać się, przeciągnąć jeszcze choćby jeden dzień! — Pragnienie to pomogło mi się podnieść. Postanowiłem uparcie próbować jeszcze destylować wodę, zebrać jej chociaż po sto gramów na głowę. Jednakże nie było już w szalupie drzewa, żeby rozpalić destylator, jeśli nie liczyć stępki masztowej. Postanowiłem ją obciosać. Podpełzłem do niej i odłupałem siekierą kilka drzazg.

Koło masztu leżał Staryczewski. Usłyszawszy uderzenia siekiery usiłował się podnieść, ale nie mógł się utrzymać i opadł odrzuciwszy głowę za burtę. W tej pozycji też zamarł, podawszy się całym ciałem w kierunku, w którym zwrócone były jego oczy. Myślałem, że mechanik bredzi i chciałem mu pomóc, ale on nagle zawołał niepewnie:

— Okręt...

Z niedowierzaniem i apatycznie odwróciłem się w kierunku jego spojrzenia. Nie chciałem już znowu, po raz nie wiem który, doświadczać goryczy rozczarowania. Ale tam, poprzez ciemną mgłę, w istocie widniało coś, co przypominało sylwetę statku.

— Podobny do podwodnej łodzi — powiedziałem, przekonany, że to halucynacja.

Tymczasem wszyscy w szalupie jakby od razu odżyli i z natężeniem zaczęli wpatrywać się w dal. Wkrótce nieco z boku pojawiła się druga sylweta i mostek okrętu. Nie mając już żadnych wątpliwości, że mi się dwoi w oczach, zapytałem:

— Kto widzi dwa okręty?

Okazało się, że wszyscy widzą to samo. Znaczyłoby to, że była to jawa. Nie mogło przecież czterech ludzi ulegać równocześnie takiej samej halucynacji!

Wstrzymawszy oddech śledziliśmy zbliżanie się okrętów. Płynęły wprost w naszym kierunku. Można już było wyraźnie rozróżnić, że oba były typu szybkobieżnych, wojskowych trawlerów i szły pod japońską banderą. Dalszy zaczął zwalniać i stanął w dryf, bliższy powoli podpływał do szalupy. Obszedłszy ją w koło zbliżył się na odległość dokładnej widzialności i zatrzymał się.

W obawie, że mogą z okrętu nie dojrzeć nas, leżących w szalupie, zerwa-

łem rurkę z destylatora i zacząłem nią walić w rozbitą bańkę. Nie miałem nic innego, czym mógłbym zwrócić na nas uwagę, a nie miałem już sił, by krzyczeć.

— Powiedz mi, co mam wołać — prosił Staryczewski. — Jakiekolwiek japońskie słowa!...

Sądząc z męcząco długiej procedury ostrożnego zbliżania się okrętu można było przypuszczać, że tam wcale nie mają zamiaru nas zabrać. W takim wypadku miałoby sens poprosić ich chociaż o wodę.

Znałem trochę japoński i powiedziałem do Staryczewskiego:

— Krzycz: „Mizu kudasai!" („Daj wody!")

Staryczewski zawołał. Ale głos jego był cienki i słaby. Wtedy zacząłem czerpać puszką wodę zza burty i podniósłszy wysoko znowu ją wylewałem. Niespodzianie z tyłu odezwał się podrażniony głos Płatonowa:

— I po co to robicie?... Przecież to samuraje. Oni by nigdy w życiu człowiekowi nie pomogli. Po co ich prosić? Lepiej umrzeć, niż się tak poniżać!...

— I ja z początku tak myślałem, ale już zdążyłem się rozmyśleć — przerwał mu starszy mechanik Motin. — Są do tego przecież zobowiązani według praw międzynarodowych... A ty się nie gorączkuj. Nie idziemy przecież do niewoli. Jeśli jest okazja, by ujść śmierci, trzeba ją wykorzystać. W przeciwnym razie zginiesz tylko, a jeśli się uratujesz, możesz jeszcze w życiu coś zrobić.

W tej chwili spoza okrętu ukazała się duża łódź żaglowa. Na niej prócz wioślarzy był oficer i sygnalista z dwiema chorągiewkami w rękach. Gdy się zbliżyli zupełnie do szalupy, oficer kazał nam przejść na łódź. Kiedy się spostrzegł, że nikt z nas nie może zrobić tego o własnych siłach, na jego rozkaz marynarze — zresztą dość bezceremonialnie — przenieśli każdego z nas za ręce i nogi. Nie wzięli tylko Szapowałowa — okazało się, że nie żyje. Ze smutkiem pożegnaliśmy go spojrzeniem.

W taki sam sposób zabrano nas z łodzi na burtę okrętu. Stamtąd przeniesiono nas w pobliże szybu maszynowni. Tutaj lekarz okrętowy otworzył polową apteczkę i naprędce przewiązał nam rany i wrzody, których się nabawiliśmy w tych dniach niedoli. Leżeliśmy rzędem na pokładzie, a wokół nas tłoczyli się japońscy marynarze, przyglądając się nam z ciekawością.

Rozglądnąłem się wokół. Sądząc z urządzenia i uzbrojenia pokładu, był to sieciowy minowiec przeciw łodziom podwodnym. Załoga jego składała się ze stu dwudziestu do stu czterdziestu ludzi. Nikt z otaczających nas nie mówił ani po rosyjsku, ani po angielsku. Wtedy, jak mogłem, starałem się im wyjaśnić po japońsku, że prosimy przede wszystkim, by pogrzebali wedle morskiego obyczaju naszego zmarłego towarzysza, który pozostał w szalupie. Zawiadomiłem ich również, że na oceanie jest w potrzebie także nasza łódź żaglowa, na której znajduje się dwudziestu ludzi. W końcu poprosiłem ich, by nam przynieśli więcej słodkiej wody, ponieważ od dawna męczy nas pragnienie.

Marynarze dość szybko i sumiennie spełnili naszą prośbę. Wręczono mi dzie-

sięciolitrową bańkę wody, którą od razu wypiliśmy. Podczas gdy nas przeprowadzano na drewniany pokład tylnej części okrętu, japońska łódź znowu popłynęła do naszej szalupy. Pochowano Szapowałowa, a z szalupy przywieziono siekierę szczelnie owiniętą w papier i dwie puszki z czekoladą. Położono to obok nas jako naszą własność.

Tutaj też przyniesiono nam obiad. Był dość skąpy: składał się z gotowanego ryżu. Ale nie mieliśmy jeszcze apetytu i ledwie tknęliśmy jedzenie. Jeden z Japończyków otworzył nożem puszkę z czekoladą i podsunął ją nam. Nie chcieliśmy jeść i poprosiliśmy, żeby marynarze jedną puszkę zanieśli jako podarek komendantowi statku, a drugą żeby zabrali sobie.

W tej chwili przyszedł sam komendant minowca — Matsui Chosi, niezwykle gruby i wysoki jak na Japończyka. Wskazując na nas palcem zapytał po angielsku:

— Niemcy?

— Nie — odpowiedziałem.

— Amerykanie?

— Nie, jesteśmy Rosjanie, z radzieckiego okrętu.

— Filipińczycy? — zapytał znowu komendant, nie zwróciwszy uwagi na moją odpowiedź.

Możliwe, że nie wiedział, jak się mówi po angielsku „Rosjanin", a sądząc z naszych twarzy umazanych smarem przypuszczał, że jeśli nie jesteśmy ani Niemcami, ani Amerykanami, to musimy być Filipińczykami.

— Jesteśmy radzieckimi marynarzami z radzieckiego okrętu — powiedziałem powoli, starając się by mnie zrozumiał.

— Aha!... Filipińczycy! — odburknął komendant z rozdrażnieniem i odwróciwszy się odszedł.

Zmienił go pierwszy oficer. Informował się z jakiego jesteśmy okrętu i jaką funkcję spełniał każdy z nas. Wyraźnie go zainteresowała wiadomość, że nasz statek został storpedowany. Wpatrując się w nas z uwagą szybko zapytał, kiedy to się stało.

— No, zaczyna się już włażenie za skórę — porozumiałem się wzrokiem z Motinem. Znaliśmy szczególną namiętność japońskich oficerów i policji do śledztwa. — Trzeba się teraz mieć na baczności!...

Ale tego dnia więcej się nami nie zajmowano. Tylko wieczorem, kiedy znów zerwał się mocny wiatr i deszcz zaczął zalewać pokład, przeprowadzono nas do komory pod pokładem. Dwóch marynarzy przyniosło baki z gorącą wodą i mydło. Trudno wypowiedzieć, jak bardzo się tym ucieszyliśmy. Ale ani woda, ani nafta nie mogły zmyć smaru, który wżarł się w skórę. Tu też ułożono nas na noc. Na drewnianych kratach rozścielono dwa płótna żaglowe, takie same dwa płótna dano nam do przykrycia się zamiast koców. Pod głowę podłożono drewniane zatyczki od iluminatorów.

Do komory przychodzili znowu po kolei komendant minowca i jego zastępca. I jeden, i drugi — popatrzywszy tylko na nas w milczeniu — odeszli. Koło nas siedział nieodstępny wartownik. Od czasu do czasu lekkim sztur-

chańcem pomagał obrócić się temu czy owemu. Nie mogliśmy jeszcze chodzić o własnych siłach i przez cały czas leżeliśmy. Od drewnianych krat bolały nas kości, obciągnięte tylko wyschniętą skórą, ale ledwie któryś z nas próbował usiąść, natychmiast walił się bez sił z powrotem. Mnie prócz nóg obumarły również palce u rąk: bez przerwy poruszałem nimi, by nie dać krwi zupełnie się zastać.

Trzymając się filarów i grodzi, wypełzłem na wierzchni pokład. Na oceanie szalał sztorm, statek kołysał się silnie, fale przerzucały przez burtę całe garście bryzg. Po zaduchu pod pokładem przyjemnie było odetchnąć świeżym, morskim powietrzem.

Przełożyła *Zofia Marynowicz*

ALEKSY TOŁSTOJ

ĆWIERĆ WIEKU LITERATURY RADZIECKIEJ[1]

ODCZYT NA JUBILEUSZOWEJ SESJI AKADEMII NAUK ZSRR 18 LISTOPADA 1942

Dwadzieścia pięć lat istnienia literatury radzieckiej przypada na okres między dwiema wojnami.

Obecna wojna, szczególna i niezwykła, wstrząsnęła ludzkością w podstawach bytu i powołała masy ludowe do najwyższego napięcia woli i moralnego wysiłku. Obecna wojna — to wojna motorów. Jest tak rzeczywiście, ale to nie pełna definicja: motorów i siły przezwyciężania cierpień, siły moralnej.

W tej wojnie nie szczęście, nie przypadek i nie tylko talent wodza przyniosą zwycięstwo; zwycięży ta strona, po której jest więcej motorów i twardszy duch moralny narodu.

Kategorie moralne zyskują w tej wojnie decydujące znaczenie. Słowo to już nie tylko węgiel, gorejący w sercu człowieka[2], słowo idzie do ataku milionami bagnetów, osiąga moc artyleryjskiej salwy.

Oto dlaczego dziś zwłaszcza godzi się mówić o literaturze, o tych, którzy budują twierdzę niewidzialną, twierdzę duszy narodowej.

Pod batem faszyzmu gna naród niemiecki w tył — poprzez wieki kultury — w pieczary człowieka jaskiniowego. I Niemcy, z pożądliwym rykiem, bez protestu rzucają się w tę mętną przepaść, na dno historii, na ogryzione kości.

Gdzie leży przyczyna upadku narodu niemieckiego? Dlaczego z wieku na wiek ogarnia go gorączka wojny i grabieży? Dlaczego Niemcy hitlerowskie stały się socjalnie niebezpieczne?

Ich ciężki przemysł — ten prawdziwy władca kraju — wyciągnął naukę z klęski w kampanii 1914—1918 i tym razem, dla swej nowej ekspansji wojennej, pomyślanej na znacznie szerszą skalę niż za Wilhelma II, przeprowadził przy pomocy terroru długie i głęboko sięgające przygotowanie całego narodu nie-

---

[1] Instytut Literatury Światowej im. Gorkiego przygotował w czasie wojny t. XI „Historii literatury rosyjskiej" — obejmujący literaturę radziecką. Prace nad tym tomem posłużyły za podstawę mego odczytu. (Przyp. aut.).

[2] Aluzja do wiersza Puszkina „Prorok".

mieckiego; faszyzm oprócz innych zadań postawił sobie za zadanie, by przy użyciu przemocy od nowa wychować Niemca; faszyzm wykorzystał te wszystkie cechy niemieckie, które były specyficzne dla tego narodu, wyhodował bujnie wszystkie nasiona zła, które w innych epokach może tylko drzemały w nim; przede wszystkim zaś kołtunerię niemieckiego drobnomieszczanina; kołtunerię przeciwstawiającą się kulturze humanistycznej i bezmyślnie, złośliwie jej nienawidzącą, dziesięciofenigową kołtunerię, od której tylko krok do stanu dwunogiego zwierzęcia jaskiniowego; kołtunerię od wieków błogosławioną przez złotego kogucika z dachu ponurej ceglastej *Kirche*, kołtunerię, która znalazła swój ziemski raj w socjaldemokratycznych opłotkach Kautskiego i na koniec wściekłym wyciem wilków odpowiedziała na wezwanie do światowej grabieży.

Inny obraz odsłania się przed nami, gdy przeglądamy historię rosyjską, historię narodu radzieckiego. Tutaj na pierwszym planie — marzenie o wysokiej sprawiedliwości, walka o sprawiędliwość, budowa sprawiedliwych form życia społecznego. Światło moralne nie zagasło w narodzie rosyjskim nigdy, nawet w najtrudniejszych i najcięższych czasach. To dziwnie jaśniało w twórczości ludowej, w bajkach i pieśniach, to tliło się niby płomyk lichej świecy w celi kronikarza, to wzywało do bohaterstwa sumienia w utworach szalonego Awwakuma [1]. Coraz silniej rozpalając się, oświetliło ono świat niegasnącym płomieniem literatury rosyjskiej — od Łomonosowa do dni naszych.

Ze względu na siłę ognia ideowego i moralną głębię obrazów, na bogactwo i plastykę języka — nasza literatura to zjawisko zadziwiające, jedyne w literaturze światowej, wywołujące głębokie poważanie każdego, kto myśli. Niesiemy światu taki obraz człowieka, z którym i żyć mogą ludzie i zwyciężać w imię dążenia ku doskonałemu.

Październik był granicą, którą zamyka się ogromny okres rozwoju literatury rosyjskiej — realizm krytyczny. Obecna Wojna Ojczyźniana zakończyła dwa i pół dziesięciolecia literatury radzieckiej — okres poszukiwań socjalistycznego realizmu pozytywnego, opartego na odzwierciedlaniu wszystkich społecznych procesów walki i budownictwa nowego sprawiedliwego świata oraz wytężonych przygotowań do obrony przed nadciągającą wojną światową. Z jej wybuchem literatura radziecka rozpoczęła swój nowy okres: poszła w okopy i do fabryk i staje się żywym i bezpośrednim głosem walczącego narodu, niemal twórczością ludową.

Z pozycji dnia dzisiejszego ogarniamy wzrokiem drogę przebytą przez literaturę klasyczną i radziecką.

Dostojewski powiedział o pisarzach rosyjskich, że „wszyscy oni wyszli z »Płaszcza« Gogola". Ale czy tak było naprawdę? Obok galerii „skrzywdzonych i poniżonych", obok słodkiej, bezczynnej melancholii rosyjskiej, obok

---

[1] Protopop Awwakum (1620—16892), przywódca ruchu *raskolników* (staroobrzędowców). Zwalczał oficjalną cerkiew prawosławną, krytykował gwałty i nadużycia ze strony szlachty i wyższego duchowieństwa, występował przeciw carowi. Spalony na stosie.

monstrów miasta Głupowa[1] wstają obrazy prostych, odważnych, szlachetnych patriotów rosyjskich, Griniewa, Tuszyna, Denisowa, bohaterzy „Opowiadań sebastopolskich" i „Wojny i pokoju". Ta linia literatury rosyjskiej prowadzi wprost do Stalingradu, do tych bohaterów Armii Czerwonej, których podziwia świat.

Zbyt wiele oddano w historii literatury i w jej wykładaniu „niepotrzebnym ludziom", ludziom Czechowa — tak wiele, że Niemcy szeroko wykorzystali ten motyw dla celów propagandowych, usiłując przedstawić Rosjanina jako „niepotrzebnego człowieka".

A przecież siłą klasycznej literatury rosyjskiej XIX w. było właśnie to, że przedstawiając skrzywdzonego i poniżonego, przekonywała czytelnika o konieczności rewolucyjnego rozwiązania, mówiła mu: „Człowiek jest stworzony do szczęścia jak ptak do latania" i na koniec: „Człowiek — to brzmi dumnie!"[2]

Na szczycie literatury klasycznej stoi ogromna postać Lwa Tołstoja. Jest on pełen przeciwieństw, albowiem całym odsłoniętym do głębi sumieniem tchnie przeciwieństwami swego czasu. Gotów pożerać samego siebie. Jego siła to — jak u Anteusza — ziemia, naród, niewyczerpana siła moralna narodu. Po Lwie Tołstoju literatura, przeszedłszy punkt szczytowy, chyli się ku upadkowi. Lew Tołstoj pisze do N. Strachowa: „Po Puszkinie, Lermontowie, Gogolu jeden kierunek naszej literatury zupełnie upadł, drugi poszedł w lud, uszedł pod ziemię i, Bóg da, wypłynie... Szczęśliwi ci, którzy będą uczestniczyć w wypływaniu".

Lew Tołstoj odszedł pod ziemię, jak Wij[3], zamknąwszy gniewne powieki. Z ironicznym westchnieniem odszedł Czechow. W smutku oczekiwania na groźny odwet męczył się Aleksander Błok, ażeby wyśpiewać „Scytów" i „Dwunastu" i odejść przed czasem. Klasyczny okres realizmu krytycznego zakończył się. Pozostawała jedna postać — Gorkiego, i on zrobił krok w przyszłość, ażeby rozpocząć nowy okres literatury radzieckiej.

Gorki znajduje się na granicy dwóch epok. To żywy most między naszym klasycznym dziedzictwem a nami. Gorki zjawił się w literaturze jako zwiastun rewolucji, przyszedł, by „nie zgadzać się z ołowianymi nikczemnościami życia" i pokonać je. W oparciu o marksizm, o rozmowy z Leninem, o znajomość życia ludu, o swe własne doświadczenie życiowe, stworzył on poezję walczącego humanizmu. I humanizm ten stał się sztandarem literatury radzieckiej.

W klasyczny realizm rosyjski wniósł Gorki te nowe rewolucyjno-romantyczne elementy, które w literaturze radzieckiej rozwinęły się jako osobny kierunek — realizm socjalistyczny.

Na zjeździe pisarzy w r. 1934 mówił Gorki: „Jesteśmy w przededniu katastrofy, faszyzm przygotowuje nową rzeź światową...". I dalej, jakby w przewidywaniu dzisiejszych czasów: „Wstępujemy w epokę, pełną ogromnego tra-

---

[1] Nazwa fikcyjnego miasta z satyrycznej powieści „Historia jednego miasta" Sałtykowa-Szczedrina.

[2] Słowa M. Gorkiego.

[3] Bohater opowiadania N. Gogola pod tymże tytułem.

gizmu i naszym obowiązkiem jest przygotowywać się, uczyć się odtwarzać ten tragizm w tak doskonałych formach, w jakich umieli odtwarzać go starożytni tragicy... Historia powołała nas do bezlitosnej walki ze starym światem".

I jakby w odpowiedzi na te słowa nastąpiło zabójstwo Gorkiego, dokonane z rozkazu faszystów przez ich bezpośrednich agentów.

Gorki wypiastował literaturę radziecką i poprowadził ją w kierunku odkrycia ogólnoludzkiego sensu tych głębokich procesów społecznych i ekonomicznych, które rozpoczynały się w byłym cesarstwie rosyjskim — poważnie i na długo.

To właśnie — ogólnoludzki sens etyczny i historyczny całego budownictwa radzieckiego jako jedynej drogi rozwoju społecznego — było tą nowością, tym walorem, który wniosła literatura radziecka do skarbnicy literatury światowej. To, co udało się ludziom radzieckim zdobyć i zbudować, te cechy ludzkie, które ludzie radzieccy przy tym wykazali, te idee, które były ich natchnieniem w wytrwałym budowaniu nowego społeczeństwa — wszystko to posłużyło pisarzom radzieckim jako materiał, temat, idea ich utworów.

Więc chociaż ci i owi z nich byli zbyt prostolinijni, schematyczni, ci i owi zamiast piórem posługiwali się pałką, inni nie wytrzymali krytyki czasu — jednak w nich wszystkich bije tętno niepowtarzalnych epok, wojny domowej, budownictwa pięciolatek, walki o bezklasowe społeczeństwo, epok, które są nauką dla całej ludzkości.

Literatura radziecka nie tylko stawia pytania dotyczące losów i dróg człowieka: „co robić?" i „kto winien?", jak stawiała je literatura klasyczna, lecz także odpowiada na owe pytania, odpowiada z męstwem, które podsłuchała w łoskocie narodowego budownictwa. Chętnie pokazuje ona momenty przemiany moralnej człowieka przy zetknięciu się ze społeczeństwem budującym sprawiedliwość.

Typowy bohater literatury radzieckiej — to człowiek idei i czynu ukazany poprzez historyczne dzieło swego narodu. Dzieło jest tak wielkie, że nierzadko bohater narracji niknie za konturami budowy i prawdziwym bohaterem staje się fabryka, miasto, tama, kopalnia...

W bohaterze literatury radzieckiej mało jest refleksji, autoanalizy, bez porównania mniej niż w bohaterach klasycznych, — bo jest on pionierem nowego kontynentu, ma zakasane rękawy, gruby głos, jest małomówny; wie dokąd ma iść i co robić. Portret jego często jest namalowany w sposób powierzchowny i niepogłębiony. Na głęboko ujęty portret człowieka zdobędzie się literatura radziecka dopiero w czasie tej wojny, pełna podziwu i wzruszenia wobec wzniosłości ducha moralnego dwudziestu ośmiu gwardzistów, komsomołki Zoi, i dziesiątków i setek podobnych im bohaterów, synów narodu.

Literatura rosyjska jest ludzka jak żadna inna z literatur. Ale humanizm literatury klasycznej różni się zasadniczo od humanizmu radzieckiej. Tam — ból, litość nad człowiekiem, współczucie dla niego, tu — realna skuteczna walka o stworzenie warunków dla ludzkiego szczęścia. Tam ludzkość psychologiczna. Tu — l u d z k o ś ć h i s t o r y c z n a, określona przez samą treść ideałów i dą-

żeń narodu. Tam — człowiek jako przedmiot psychologicznej wiwisekcji, tu — człowiek historyczny.

I niedarmo w literaturze radzieckiej tak bujnie rozwija się powieść historyczna, czego nie było w literaturze klasycznej. Tam mówiono o mesjanizmie i często mocno zabarwiano te mgliste idee gloryfikacją pańszczyzny i „czarnej sotni". Tu, w żywej rzeczywistości, pisarz radziecki ujrzał historycznie uwarunkowany, prawdziwie narodowy charakter rosyjski, rozwijający się dziś w niezwykłym, ofiarnym bohaterstwie twórczej pracy i krwawej walki z faszyzmem. I po raz pierwszy, jak dzwon grodu Kitieża[1], zabrzmiały w literaturze radzieckiej słowa: święta Ojczyzna.

Całe doświadczenie literatury zeszłego stulecia prawie nie dało nam doświadczenia artystycznego, tradycji i stylu dla przedstawienia optymistycznej, afirmującej życie siły, która wchodzi w życie, ażeby je przekształcić.

Nie posiadając uprzedniego doświadczenia, literatura radziecka szuka form i stylu dla afirmującego życie realizmu. Wiele w niej jeszcze nieodnalezionego i niedojrzałego. Styl i forma pomyślniej rozwijają się w okresach zacisza, pewnej stabilizacji, spokoju życiowego. U nas — nie ma zacisza. Nasze dwudziestopięciolecie to gwałtowny ruch naprzód w uporczywej walce, w wiecznym zmaganiu się z trudnościami. Stąd jeszcze niedojrzałe pisarstwo wielu naszych autorów, ich prostolinijność, często ze szkodą dla wielostronności i bogactwa stylu.

Socjalistyczna ideowość — to pierwsze zasadnicze i główne osiągnięcie naszej literatury. Drugie jej osiągnięcie — prawdziwie ludowy charakter. Literatura radziecka nie od razu owładnęła tą największą dla każdego pisarza możliwością — rozmawiać z narodem i być zrozumiałym dla narodu. Z tego punktu widzenia pouczające są niektóre momenty historii literatury ubiegłego dwudziestopięciolecia. W rozwoju swym przebyła ona w zasadzie dwa etapy, odpowiadające dwu wielkim etapom rozwoju naszego kraju. Pierwszy etap: od Października do roku, który został nazwany przez Stalina „rokiem wielkiego przełomu"[2]. Drugi — od początku lat trzydziestych do Wojny Ojczyźnianej. Obecnie, jak już powiedziałem, rozpoczyna się nowy etap literatury radzieckiej.

Od Października do roku wielkiego przełomu w kraju nie było jeszcze w praktyce rozstrzygnięte pytanie: „Kto kogo?", w społeczeństwie toczyła się walka między elementami socjalistycznymi a kapitalistycznymi, walka o kierunek i treść procesu rewolucyjnego. Wszystko to znajdowało odzwierciedlenie w ideach, problemach, tematach, stylu literatury.

Z początkiem lat trzydziestych zaczyna się krystalizować nowe, socjalistyczne społeczeństwo. W kraju — wytężone budownictwo pięciolatek. Lite

[1] Legendarny gród na Rusi. Podania ludowe opowiadają, że zniknął w czasie najazdu tatarskiego pod falami jeziora, spod których wydobywają się dziś jeszcze dźwięki cerkiewnych dzwonów.

[2] Rok 1929.

ratura stara się odzwierciedlić te nowe procesy społeczne. Walka grup i kierunków charakterystycznych dla poprzedniego okresu zamiera, ustępując miejsca ideowej zwartości, która czasami nabiera niepożądanych cech powszechnego ujednostajnienia. Wybór tematów, sposób narracji, stosunek do przedmiotu, do człowieka, wszystko co nazywamy stylem — jest podporządkowane celom, do których zmierza posuwające się naprzód budownictwo. Literatura zabarwia się patetyką czasu i dąży do poznania i odtworzenia rzeczywistości. Następuje rozkwit reportażu i nierzadko realizm dochodzi do niebezpiecznej granicy naturalizmu.

W pierwszym etapie czyli okresie można wyróżnić pewne literackie cykle. To przede wszystkim lata wojny domowej, a następnie NEP-u.

Październik zastał literaturę rosyjską, reprezentowaną przez epigonów wielkiego stulecia, w stanie upadku i rozkładu. Z niewielkimi wyjątkami, z wyjątkiem Gorkiego, była ona daleka od narodu i obca mu. Zerwano ostatnie nici łączące ją z wolnościowymi tradycjami XIX w. Wojna 1914 r. bezlitośnie ujawniła ten upadek, kiedy pierwszy lepszy esteta, poeta Igor Siewierianin strzelał w pustkę frazesem: „Wtedy ja, wasz subtelny, wasz jedyny — powiodę was na Berlin". Najgorszą lichotą w rodzaju „Z żelazem w ręku, z krzyżem w sercu" Mujżela i setek innych rymopisów zapełnione były szpalty gazet i czasopism. Ażeby stać się zrozumiałą dla walczącego narodu, literatura pierwszej wojny światowej zeszła ze swej wieży i w pośpiechu ucharakteryzowawszy się na patriotkę zaczęła odgrywać komedię, przedrzeźniać, lamentować — na wszystkie fałszywe tony. Naród nie przyjął i gniewnie odepchnął od siebie tę błaznującą — jaśniepanią.

Porównajcie ją z literaturą drugiej wojny światowej, naszych dni, kiedy całym dążeniem literatury radzieckiej jest dorównać moralnej wysokości i bohaterskim czynom walczącego narodu rosyjskiego. Literatura naszych dni to sztuka prawdziwie narodowa, potrzebna całemu narodowi, wzniosła, prawdziwie ludzka. Poziom jej szybko się podnosi. To wiersze Twardowskiego, Simonowa, Isakowskiego, Selwińskiego, Surkowa, ostatnie wiersze Anny Achmatowej, satyry Marszaka, opowiadania leningradzkie Nikołaja Tichonowa, utwory Erenburga i Korniejczuka, opowiadania Sobolewa, Paustowskiego, reportaże Borysa Garbatowa, opowiadania i reportaże Wasyla Grossmana, zmarłego Polakowa, opowiadania wojenne niezawodowych pisarzy z rangami majorów i pułkowników, „Tęcza" Wandy Wasilewskiej i wiele innych.

W pożarach Października znaczne odłamy inteligencji straciły orientację, nie mając sił by zrozumieć, jakie nowe wartości wnosi w życie klasa robotnicza, i odwróciły się od rewolucji. Jednak co tylko było najlepszego w naszej inteligencji — w literaturze w szczególności — poszło z rewolucją. Słusznie mówił wtedy (w styczniu 1918 r.) Aleksander Błok: „Sprawą artysty, obowiązkiem artysty jest widzieć to, co pomyślane, słuchać tej muzyki, którą huczy targane wiatrem powietrze".

A było pomyślane:

„Przerobić wszystko. Urządzić tak, żeby wszystko stało się nowe, żeb nasze życie — kłamliwe, brudne, nudne, potworne, stało się życiem sprawie dliwym, czystym, wesołym, pięknym".

Ten właśnie nastrój oczyszczającej wszystko rewolucyjnej zamieci, któr wtargnęła w kłamliwe i ponure życie, tchnął Błok w poemat „Dwunastu" Więcej w nim jednak poetyckiego uniesienia niż zrozumienia historii.

Wraz z Październikiem zdobył swe miejsce w literaturze obraz narodu Pojawił się jako całość jednolita, masowa, w której nie można rozróżnić indy widualności. Indywidualność wydawała się wtedy nieodłączna od burżuazyj nego indywidualizmu i była wraz z nim odrzucana. Taki jest ów człowiek masa w „150.000.000" Majakowskiego, w opowieści „Upadek Dairu" Ma łyszkina i częściowo w „Żelaznym potoku" Serafimowicza.

Moment negacji całego dziedzictwa literackiego, potępienia w nim szlachec kiego i burżuazyjnego indywidualizmu i klasowo wrogiej literatury — przyj mował w tych wczesnych latach zwyrodniałe formy. Do literatury popaździer nikowej weszli ludzie ze środowiska burżuazyjnego, i drobnomieszczańska intel gencja, i młodzież wprost z pobojowisk wojny domowej, z warsztatów i fabryk, wiejscy korespondenci i nauczyciele, i inni. Była także znaczna grup ludzi, w których istniała wewnętrzna sprzeczność między publicystycznym zapałem rewolucyjnym a nastrojami wrogimi rewolucji.

Ta negacja dziedzictwa literackiego najsilniej przejawiła się w *Proletkulcie*[2] a następnie w RAPPie[3]. Doszła do głosu tendencja, by przeciwstawiać kultur proletariacką całej kulturze ludzkości, a stąd tendencja, by walczyć z upio rami przeszłości[4] i palić muzea. Była to cechowa ciasnota i „machajszczyzna"[5] które wyrządziły niemało szkody w naszej literaturze i wypaczyły niemał życiorysów pisarzy.

Cała głęboka mądrość „teoretyków" *Proletkultu* i RAPPu ograniczyła si do sortowania utworów i samych pisarzy na czarnych i białych, na burżua zyjnych, których należy wyniszczyć wszelkimi sposobami, i proletariackic których należy wychwalać. Wiele tu wywodziło się ze zwykłego nieuctwa ze starego rosyjskiego nihilizmu, lecz była także wyraźna robota agentów faszystowskich, którzy dostali się do literatury. Patos rewolucyjnej przebudowy świata sprowadzali oni do krzykliwej i pełnej pogróżek demagogii.

Ale siła ruchu literackiego rewolucji była w tym, że tętnił on jednym ryt mem z masami ludowymi, i że w liniach zasadniczych kierowała nim partia

---

[1] W oryginale „raznoczynnaja". „Raznoczyncami" nazywano w carskiej Rosji ludzi, którzy wyszli z „nizin" społecznych, więc synów mieszczan, chłopów, niższego duchowieństwa

[2] *Proletkult* (skróc. „Kultura proletariacka") — organizacja dla opracowywania zagadnie kultury proletariackiej i jej propagowania. Działała w latach 1918—1923.

[3] Skrót: *Rossijskaja Assocjacija Proletarskich Pisatielej* (Rosyjskie Stowarzyszenie Pisarzy Proletariackich). Istniała w l. 1925—1932.

[4] Dosłownie: „wbijać osikowe koły". Według wierzeń ludowych wilkołaka, wiedźmę, zna chora — przebi a się po śmierci osikowym kołem, ażeby nie straszyli.

[5] Nazwa odłamu w rosyjskim ruchu robotniczym, który zwracał się przeciw inteligenc jako klasie rzekomo eksploatującej proletariat (od nazwiska teoretyka, Wacława Machaj skiego).

raz sam Lenin i Stalin. Literatura radziecka od człowieka-masy doszła w swym wierćwiekowym rozwoju artystycznym do człowieka indywidualnego, przedtawiciela walczącego narodu, od patosu kosmopolityzmu, a czasem i pseudonternacjonalizmu, do Ojczyzny jako jednego z najgłębszych i najbardziej poeycznych tematów.

W centrum życia literackiego lat dwudziestych stoi Majakowski. Wszedł n do literatury po r. 1912 na grzbiecie wzrastającej fali rosyjskiego ruchu obotniczego i odzwierciedlił w swej twórczości właśnie to nadciąganie rewoucji. Początkowo jego rewolucyjny protest zamykał się w ramach estetycznej valki prowadzonej przez grupę futurystów. Październik dał prawdziwy roznach jego twórczości. Właśnie w walce o socjalizm wyrósł on na ludowego oetę-trybuna, dla którego „ulice — nasze pędzle, place — nasze palety". Co ie było dane wypowiedzieć rwącemu się do rewolucji Błokowi, to wypoviedział Majakowski: potężnymi ciosami przerobić, przebudować świat, pełen ałszu i potworności. Nikt tak jak Majakowski nie wyraził duszy rewolucji.

Byron zapełnił początek XIX w. obrazami buntowniczego protestu walzącego z Bogiem człowieka, samotnika pasującego się ze złymi demonami wiata. Na początku XX w. z inną, lecz niemniejszą siłą zabrzmiał głos poety ewolucji proletariackiej. „Niech naszym wspólnym pomnikiem będzie w boach zbudowany socjalizm". Majakowski stworzył nowy monumentalny styl oezji rewolucyjnej — ogromne płótna, malowane z rozmachem i pasją. Była o poezja powstania, w której dudnił krok idącego naprzód proletariatu: „Leva, lewa, lewa". Była to poezja wyciągniętej naprzód wskazującej ręki, jako odpowiedzi na pytanie — co robić ma człowiek dziś, teraz, natychmiast, eśli jest po stronie rewolucji proletariackiej. Stąd właśnie ogromne wrażenie, akie wywarł on na rewolucyjnej i postępowej poezji całego świata, i głęboki vpływ na poetów wszystkich literatur Związku Radzieckiego. Dlatego właśnie Stalin nazwał Majakowskiego „najlepszym, najbardziej utalentowanym oetą epoki radzieckiej".

O Majakowskim można powtórzyć to samo, co Herzen powiedział o Bieinskim: „Był to »człowiek ekstremu«", człowiek skrajności. Kultura radziecka piera się na określonym połączeniu pierwiastków nowatorskich i tradycyjnych, na krytycznej rewizji historii, tak by nowe wyrastało ze zdrowych i głębokich korzeni. W maksymalizmie Majakowskiego dźwięczy fanfarą czysto osyjski motyw wyniesienia ponad wszystko — rozpędu całego narodu w przyszłość, bez żalu za przeszłością: „Sławię ojczyznę, która jest, lecz trzykroć tę, która będzie".

Majakowski absolutnie panuje nad naszą wyobraźnią, kiedy w twórczym porywie pragnie „wszystko przerobić", i mniej mówi naszemu zranionemu ercu, gdy dziś jest ono pełne patriotycznego bólu i w bólu tym znajduje gniew, ofiarność i heroiczną siłę.

Radziecka proza artystyczna i w dużej mierze dramaturgia wyszły z tematyki wojny domowej. Pierwsze pokolenie pisarzy radzieckich, np. „Bracia Se-

rapionowi"[1], przyszło do literatury, pod bezpośrednie kierownictwo Maksym Gorkiego, prosto z frontu. Przynieśli oni ze sobą, jak przestrzelone płaszcz na ramionach, romantykę wojny domowej, heroizm narodu, który z rozpaczl wym męstwem rozbijał białe armie.

Najlepsze utwory tego pierwszego etapu literatury radzieckiej nasycone s poezją bohaterstwa wojny proletariackiej: „Czapajew" Furmanowa, „Żelazn potok" Serafimowicza, „Wirineja" Sejfulliny, czarowny poemat Bagrickieg „Duma o Opanasie", „Opowieści partyzanckie" i „Pociąg pancerny" Wsiewo łoda Iwanowa, „Miasta i lata" Fiedina, „Lubow Jarowaja" Treniowa, „Roz grom" Fadiejewa, „Pierwsza konna" Wiszniewskiego, „Ulalajewszczyzna" Se wińskiego i wiele innych. „Poemat pedagogiczny" Makarenki — poemat o he roicznej pracy nad wewnętrzną przebudową człowieka — również można zal czyć do romantyki owych lat.

Należy zaznaczyć, że później, w latach trzydziestych, heroicznym temate wojny domowej posłużyło się wielu pisarzy, ażeby dać wyraz, na nowym ju etapie ideowym, potężniejącym uczuciom patriotycznym, które wzrastały w na szym kraju w związku z przygotowaniami obronnymi, poczynionymi w prze widywaniu drugiej wojny światowej. Tutaj należy np. powieść „Nad Kuba niem" Pierwiencewa, „Parchomienko" Wsiewołoda Iwanowa, „Samotność Wirty, „Jam syn ludu pracującego" Katajewa, sztuki Pogodina: „Człowie z karabinem" i „Kremlowskie kuranty"[2].

Drugie niepospolite zjawisko w naszej literaturze to Michał Szołochow. Zro dziła go bez reszty Rewolucja Październikowa, stworzyła epoka radzieck Przyszedł do literatury z tematem narodzin nowego społeczeństwa w mękac i tragedach walk społecznych. W „Cichym Donie" stworzył epicki, nasycon zapachami ziemi malowniczy obraz życia dońskich Kozaków. To jednak n ogranicza wielkiego tematu powieści: „Cichy Don", dzięki swemu językow serdeczności, ludzkości i plastyce — jest dziełem wszechrosyjskim, narodowym ludowym.

Dziś, gdy naród rosyjski toczy tytaniczną walkę i w centrum naszej uwag znajduje się nie ofiara procesu historycznego, jaką jest bohater „Cichego Do nu" Mielechow, lecz bohater ludowy — rosyjski heros, widzimy także niedo statki tej powieści: od Mielechowa do żołnierza Armii Czerwonej, który rzuc się z wiązką granatów pod nieprzyjacielski czołg, aby zniszczyć go za cen swego życia — nie można przeprowadzić linii genetycznej. Mielechow to tylk ofiara, ginąca w sprzecznościach procesu historycznego. Ale Kozacy dońsc przezwyciężyli te sprzeczności, i dziś ich gorącą miłość ku radzieckiej ojczy

---

[1] Ugrupowanie młodzieży literackiej w pierwszych latach powojennych. Należeli tu: F Fiedin, W. Iwanow, M. Zoszczenko, M. Słonimski, L. Łunc, B. Kawierin, N. Tichonov E. Połońska, W. Szkłowski, I. Gruzdiew. (Nazwa nawiązywała do opowiadania E. T. A Hoffmanna).

[2] Odrębne miejsce wśród powieści radzieckich o wojnie domowej zajmuje trylogia Al. To stoja „Droga przez mękę", której Tołstoj nie wymienia (t. I. „Siostry", t. II „Rok osien nasty", t. III. „Pochmurny ranek").

.nie, dawne zuchwałe męstwo i ostre szable — odczuwają na swoich karkach :ołnierze Hitlera.

Wiele było sporów literackich, czy słuszna była droga kozaka Mielechowa viodąca po stronicach świetnej powieści Szołochowa — samo życie rozstrzy-gnęło te sprawy.

Wraz z NEPem do literatury lat dwudziestych napłynęło wiele sprzecz-nych motywów. Można poniekąd mówić o „nepowskim" cyklu literackim. Od-nosi się to przede wszystkim do satyrycznego nurtu w prozie i dramacie. W atmosferze przeciwieństw rodziła się złośliwie uśmiechnięta, mądra, urocza proza Zoszczenki, z jej ironicznie pomniejszonym drobnomieszczańskim boha-erem, którego on i wyśmiewa i nad którym się lituje. Nepowski czerwony kupiec — to śmieszna i żałosna karykatura europejskiego *bourgeois*, to prze-biegły, umiejący przystosować się do sytuacji krętacz, przekupień, który roz-kłada swój kramik w obozie surowych żołnierzy, odpoczywających między dwiema walkami.

Jeszcze wczoraj widzieliśmy i w kuchni i w tramwaju bohatera Zoszczenki. Dziś już go nie ma. Historia posuwa się ogromnymi krokami, i teraz ostrze satyry winno być skierowane przeciw innym zjawiskom naszego życia. Czę-kamy na nową satyrę, jest nam ona niezbędna w twórczej pracy, — świadczy o tym np. pożyteczny oddźwięk, jaki wywołał „Front" Korniejczuka, choć znajdują się w nim zaledwie elementy satyry.

Siłę satyrycznego oręża najlepiej ilustrują teraźniejsze artykuły dziennikar-kie Ilii Erenburga. W latach dwudziestych pisał on satyryczne powieści (naj-lepsza z nich — „Julio Jurenito"), skierowane przeciw „tłustym" z ich podło-cią i bagnem moralnym. Powieści okazały się dobrą szkołą. Jego gniewna, kipiąca nienawiścią satyra na „fryców", to nie ukłucie osy, lecz śmiertelna seria z karabinu maszynowego. Jego maleńkie artykuły, wycięte z gazet, można zna-leźć przybite zapałką do ścian okopów pierwszej linii.

Iluzoryczna „lekkość" NEPu odbiła się na samym charakterze satyry tych czasów. Tak Ilf i Pietrow, w powieściach „Dwanaście krzeseł" i „Złoty cielec", przenieśli wyśmianych przez siebie ludzi i fakty na niższy — ironiczny plan,— nie chłostając ich z gniewem; Ostap Bender nie budzi u czytelnika żółci, czy-telnik tylko uśmiecha się — jednym szczutkiem można obalić takiego wroga. „Głupi zaczyn życia", według wyrażenia Sałtykowa, w warunkach NEPu stawał się tylko brudną pianą i wywoływał raczej ironiczną pogardę niż przy-tęp sprawiedliwego gniewu.

Krytyczny sektor realizmu socjalistycznego posiada wszystkie przesłanki dla swego rozwoju. Tym niemniej jednak nie rozwinął się dotąd. Żywimy nadzieję, że nadejdzie nowy Bielinski, tymczasem go nie ma. I to jest jedno z najbar-dziej słabych i czułych miejsc naszej literatury.

Krytyka nie może spełniać swych zadań bez znajomości przedmiotu i eru-dycji. Ideowość winna opierać się na kulturze, którą trzeba znać i kochać. W rozmowie z czytelnikami nie wolno już operować setką jednych i tych sa-mych wyrażeń i słów, wytartych od ciągłego używania i dlatego nie zatrzy-

mujących się w świadomości czytelnika, — trzeba przypomnieć sobie o czte dziestu tysiącach słów wielkiego języka rosyjskiego.

Przed naszą krytyką — szerokie pole pracy. Przytoczę jeden choćby przy kład. Do tej pory nie obalono poglądu o jednostronności wpływu literatur zachodnio-europejskiej na rosyjską. Lermontow uczył się u Byrona, Lew Tołst u Stendhala i tak dalej... Gdzież studia o wpływie literatury rosyjskiej n zachodnio-europejską i amerykańską? O wpływie Turgieniewa, Dostojewskieg Lwa Tołstoja, a w szczególności Czechowa na literaturę angielską i amerykań ską? Zachwycamy się Hemingwayem, lecz byłby on nie do pomyślenia, gdyb Czechow nie otworzył mu oczu na świat i nie nauczył w małym — dostrzega tego, co wielkie i tragiczne.

Znaczne są osiągnięcia radzieckiego literaturoznawstwa. Dzięki pracom sz regu badaczy wiemy teraz nieporównanie więcej o życiu i twórczości Puszkin Lermontowa, Gogola, Niekrasowa, Lwa Tołstoja, Sałtykowa-Szczedrina, Cze nyszewskiego, Dobrolubowa i wielu klasyków Zachodu, niż wiedziano o ni w czasach przedrewolucyjnych. Wówczas nie można było nawet marzy o takim fundamentalnym, skrupulatnie naukowym wydaniu, jak np. dziewię dziesięciodwutomowe wydanie dzieł Tołstoja. Nie tylko z pietyzmem strzeżem dziedzictwa naszych poprzedników — badamy je z nowych pozycji metodol gicznych, o czym świadczą choćby dziesiątki tomów fundamentalnych wydaw nictw Akademii Nauk.

W literaturze lat dwudziestych wiele było objawów chorobliwych, które m siała ona przebyć; niektórzy pisarze nie łatwo osiągali to, co nazywano „prz budową", tj. ideowym przejściem do okresu wielkiego przełomu. Było rozbic na grupy, ślepota ideologiczna, niezdolność widzenia i odtwarzania tego, istotne, historycznie uwarunkowane, a czasem i pogardliwa ku temu niechę Był formalizm, bezpłodna a przeto również szkodliwa zabawa w tematyczn i słowne zdobnictwo, która w miejsce ideowej treści literatury, jej głębokic zawsze trudnych procesów twórczych dawała powierzchowne anegdoty i tric tematyczne. Był zawadiacki stosunek do rewolucji z przedstawianiem tradycy nych „bratiszek". Było inteligenckie utyskiwanie, rozdmuchiwanie krzyw „szarego człowieka", którego ściga Październik jak Jeździec Miedziany Eugeniusza. Wszystko to nie wychodziło poza ściany redakcyj i grup litera kich. Fajerwerk ten błyszczał zimnym ogniem lub — kopcił, ale szeroka p bliczność była przy tym nieobecna. Uczestnictwo ludu radzieckiego w liter turze było jeszcze kwestią przyszłości. Nakłady książek ograniczały się pięciu lub dziesięciu tysięcy egzemplarzy, ale po dziesięciu latach taka książk jak „Cichy Don" będzie już wydana w 2.500.000 egzemplarzy.

Z początkiem lat trzydziestych w szeregach inteligencji literackiej odbyw się pod wpływem decydujących zwycięstw socjalizmu głębokie przeobrażen ideologiczne. Literatura konsoliduje się wokół celów zasadniczych, konieczny dla życia kraju, oraz wskazań partii i władzy radzieckiej. Konsolidacja ta zn lazła swe odzwierciedlenie w znanym postanowieniu KC z 23 kwietnia 1932 o likwidacji RAPPu i przebudowie organizacji literacko-artystycznych.

Literaturę drugiego okresu cechuje przede wszystkim jednolitość dążeń ideologicznych. Był to krok naprzód na drodze umasowienia naszej literatury. W latach tych po literaturę sięga wielomilionowy czytelnik — naród-budowniczy, uaktywniony przez rewolucję kulturalną. To wszystko, wzięte razem, nadaje nowy charakter naszemu życiu literackiemu i pogłębia świadomość odpowiedzialności literatury przed narodem, przed jego wielkim dziełem.

Coraz bliższy kontakt między literaturą a czytelnikiem wzmacnia się przez pogłębienie gospodarczo-politycznej i kulturalnej łączności narodu rosyjskiego z bratnimi narodami Związku Radzieckiego. Proces zespalania się literatury z szerokim czytelnikiem ożywia się dzięki pracy narodu na frontach pięciolatek. Dzień i noc w całym kraju zgrzytają zęby ekskawatorów, huczą młoty pneumatyczne, rosną mury fabryk i miast. Na wsi planuje się przejście od szachownicy indywidualnych pól do ogromnych masywów kolektywnego gospodarstwa.

Wszystko to porywa i unosi z sobą literaturę, która z chęcią staje się kroniką artystyczną przewrotu ekonomicznego, lub, jak mówił Herzen, „kroczy śladami wielkiej armii ruchu historycznego".

W ten sposób powstają powieści o przemyśle i kołchozach, opowiadania i sztuki o budownictwie socjalistycznym i jego ludziach. Wśród mnóstwa dzieł z tych lat wiele posiada znaczenie zasadnicze, znamienne — w sensie wprowadzenia do literatury nowego, nigdy przez nią przedtem nie oświetlanego materiału. Takimi są np. powieść „Cement" Gładkowa, „Dzień drugi" Erenburga, „Sot'" Leonowa, „Naprzód, czasie!" Katajewa, „Wielki Konwejer" Iljina, „Zorany ugór" Szołochowa, „Bruski" Panfierowa, „Hydrocentrala" Szaginian, „Kraj Murawija" — świetny poemat Twardowskiego, „Statek-cysterna Derbent" Krymowa, i w. i. Równocześnie dojrzewa w literaturze nowe pokolenie pisarzy, takich jak Sobolew, Korniejczuk, Pawlenko, Simonow i i.

Od romantycznego spojrzenia na dzieje niedawnej przeszłości literatura przechodzi do historycznej konkretności. W jej oczach naród buduje swą historyczną teraźniejszość i przyszłość. Zjawia się nowy bohater literacki — nie jest nim już człowiek-masa czy też powierzchowny schemat romantycznej postaci z czasów wojny domowej; jest natomiast człowiek dnia dzisiejszego, budowniczy, chociaż na razie to raczej schemat literacki niż typ, bardziej uplastyczniony przez swe cechy zewnętrzne niż przez charakterystykę wewnętrzną, raczej przedstawiciel swego zawodu niż żywa osoba; częsta jest niebezpieczna tendencja do pobieżności, do konwencjonalności charakterystyki, do „skórzanej kurtki", do „sztampy".

Dla ostatnich lat przedwojennych charakterystyczna jest walka o usunięcie z literatury konwencjonalnego człowieka. Literatura walczy o zrekonstruowanie genetycznych linii i łączy nici prowadzące od współczesnego człowieka ku przeszłości historycznej; w pierwszym etapie nici te były zerwane, a czasem były zrywane celowo, np. przez działalność RAPPu. W poszukiwaniu wielkiego dziedzictwa historycznego literatura zwraca się do powieści historycznej. W ostatnich latach przed wojną góruje ona nad

innymi gatunkami. Są to powieści: „Gorące dni Sebastopola" Siergiejewa-Cen skiego, „Dymitr Doński" Borodina, „Dżyngis-chan" i „Batu" Jana, „Wielk Mourawi" Antonowskiej, „Naruszyciel spokoju" Leonida Sołowiowa, i wcze śniejsze od nich: „Razin Stiepan" Czapygina, „Bołotnikow" i „Prace i dni Ło monosowa" Gieorgija Sztorma, „Kiuchla" i „Śmierć Wazir-Muchtara" Jurij Tynianowa, „Cuszima" Nowikowa-Priboja, „Odziani w kamień" Olgi Fors i jej trylogia z czasów Katarzyny II i w. i.[1]

Humanizm ustroju radzieckiego wyraził się w opiece całego narodu na dziećmi. Zapoczątkowana w latach dwudziestych radziecka literatura dziecięc zdobyła sobie uznanie na całym świecie. Na język angielski, hiszpański, polsk bułgarski, japoński i in., a także na języki wszystkich narodów Związku Ra dzieckiego zostały przełożone książki Czukowskiego, Marszaka, Iljina, Michał kowa, Borysa Żytkowa, Barto i innych poetów i prozaików.

Wojna zamknęła dwa i pół dziesięciolecia literatury radzieckiej, bogate i swoistej, ze wszystkimi zaletami i wadami młodości. Jest to przede wszyst kim literatura dziesiątków milionów czytelników. W jej rozwoju występuj rys szczególny, którego historia literatury nie znała: to ideowo inspirująca po moc partii i rządu oraz samego towarzysza Stalina.

Wojna zapoczątkowała nowy jej etap, nowy okres. Jesteśmy świadkami za dziwiającego zjawiska. Zdawałoby się, huk wojny zagłuszy głos poety, obniż poziom i spowoduje uproszczenia w literaturze, ograniczy ją do wąskiej szcze liny okopu. Ale walczący naród, znajdując w sobie wciąż nowe siły moraln w krwawej, bezlitosnej walce, gdzie tylko zwycięstwo albo śmierć — cora usilniej domaga się od swej literatury wielkiego słowa. I literatura radzieck staje się w dni wojny sztuką prawdziwie ludową, głosem bohaterskiej dusz narodu. Znajduje słowa prawdy, artystyczną formę i tę boską miarę, która jes właściwa sztuce ludowej. Niechże to będą tylko początki. Ale to początk wielkiego.

Takie są trzy etapy, trzy okresy, trzy stopnie, po których wznosi się litera tura radziecka. W jej rozwoju można dostrzec jedno powtarzające się zjawisko sukces pisarza, postęp literatury zawsze wynikał z nowych treści życia społecz nego. Treść często wyprzedzała formę. I często emocjonalna bliskość tej treś i wyobraźnia czytelnika uzupełniała to, co w książce było ledwie zaznaczon lub schematyczne, to, czego odtworzenie przerastało siły i doświadczen pisarza.

Można wymienić utwory, popularne wśród licznych czytelników i ulubion przez nich, np. „Jak hartowała się stal" Ostrowskiego, które pod względem artystycznym i pod względem plastyki języka nie mogą w pełni zaspoko zwiększonych wymagań estetycznych naszego współczesnego czytelnika.

Nie jesteśmy smakoszami i estetami. Ale stawiając ogólne zadania prze naszą literaturą, wysuwając na czoło — życiową prawdę, aktualność polityczn doskonałość plastyki, obrazowości, kompozycji, bogactwo i świeżość języka

[1] Powyższe wyliczenie pomija oczywiście najwybitniejszą pozycję w radzieckiej powieś historycznej — „Piotra Pierwszego" Tołstoja.

nieustannie powinniśmy podciągać formę do treści, żądać od literatury dzieł równie śmiałych jak te, których dokonuje nasz naród, żądać takiej wzniosłości moralnej, jaką osiągnął nasz naród, żądać od sztuki cudu, bowiem nasz naród w obliczu całego świata dokonuje cudu w swej walce za Ojczyznę.

Trzeci kamień węgielny naszej literatury, położony przez Październik — to wielonarodowy charakter radzieckiego ruchu literackiego. Historia literatury światowej nigdy nie znała chóru, który składałby się z tak wielu zgodnych i wzajemnie na siebie oddziaływających literatur jak w Związku Radzieckim. Taras Szewczenko z gorzką ironią mówił w swym poemacie „Kaukaz", że w carskiej Rosji „wszystkie narody od Mołdawianina do Fina, we wszystkich językach milczą". Zbyt dobrze znana jest przymusowa rusyfikacja, prowadzona w cesarstwie rosyjskim — dławienie przez carską cenzurę rozwoju narodowego ludów, jak gdyby można było zmusić narody, by zapomniały o swym języku ojczystym, o swej przeszłości historycznej, zdławić w nich święte dążenie do niezawisłości... Gdyby nie rewolucja październikowa z jej prostolinijną i szlachetną leninowsko-stalinowską polityką narodowościową, Rosję spotkałby bez wątpienia los każdego państwa skleconego z obcych sobie części. Tak na zawsze rozpadło się święte cesarstwo rzymskie, tak niechybnie rozpadnie się Trzecia Rzesza, którą w pośpiechu i przemocą, skrwawionymi nićmi zszył faszyzm z państw europejskich.

Byłoby niesprawiedliwością twierdzić, że inteligencja rosyjska uczestniczyła w haniebnej, a przede wszystkim niemądrej i krótkowzrocznej rusyfikacji prowadzonej przez carat. Postępowa inteligencja zawsze zajmowała inne stanowisko — to, które zostało urzeczywistnione przez Październik. Literatura rosyjska oddziaływała w duchu postępu na kształtowanie się świadomości społecznej inteligencji narodów carskiej Rosji. Jeśli sięgnąć do biografii wybitnych działaczy narodowych z połowy i schyłku ubiegłego wieku, stanie się oczywiste, że postępowe idee, pojmowanie życia i historii czerpali oni z naszej klasycznej literatury, z dzieł Puszkina, Turgieniewa, Bielińskiego, Czernyszewskiego, Dobrolubowa, Herzena, L. Tołstoja, Szczedrina, Ostrowskiego, Gorkiego. Nazwiska te znajdziemy w notatkach, listach, zwierzeniach, wreszcie w samych dziełach pisarzy: w Gruzji — u Ilii Czawczawadze, Akakija Cereteli, w Azerbejdżanie — u Mirzy Fetchali Achundowa, w Armenii — u Nałbandjana, Sundukjana, Owanesa Tumanjana, na Ukrainie — u Łesi Ukrainki, Kociubińskiego i oczywiście u Szewczenki, na Białorusi — u Kupały i Kołasa, w literaturze Uzbeków — u Furkata, Tatarów Kazańskich — u Szarifa Kamala, Osetyńców — u Kosta Chetagurowa, Żydów — u Pereca, Szolom-Alejchema itd.

Postępowa literatura rosyjska nigdy nie znała pogardliwego stosunku do narodów zamieszkujących Rosję. Nigdy nie było w niej nurtu kolonialnego, motywów kolonialnych tak charakterystycznych dla literatur niektórych europejskich narodów. Rozkwit stalinowskiej przyjaźni narodów w literaturze radzieckiej nie nastąpił na pustym miejscu. Przyjaźń ta sięga swymi korzeniami w przeszłość — nawiązuje do postępowej misji literatury rosyjskiej, postępowej roli narodu rosyjskiego i jego kultury.

Tam, gdzie na mapie cesarstwa rosyjskiego znajdowały się białe plamy milczenia i ciemnoty, na mapie ZSRR rozkwitają i rosną literatury narodowe. Październik i stalinowska polityka narodowościowa powołały do życia kulturalnego wszystkie, nawet najbardziej — zdawałoby się — zapomniane przez historię „mało znane i nieznane narody". Stalin mówi w swej książce „Marksizm i kwestia narodowo-kolonialna", że właściwością rewolucji jest nie zmniejszać, lecz powiększać ilość języków, a w następstwie tego i literatur. W ciągu ćwierćwiecza dziesiątki narodów Związku Radzieckiego po raz pierwszy w historii stworzyły swe piśmiennictwo. W przededniu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej wydawano u nas książki w dziewięćdziesięciu językach, przy czym były wśród nich języki dawniej nieznane: saamski, mansyjski, abazyński, wepski i inne.

Oczywiście nie wszystkie narody i plemiona zdążyły wytworzyć własną literaturę piękną. Radziecka literatura to nie tylko literatura wielu narodów i wielu języków, ale także wielu stopni rozwojowych — sąsiadują w niej wszystkie stadia rozwoju — od naiwnej piosenki aszuga[1] lub pierwszych rymowanych prób w języku młodziutkiego piśmiennictwa do opowiadania, powieści, poematu i dramatu, które przekłada się na wszystkie języki świata.

Można przyjąć, że istnieje u nas, oprócz rosyjskiej, trzydzieści pięć, trzydzieści sześć w pełni ukształtowanych literatur, a jeśli dodać tu literatury narodów nadbałtyckich — liczba ich wzrośnie do czterdziestu.

Są u nas literatury narodów, które przebyły etap kapitalizmu przemysłowego i posiadają silne tradycje literackie — to literatury: ukraińska, białoruska, żydowska i narodów nadbałtyckich. Zbliżają się do nich literatury narodów Zakaukazia, posiadających tysiącletnią kulturę: gruzińska, armeńska, azerbejdżańska. Dawne i głębokie są tradycje literackie narodów Azji Środkowej, w szczególności odnosi się to do Uzbekistanu. Jednakowoż stosunki feudalne i ucisk kolonialny były tu szczególnie ciężkie: z wyjątkiem pieśni ludowej, przechodzącej z ust do ust, literatura o wszystkich cechach epigonizmu służyła prawie wyłącznie feudalnej górze. Analfabetyzm był powszechny. Dlatego radziecki ruch literacki był dla narodów Azji Środkowej renesansem, odrodzeniem kultur narodowych po wiekach prawie zupełnego milczenia. Literatura uzbecką i kazachską w ostatnich latach przed wojną wzbogaciły — obok właściwych im rodzajów poetyckich — opowiadanie, powieść, dramat. To samo można powiedzieć o literaturze Tadżyków, Turkmenów, Kirgizów, Karakałpaków i narodowości Dagestanu.

Literatury „małych narodów", liczące dwa, trzy dziesięciolecia, zawdzięczają swe istnienie wyłącznie Październikowi: są to literatury Baszkirii, Czuwaszji, Komi, Mavri, Jakutii, Mordowii, Czerkiesji, Abchazji, Adygei, Ojrotii, Buriatów, Lezginów, Awarców, Udmurtów i innych narodów i plemion.

W rozwoju naszych literatur narodowych trzeba wyróżnić dwa momenty. Po pierwsze — odrodzenie i niezwykły rozkwit ustnej twórczości ludowej, i po drugie — jak już wspomniano, rozwój nowych, przedtem mało im znanych lub też zupełnie nieznanych form — powieści, opowiadania, dramatu, scena

[1] Poeta i śpiewak ludowy w Azerbejdżanie.

riusza filmowego. W rozwoju tych form ogromną rolę odegrał język rosyjski, który stał się drugim językiem ojczystym dla inteligencji literackiej narodów Związku Radzieckiego.

Rozkwit ustnej twórczości ludowej — to zasadnicza cecha naszego ruchu literackiego. Bogactwa folkloru są niewyczerpane. Np. w Kazachstanie zapisano u jednego akyna[1], recytującego poemat epicki „Czterdziestu bohaterów" — około trzystu tysięcy wierszy. Kirgiski epos „Manas" liczy jeszcze więcej — kilka lat temu został on zapisany w całości. Ustna poezja ludowa w Azji Środkowej była przeważnie opozycyjna — ostrze satyry ludowej kierowało się przeciw bajom[2] i mułłom. Prześladowano ją. Rewolucyjnie nastrojeni akyni byli karani, jak np. kirgiski akyn Toktoguł. Prawdziwe skarby poezji ludowej zginęły bezpowrotnie dla literatury i sztuki dlatego, że nie zostały zapisane. Wielki kazachski akyn Dżambuł zmuszony był zamilknąć. Dwadzieścia pięć lat temu czuł on się już zgrzybiałym starcem, nie potrafił wsiąść na konia.

Dziś znakomity aksakał[3] poezji radzieckiej, 95-letni Dżambuł, znów jak w młodości na koniu, rześki i świeży, w pełni sił, opiewa bohaterów Wojny Ojczyźnianej. To odrodzenie Dżambuła — to symbol odrodzenia ustnej twórczości ludowej.

Na Kaukazie żyje małe plemię — Kiuryńcy, jest ich razem trzydzieści tysięcy — naród ten stał się sławnym dzięki swemu poecie ludowemu Sulejmanowi Stalskiemu. Przekłady na język rosyjski wierszy Stalskiego, jak również Dżambuła, Islam Szaira, Durdy Kłycza, Fiokły Bezzubowej, Farracha, Gamzata Cadassa, azerbejdżańskich aszugów, armeńskich gusanów, jakuckich olongochutów, kirgiskich i kazachskich akynów — wiążą dwa rodzaje twórczości: folklor i literaturę pisaną.

Ogromne znaczenie dla rozwoju literatur narodowych miało utrwalenie ciągłości kultury narodowej i popularyzacja wydań klasyków i eposu w językach narodowych i w przekładach na język rosyjski: Nizami, Nawoi, „Rycerz w tygrysiej skórze", „Dawid Sasuński", „Dżangar" i „Manas".

Powieść, opowiadanie, dramat, scenariusz filmowy — powstawały i rozwijały się w kulturach narodowych wraz ze wzrostem i pogłębianiem się kultury jako nowe, obok poezji, metody artystycznej percepcji i odtwarzania rzeczywistości, a także jako rewizja własnej historii z nowych, rewolucyjnych pozycji.

W literaturach narodowych są pisarze-prozaicy, poeci i dramaturdzy, którzy w pewnej mierze posuwają naprzód rozwój całej literatury radzieckiej. Na Ukrainie są to: Tyczyna, Rylski, Korniejczuk, Janowski, Pancz, Pierwomajski; na Białorusi — niedawno zmarły Janka Kupała, Jakub Kołas, Browko, Krapiwa, Łyńkow; w Gruzji: Tabidze, Gamsachurdija, Czikowani, Leonidze, Kiaczeli, Lordkipanidze, Szałwa Dadiani; w Azerbejdżanie: Samed Wurgun, Rasuł Rza, Ordubady; w Uzbekistanie: Gafur Gulam, Ajbek, Alimdżan, Jaszen, Abdulla Kachar; w Kazachstanie: Sabit Mukanow, Muchtar Auezow,

[1] Poeta (śpiewak) ludowy w Kazachstanie.
[2] Pan feudalny.
[3] Aksakał (po kozachsku) — dosł. białobrody, przen. senior. (przyp. aut.).

Musrepow, Tażibajew; w Armenii: Awetik Isaakjan, Derenik Demirczjan, Nairi Zarjan, Stiepan Zorjan; w Tadżykistanie: Lachuti i Sadreddin Ajni piszący w języku tadżyckim i uzbeckim; w Kirgizji — Ały Tokombajew i Mulikow; w Turkmenii — Berdy Kerbabajew. W radzieckiej literaturze żydowskiej wysunęły się takie nazwiska jak Perec Markisz, Dawid Bergelson, Kwitko, Gałkin.

Twórcy literatury radzieckiej są młodzi — świeżością i bezpośredniością widzenia nowej epoki. Literaturę radziecką można krytykować, i my zawsze jesteśmy wdzięczni za tę krytykę, albowiem zadowolenie z własnych osiągnięć i zachwyt nad sobą — to pewna śmierć dla sztuki. Młodość literatury radzieckiej polega na tym, że jest to literatura w pełni ludowa, mówiąc dokładniej, że zwraca się w zasadzie swojej do ludu jako wiecznego źródła twórczości. Naród buduje i walczy w imię realnych zadań. Zostały one sformułowane przez tow. Stalina w jego kryształowo jasnym, stanowczym przemówieniu z 6 listopada (1942)[1]. Spełnienie tych zadań jest punktem wyjściowym dla dalszej, niemniej realnej drogi narodu radzieckiego w wyraźnie rysującą się perspektywę przyszłości, w królestwo Człowieka przez duże C.

Literatura radziecka jest młoda: w niej, jak w narodzie, żyje i krzepnie siła moralna.

Angielski krytyk Ralf Fox, który zginął w Hiszpanii, mówi w swej książce „Powieść i naród", że wielu angielskich i francuskich pisarzy zbacza z drogi humanizmu, odchodzi od wielkich tradycji Zachodu. Dzieje się tak, bowiem faszyzm, zanim wtargnął do Europy czołgami i bombowcami, doprowadził ją działalnością „piątych kolumn" do stanu paraliżu moralnego. I oto macie — powieść „Podróż do kresu nocy", a raczej: „Podróż Francji do kresu nocy, od Robespierre'a do Lavala".

Natomiast drogą literatury radzieckiej jest humanizm. „Proletariacka w swojej treści, narodowa w formie — taka jest wszechludzka sztuka, do której dąży socjalizm" — powiedział Stalin. Społeczeństwo bezklasowe, które budujemy, stanowi konieczną przesłankę dla zwycięstwa humanizmu. Człowiek to cel naszych wszystkich wysiłków. Faszyzm jest upodleniem człowieka. Armie hitlerowskie — to armie trupów, atakujących ludzkość żywą. Czerwone tarcze zastąpiły im drogę, z tą wielką siłą moralną, której nikt nie zwycięży.

Dziewięciuset pisarzy radzieckich — powieściopisarzy, dramaturgów, poetów, publicystów, dziennikarzy — znajduje się w szeregach armii czynnej, wśród walczącego narodu rosyjskiego. Wykonywując bezpośrednie zadania bojowe, przechodzą oni równocześnie przez tę surową szkołę doświadczenia artystycznego, która — przy istnieniu trzech zasadniczych składników naszej literatury — socjalistycznej ideowości, ludowości i charakteru wielonarodowego — zapewnia jej światową przyszłość.

Przełożył *Henryk Markiewicz*

Przypisy pochodzą od tłumacza.

---

[1] Zadania te, to: 1) „unicestwić hitlerowskie państwo i jego inspiratorów"; 2) „unicestwić hitlerowską armię i jej kierowników"; 3) „zburzyć znienawidzony nowy ład w Europie i ukarać jego budowniczych".

KAZIMIERA GROTTOWA

MUZEUM HISTORII I REKONSTRUKCJI MOSKWY

Cudzoziemiec, który pragnie zwiedzić Moskwę, zapoznać się z jej wielowiekowym rozwojem, z jej dynamizmem urbanistycznym i budowlanym czasów ostatnich, z rolą jaką odegrała w ruchu rewolucyjnym, powinien przede wszystkim zwiedzić Muzeum Historii i Rekonstrukcji Moskwy.

Siedzibą Muzeum jest była cerkiew, zbudowana w r. 1825 w stylu neoklasycznym. Jest to oczywiście siedziba tymczasowa. Muzeum powstało w ten sposób, że do dawniej już istniejącego Muzeum Gospodarki Komunalnej dołączono w latach 1934—6 eksponaty o charakterze historycznym, a później materiały dotyczące przebudowy miasta. Podział zbiorów Muzeum na te trzy części zasadnicze przetrwał do czasów obecnych.

Część historyczna oparta jest nie na dokumentach i zabytkach, jak to najczęściej w muzeach tego typu bywa, lecz na materiale zastępczym: kopiach, fotografiach i innych tego rodzaju eksponatach. W działach dotyczących epok wcześniejszych nie spotykamy zupełnie eksponatów z danej epoki, co jest do pewnego stopnia wytłumaczone wielką ich rzadkością i cennością. Dopiero od XVI wieku począwszy wśród eksponatów nowych zdarzają się stare plany i widoki miasta. W miarę posuwania się czasu liczba ich wzrasta, a Muzeum nabiera odmiennego i bardziej interesującego charakteru.

Muzeum Historii i Rekonstrukcji Moskwy jest syntetycznym skrótem historii miasta i obrazem jego przeszłości. Zastępując kopiami znajdujące się w innych muzeach, archiwach i bibliotekach oryginały, uzyskano do pewnego stopnia pełny obraz rozwoju miasta.

Cechą charakterystyczną Muzeum jest interpretacja faktów przeszłości i zamierzeń przyszłości cytatami z pism wybitnych socjalistów, omawiających ten lub inny obok ilustrowany eksponatami fakt. Czerwone tablice z tymi cytatami są dość gęsto rozsiane na ścianach Muzeum. Drugą cechą charakterystyczną jest szczegółowe przedstawienie ruchów ludowo-chłopskich, później robotniczych, skierowanych przeciwko uciskowi carów i klas posiadających.

Szereg eksponatów rozpoczyna wypis ze starej kroniki, opowiadający o tym, jak książę suzdalski Jerzy, jadąc z Kijowa do Włodzimierza, zatrzymał się we

wsi leżącej na terenie między ujściem Nieglinnej i Jauzy do Moskwy-rzeki. Rozgniewany wrogim przyjęciem ze strony właściciela wsi, bojara Kuczki, każe zabić go towarzyszącym mu wojownikom i zbudować na miejscu wsi warowny gród, który od przepływającej tu rzeki Moskwy wziął swoją nazwę. Takie jest najstarsze podanie o założeniu Moskwy. Wiszący opodal wypis z *Ipatiewskiej Letopisi* podaje pod r. 1147, że ks. suzdalski Jerzy zaprosił do siebie do Moskwy ks. siewierskiego Światosława. Jest to najstarsza znana z dziejów Moskwy data.

Mapa ziem ruskich XII wieku wskazuje na to, że Moskwa w owym czasie spełniała rolę fortecy w księstwie Suzdalskim. Widok Moskwy z XII w., oparty oczywiście nie tylko na materiale kronikarskim, ale i na fantazji autora, przedstawia Moskwę jako mały drewniany gród, leżący na wzgórzu. Widok ten jest dziełem niedawno zmarłego malarza A. Wasniecowa, który dzięki swej erudycji historycznej potrafił odtworzyć widoki dawnej Moskwy. Z Wasniecowym spotkamy się w Muzeum bardzo często. Następny dział poświęcony jest ujarzmieniu Rusi przez Tatarów. Wypis ze starej kroniki podaje pod r. 1237 wiadomość o napadzie Tatarów, o grabieżach i mordach popełnionych przez dzikie hordy.

Moskwa w XIV w. przedstawiona jest znowu na obrazie A. Wasniecowa. Widzimy Kreml gęsto już wówczas zabudowany, otoczony przez Iwana Kalitę w r. 1339 ścianami z grubych kloców dębowych. Jedna z map odnoszących się do tej epoki wskazuje na handlowe znaczenie Moskwy, leżącej na skrzyżowaniu dróg wiodących z południa na północ i ze wschodu na zachód. Inne mapy pokazują stopniowe powiększanie się księstwa Moskiewskiego kosztem sąsiadujących z nim księstw ruskich.

Dalsza przebudowa ścian Kremla przedstawiona jest znowu na obrazie Wasniecowa. Dębowe ściany zostały zastąpione za czasów Dymitra Dońskiego murami kamiennymi (1367), które mimo trwałości swego budulca przetrwały niewiele więcej ponad 100 lat. Trzęsienie ziemi i napady zniszczyły je do tego stopnia, że Iwan III w r. 1485 musiał rozpocząć budowę nowych, tym razem ceglanych murów. Z licznymi restauracjami i przebudowami przetrwały one do czasów obecnych. Terytorium Kremla objęte murami z XV w. jest trzykrotnie większe od terytorium pierwszego grodu otoczonego drewnianą ścianą.

Wielki książę Iwan III ostatecznie zrzucił jarzmo tatarskie. Moment podarcia przez Iwana aktu obowiązującego do płacenia daniny jest ilustrowany fotografią obrazu G. Szustowa, a ten wielkiej doniosłości historycznej fakt interpretowany słowami Marksa.

Przechodzimy do wieku XVI. Z lat 1517—1526 pochodzi pierwszy oryginalny, ale bardzo schematyczny widok Moskwy, będący ilustracją książki *Rerum Moscoviticarum Commentarii* Zygmunta Gerbersteina, posła austriackiego na dworze moskiewskim.

Wojnom prowadzonym przez Iwana Groźnego poświęcono wiele map i kopii starych miniatur. W ponurych tych czasach wzniesiono na pamiątkę zdo-

ycia Kazania najpiękniejszą cerkiew Moskwy, *Pokrowskij Sobor* na Czerwo-
ym Placu. Budowniczymi jej byli Rosjanie Postnik i Barma. Duża makieta
boru stoi na środku pierwszej sali Muzeum. W czasach Iwana Groźnego
łożono pierwszą drukarnię, której kierownikiem był diak Iwan Fiedorow.
erwsza książka pt. „Apostoł" wyszła w roku 1564, jednakże zacofani mie-
kańcy Moskwy, podburzeni być może przez mnichów przepisujących ręko-
sy, spalili drukarnię, a Fiedorow musiał uciekać z Moskwy. Ten barbarzyń-
i wyczyn nie zahamował jednak rozwoju sztuki drukarskiej — w wieku
astępnym drukarnia mieści się w pięknym domu przy ul. Nikolskiej. Kopia
awnej miniatury przedstawia pierwszy bunt ludu moskiewskiego przeciwko
ciskowi bojarów i rozgromienie przez wojsko carskie zbuntowanego tłumu,
óry udał się do wsi Worobjewo, gdzie przebywał wówczas car.

Z lat 1597—1603 pochodzi pierwszy dość dokładny plan miasta, tzw. *Pie-
ow czertież*. Na planie tym widzimy miasto składające się z pięciu dzielnic.
W miejscu gdzie Nieglinna, zamknięta dzisiaj w podziemny kanał, wpada do
eki Moskwy leży Kreml na terytorium zbliżonym w kształcie do trójkąta;
a północo-wschód od Kremla — Kitaj-Gorod o planie prostokątnym. Rzeka
Moskwa zabezpiecza te dwie najstarsze dzielnice od południa, Nieglinna od
północo-zachodu, tylko północno-wschodnia granica Kitaj-Gorodu nie ma na-
uralnej obrony, ale i Kreml i Kitaj-Gorod posiadają swoje oddzielne mury
obronne i wał ziemny usypany w XIV w. między Nieglinną i Moskwą-rzeką.
o centrum miasta opasane jest półpierścieniem tzw. Białego Grodu, opie-
jącego się dwoma końcami o Moskwę-rzekę i otoczonego murem obronnym.
eszcze jeden zewnętrzny półpierścień opasuje miasto; jest to Zielony Gród
oczony drewnianą ścianą. Za rzeką Moskwą leży duża dzielnica Zamoskwo-
eczje.

Na planach późniejszych z XVII w. Meriana i Oleariusa, znajdujących
ę również w Muzeum, układ miasta jest taki sam, a i w dzisiejszej strukturze
Moskwy zachowały się wyraźne ślady pierwotnego planu. Na gęsto zabudo-
anym Kremlu mieszkał car z dworem i patriarcha, było tam kilka cerkwi
małe dwory najznakomitszych bojarów i duchownych.

W Kitaj-Gorodzie znajdował się centralny rynek, domy bogatych kupców
bojarów, cerkwie, klasztory, drukarnia, dwór poselski i więzienie. Tutaj
upiało się handlowe życie Moskwy. W Białym Grodzie mieszkali również
upcy i bojarowie, mieściły się tutaj tzw. słotnie i słobody, tj. osady rze-
ieślników dworskich i in., oraz osady wojskowe, których najwięcej było jed-
ak na Zamoskworieczju. Wzdłuż brzegów Nieglinnej mieściły się małe za-
ady przemysłowe. W Zielonym Grodzie było jeszcze więcej słobód rze-
ieślniczych oraz słobody monastyrskie i władycze. Mieli tu także swoje
odmiejskie siedziby niektórzy bojarowie.

Olearius w swoim *Putieszestwije w Moskwiju*, wydanym w r. 1636, przy-
cza wiele ciekawych szczegółów z ówczesnego życia. W Muzeum oprócz
anu Moskwy Oleariusa znajduje się kilka rotograwiur z jego rysunków. Na
dnej z nich widzimy grupę domów drewnianych, niskich, z małymi oknami.

O domach tych pisze Olearius, że kupowano je gotowe, przewożono na miej sce przeznaczenia i tam w ciągu kilku dni składano.

Z pierwszych lat XVII w. mamy eksponaty ilustrujące przy pomocy foto grafij i tablic bunt chłopski pod wodzą Bołotnikowa, dzieje Dymitra Samo zwańca i Maryny Mniszkówny. Dalej następuje tzw. interwencja polska. Do kumentem oryginalnym odnoszącym się do tej epoki jest plan Moskwy sporzą dzony dla Zygmunta III Wazy. Kilka eksponatów przedstawia bunt soln w r. 1648 i miedziany w r. 1662. Oba miały podłoże ekonomiczne. Pierwszy by wywołany podrożeniem soli, drugi dewaluacją monet miedzianych wypuszczo nych w nadmiernej ilości przez carską mennicę.

Kilka tablic poświęconych jest życiu handlowemu miasta. Jak wyżej wspo mniałam, centrum handlowym w XVI i XVII w. był Kitaj-Gorod, jednakż i inne dzielnice z wyjątkiem Kremla miały swoje sklepy, tzw. „łabazy", a prz bramach miejskich znajdowały się rynki dzielnicowe. Handel był zorganizo wany w ten sposób, że „łabazy" z towarem jednego rodzaju skupiały się obo siebie i tworzyły „riad" (rząd). W XVII w. było przeszło 70 rodzajów handlu a ogólna ilość punktów handlowych wynosiła 2664.

Moskwie XVII-wiecznej poświęcił Wasniecow i inni malarze cały szere widoków skomponowanych bądź na podstawie starych rysunków i dokumen tów, bądź rysowanych z natury, tj. z istniejących do niedawna zabytków architektonicznych.

Za panowania Piotra Wielkiego nie zaszły w wyglądzie Moskwy większ zmiany, chociaż car ten wydał cały szereg zarządzeń regulujących rozbudow miasta. Fotografie starych portretów i obrazów przedstawiają osoby i wy padki historyczne tego okresu. Wiele miejsca poświęcono wojnom prowadzo nym przez Piotra. Z architekturą zaś miasta możemy zapoznać się na roto grawiurach zrobionych z widoków Pikara wykonanych w r. 1715.

Bardzo ciekawe są wypisy z *Letopisi goroda Moskwy XVIII w.* i rozpo rządzenia budowlane wydane przez Piotra. Połączywszy te dwa źródła bę dziemy mieli mniej więcej dokładny obraz reformatorskich dążeń Piotra W roku 1698 car nakazuje oczyszczenie Czerwonego Placu, leżącego pod mu rami Kremla, z budynków targowych. W trzy lata później stanie na tym miej scu pierwszy w Moskwie teatr publiczny. W r. 1699 wychodzi rozporządzeni o oczyszczeniu miasta, w r. 1700 — o zabrukowaniu ulic komunikacyjnych w r. 1701 rozporządzenie, ażeby na miejscu spalonych domów drewnianyc ludzie bogaci budowali domy z cegły, a biedniejsi z gliny. W r. 1703 wychodz pierwsza w Rosji gazeta pt. *Wiedomosti o wojennych i innych dielach.* Re daktorem tej gazety był sam car, który ze sprowadzonych z zagranicy gaze wybierał i podawał — oczywiście bardzo spóźnione — wiadomości. Gazeta jak i inne nowatorstwa, nie cieszyła się uznaniem poddanych. Ogromne ilość niewykupionych gazet musiano sprzedawać kupcom na opakowanie drobnyc towarów. W Muzeum oglądamy tylko fotografię pierwszego numeru gazety oryginalny czterostronicowy numer ósemkowego formatu znajduje się w Biblio tece imienia Lenina.

W r. 1704 wydaje car rozkaz, aby na terenie Kremla i Kitaj-Gorodu wzno-ono budynki tylko kamienne. Niestety, rozkaz ten w dziesięć lat później, edy już nie Moskwa, lecz Petersburg był stolicą, został cofnięty — z kamie-a można było budować tylko w Petersburgu. Piotr zorganizował także wła-ze miejskie Moskwy — w r. 1699 był mianowany pierwszy burmistrz. Jego ładzy administracyjnej i sądowej podlegała kupiecka, rzemieślnicza i robot-cza ludność Moskwy. Ówczesny Zarząd Miejski nazywał się *Burmistierskaja ałata*, a w skład jej wchodzili oprócz burmistrza przedstawiciele kupców rzemieślników.

Ludność Moskwy według rozporządzenia głównego magistratu z r. 1721 zieliła się na regularnych i nieregularnych. Regularni dzielili się znowu na gildie": bogaci kupcy, bankierzy, przemysłowcy. Drugą kategorię regularnych anowili drobni kupcy i rzemieślnicy. Nieregularni, zwani w dokumentach podłyje ludi", to wszelkiego rodzaju najemnicy. Nie mieli oni swoich przed-awicieli w Zarządzie Miasta.

Z okresu Piotra napotykamy w Muzeum kilka eksponatów — niestety, foto-rafii — o charakterze humorystycznym: fotografia obrazu Holendra Filipsa rzedstawiającego żołnierzy obcinających na rozkaz cara długie poły. Na foto-rafii innego obrazu widzimy samego Piotra obcinającego bojarom długie rody. Brody musiały być bardzo cenione, ponieważ nawet bezwzględny Piotr usiał pójść na kompromis, pozwalając zachować długą brodę tym, którzy ykupili tzw. „borodowyj znak". Fotografia tego znaku wisi tuż obok foto-rafii obrazu.

Z okresu Elżbiety Pietrowny na specjalną uwagę zasługuje założenie r. 1755 uniwersytetu. W muzeum pokazane są fotografie portretów caro-ej i Łomonosowa, inicjatora uniwersytetu, fotografie manifestu erekcyjnego gmachu *Ziemskiego prikazu* na Czerwonym Placu, gdzie uniwersytet mieścił ę w pierwszych latach swego istnienia. W końcu XVIII w. uniwersytet zyskał łasny gmach, zbudowany według projektu M. Kozakowa, a przebudowany rzez D. Gillardiego po pożarze 1812 roku.

Moskwa XVIII w. niszczona ustawicznymi pożarami odbudowuje się według awnego systemu, dopiero w końcu wieku, dzięki kilku bardzo utalentowanym rchitektom, miasto zyska wiele gmachów o wysokiej wartości artystycznej.

Oprócz uniwersytetu zbudowano w Moskwie w końcu XVIII w. wiele mo-umentalnych gmachów w stylu neoklasycznym. Dwóch najwybitniejszych rchitektów tego okresu — to W. Bażenow (1737—1793) i M. Kozakow 738—1813). Na jednej ze ścian sali muzealnej poświęconej XVIII w. wiszą otografie ich portretów oraz fotografie wzniesionych według ich projektów udowli. Muzeum Rumiancewa, zbudowane przez Bażenowa w r. 1784, to jeden najpiękniejszych, zdobiących do dziś dnia Moskwę pałaców. Dawniej na okach wzgórza, na którym wznosi się pałac, rozciągał się piękny angielski ark, zniesiony obecnie dla ułatwienia komunikacji. Jest na wystawie również go niewykonany projekt pałacu na Kremlu. Tuż obok na ścianie wisi kilka idoków budowli Kozakowa: b. dom Razumowskiego, b. pałac Generał-Guber-

natora, przebudowany na dom Mossowietu, pałac senatu na Kremlu i Dom Związków ze sławną ze swych pięknych proporcji Salą Kolumnową. Wiele innych zbudowanych wówczas domów widzimy na rotografiurach zrobionych według sztychów de la Barte'a.

Życie umysłowe Moskwy było bardzo rozwinięte; w znacznym stopniu przyczyniło się do tego założenie uniwersytetu. Jedną z charakterystycznych postaci ówczesnej elity umysłowej był N. Nowikow, redaktor i wydawca pism satyrycznych *Żywopisiec* i *Trutień*, w których krytycznie ustosunkowywał się do wewnętrznej polityki rządu. Nowikow związawszy się z masonami prowadził ożywioną działalność wydawniczą, aż wreszcie uwięziono go w twierdzy Szlisselburskiej.

Wojnie r. 1812 poświęcono w Muzeum wiele eksponatów: plany bitwy pod Borodino, mapy marszu i odwrotu wojsk francuskich, cytaty z pamiętników Napoleona dotyczące bitwy pod Borodino, wiersz Lermontowa pod tym tytułem, urywki z puszkinowskiego „Oniegina", fotografia proklamacji wydanej do ludu moskiewskiego przez francuskiego intendenta, fotografie portretów dowódców rosyjskich i francuskich, dowódców partyzantki rosyjskiej. Równie liczne są fotografie i kopie obrazów przedstawiających epizody wojenne, pożar Moskwy, odwrót wielkiej armii itp. Nie brak też karykatur wyszydzających Francuzów. Dział ten komentowany jest cytatą z pism Lenina.

Wystawiony obok plan pokazuje, jak wielkiemu zniszczeniu uległo miasto. Moskwa jednakże bardzo szybko podnosi się z ruiny. Wydany w r. 1825 plan Syrojeżewa i Tuchaczewa, z umieszczonymi na marginesie widokami najcelniejszych i nowozbudowanych i odremontowanych gmachów, wskazuje na bardzo szybką odbudowę miasta. Dalej oglądamy cały szereg gmachów wzniesionych po pożarze: nowy budynek Opery, zbudowany przez Bovégo na miejscu dawnego, spalonego w r. 1805, teatru; Teatr Mały tegoż architekta, Maneż o śmiałej konstrukcji pułapu, zbudowany według projektu francuskiego inż. Carboniera, architektonicznie zaś ukształtowany przez Bovégo, oraz cały szereg domów od najwspanialszych do bardzo skromnych. Widoki tych budynków i całych fragmentów miasta dają doskonałe wyobrażenie o obliczu odbudowanej Moskwy.

Inne eksponaty przedstawiają rozwój przemysłu moskiewskiego, który w pierwszej połowie XIX w. dochodzi do wielkiego rozkwitu. Podobnie jak w XVIII w., pierwsze miejsce zajmuje przemysł tekstylny. W XVIII w. było 113 fabryk zatrudniających 12 681 robotników, natomiast w r. 1832 było ich, wedle statystyki, już 1124, a liczba robotników wynosiła ponad 35 tysięcy. W r. 1831 rozganizowano pierwszą wystawę przemysłową, cieszącą się wielkim powodzeniem. Na jednej z ilustracji tego dzieła widzimy elegantki moskiewskie oglądające najnowsze kreacje mody. Centrum eleganckiego handlu w Moskwie stanowiła wówczas ulica Kuznieckij Most, o której jeden z bohaterów komedii Gribojedowa „Gorie ot uma" złośliwie mówi: „*ottuda mody nam i awtory i muzy, gubitieli karmanow i sierdiec*".

W drugiej połowie XIX w. w życiu wewnętrznym Rosji zachodzą poważne

zmiany. Już w r. 1856 car Aleksander II, przemawiając do zebranych przedstawicieli ziemiaństwa, stwierdza konieczność zniesienia pańszczyzny dla uniknięcia rozruchów chłopskich. Pańszczyzna zostaje zniesiona, natomiast wzrasta kapitalizm, rozbudowują się miasta, powstają linie kolejowe i nowe fabryki, masa robotnicza wyzyskiwana i ciemna powoli nabiera świadomości swego znaczenia w życiu społecznym kraju.

W Muzeum cała sala poświęcona została życiu, pracy i walce klasy robotniczej Moskwy. Przerażająca nędza mas robotniczych przedstawiona jest w sposób bardzo dobitny. Jedna z wystawionych makiet przedstawia dom noclegowy na Chitrowym Rynku; w domu tym w brudnych izbach, na wstrętnych barłogach, nocowali ludzie przybyli do Moskwy w poszukiwaniu pracy. Obok, dla większego kontrastu, wystawiona jest makieta przedstawiająca wnętrze bogatego mieszczańskiego domu.

Wśród wielu makiet przedstawiających warsztaty i mieszkania robotnicze specjalne zainteresowanie budzi wnętrze tzw. „roboczej kazarmy". „Kazarmami" nazywano domy zbudowane obok fabryk i przeznaczone na mieszkania dla robotników. W każdej izbie takiej „kazarmy" mieszkało kilka rodzin, oddzielających swoje kąty, zwane „bałaganami", od kątów zajmowanych przez współlokatorów zasłonami ze szmat lub przepierzeniami z desek. Rewolucja październikowa zastała jeszcze 48 takich „kazarm"; gnieździło się w nich 16 512 ludzi — rodziny składające się z 4—6 osób zajmowały we wspólnych izbach przestrzeń nie większą od 10 m^2.

Życiu Moskwy burżuazyjnej poświęcono w Muzeum tyle tylko miejsca, ile tego trzeba było dla podkreślenia kontrastu. Na ścianach Muzeum nad makietami przedstawiającymi siedliska nędzy robotniczej wiszą widoki wielkich gmachów publicznych zbudowanych pod koniec XIX w. w ciężkim stylu starorosyjskim: Muzeum Politechnicznego, Muzeum Historycznego, byłej Dumy i innych. A obok nich widoki założonych w owym czasie parków i wzniesionych pomników. W „pierieułkach" budowały się dalej „osobniaki" otoczone ogródkami. Większość budynków z końca XIX w. przetrwała do dni dzisiejszych; dopiero po całkowitym przeprowadzeniu planu rekonstrukcji Moskwy przestaną one nadawać ulicy moskiewskiej charakter.

Osobny dział poświęcony jest ruchom 1905 r. i Rewolucji Październikowej oraz działalności Lenina na terenie Moskwy. Ponieważ jednak Moskwa posiada doskonale zorganizowane Muzeum Rewolucji i Muzeum Lenina, dla zapoznania się z tym okresem historii lepiej jest zwiedzić tamte muzea. W ten sposób można dokładniej zdać sobie sprawę z całokształtu przebiegu ruchu rewolucyjnego i z całkowitej działalności Lenina.

W Muzeum zapoczątkowany jest również dział ilustrujący życie Moskwy w okresie ostatniej wojny: udział stolicy w walce i przygotowania do obrony. Popiersie i portret Marszałka Stalina, portrety najwybitniejszych ludzi kierujących walką z najeźdźcą, obrazy przedstawiające widoki ulic Moskwy i inne tego rodzaju eksponaty tworzą ten dział, który w najbliższym czasie zostanie uzupełniony.

Część Muzeum jest poświęcona przebudowie Moskwy — stolicy ZSRR. Konieczność radykalnej przebudowy Moskwy została spowodowana ogromnym wzrostem ludności, brakiem mieszkań, trudnościami komunikacyjnymi, asanitarnym stanem miasta oraz chaotycznym i nieestetycznym jego wyglądem. Przebudowę uchwalono na zjeździe CKWPK (Centralny Komitet Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej) w lipcu 1931 r. Opracowanie planu powierzono odpowiednim organizacjom moskiewskim, a później utworzono przy Mossowiecie: Biuro Planowania, Biuro Projektowania i Biuro Ekspertów Technicznych dla zatwierdzenia projektów. Setki architektów, urbanistów, inżynierów, lekarzy i innych specjalistów opracowało plan w przeciągu 4 lat. W lipcu 1935 r. został on zatwierdzony przez CKWPK i Radę Ministrów ZSRR. Plan ten, zwany Planem Generalnym, a w skrócie Genplanem, oglądamy również w Muzeum.

Zadanie postawione twórcom planu przebudowy i jego realizatorom było następujące: stworzenie dobrych warunków bytu przez racjonalne rozplanowanie miasta, budowę wygodnych komfortowych i estetycznych domów mieszkalnych, podniesienie stanu sanitarnego i usprawnienie komunikacji. Przy rekonstrukcji przyjęto zasadę, że należy zachować historyczne założenie urbanistyczne i architekturę zabytkową, do której musi być dostosowane jej najbliższe otoczenie.

Przebudowa miasta ma być przeprowadzona przy pomocy następujących środków: terytorium miasta zostanie powiększone z 28,5 tys. ha do 60 tys., rozwój miasta pójdzie w kierunku południowo-zachodnim, ponieważ dzielnica ta jest najzdrowsza i odznacza się malowniczością położenia. Dopełni ona terytorium miasta w ten sposób, że rzeka Moskwa przetnie cały masyw miasta w przyszłym jego centrum, a jej wybrzeża staną się wówczas podstawową osią kompozycyjną sieci ulicznej. Przyłączenie tego terenu i innych pozwoli na stworzenie nowych dzielnic mieszkaniowych oraz na racjonalne rozplanowanie miasta. Istniejące pod Moskwą tereny zalesione, uzupełnione nowymi kulturami leśnymi, otoczą miasto pierścieniem zieleni o szerokości 10 km i zapewnią mu dostateczną ilość świeżego leśnego powietrza. Tereny zielone wewnątrz miasta zostaną powiększone do 18 866 ha. Gęstość zaludnienia wynosząca obecnie 1000 mieszkańców na ha zostanie zmniejszona do 400.

Na budownictwo mieszkaniowe i racjonalne rozmieszczenie poszczególnych dzielnic kładzie się specjalny nacisk. Nowe dzielnice będą zajmowały terytoria sześciokrotnie większe niż dotychczas. Każda z nich będzie miała swój plac centralny, park, sad dziecięcy, szkoły, bibliotekę, ambulatoria, teatr, kino i inne budynki użyteczności publicznej. Znaczna wysokość budynków pozwoli na zabudowę luźną i pozostawienie większej przestrzeni niezabudowanej. Domy mieszkalne po przebudowie zajmą tylko 24% całego terytorium miasta, obecnie zaś zajmują aż 56%.

Oprócz budownictwa mieszkaniowego i dzielnicowych budynków użyteczności publicznej projektuje się cały szereg gmachów służących celom oświatowym i administracyjnym, a więc: ponad 500 szkół, laboratoria, Akademię

Nauk, Instytut Medycyny Eksperymentalnej, Ministerstwo Obrony Narodowej, Ministerstwo Ciężkiego Przemysłu i reprezentacyjny Pałac Sowietów.

Jeśli chodzi o przeplanowanie miasta, co wiąże się nie tylko z kwestiami estetycznymi i zdrowotnymi, ale również i ze sprawą transportu, to Plan Generalny wychodzi z zasady utrzymania dawnego promienisto-pierścieniowego układu sieci ulicznej, przeprowadza jednak zmiany bardzo radykalne. Przebite będą nowe arterie biegnące promieniście ku centrum. Istniejące już arterie będą wyprostowane i zniwelowane w miarę potrzeby, a przede wszystkim poszerzone. Tam gdzie byłoby to zbyt kosztowne, zostaną one podwojone równolegle idącymi ulicami odciążającymi. Ilość arterii obwodowych (pierścieniowych) zastanie powiększona z 2 do 6. Niektóre z nich przejdą przez rzekę Moskwę na Zamoskworieczje, dzięki czemu centrum zostanie odciążone. Poszczególne dzielnice leżące na krańcach miasta zostaną między sobą połączone magistralami prostymi. Wielka ilość krętych uliczek i zaułków zostanie zniesiona, ponieważ hamują one ruch przez nadmierne przecinanie ulic komunikacyjnych.

Estetyczny i harmonijny wygląd miasta ma być osiągnięty nie tylko przez budowę nowych gmachów o wybitnych wartościach artystycznych i umiejętne podkreślenie istniejących już budynków zabytkowych, ale również przez kształtowanie poszczególnych fragmentów miasta: placów, ulic, odcinków ulic jako harmonijnych i logicznie rozwiniętych zespołów. Przebudowa dawnych i założenie nowych placów, otwarcie wielkich perspektyw na monumentalne gmachy i rzekę, podniesie estetyczne wartości miasta. Zwłaszcza monumentalny plac położony przed Pałacem Sowietów, wraz z kompleksem otaczających go placów i otwartą perspektywą, będzie ważnym akcentem urbanistycznym. Umiejętne wyzyskanie rzeźby terenu, wybrzeży rzecznych i masywów zieleni wniesie urozmaicenie w monotonię ulic.

Druga sala działu przebudowy poświęcona jest kolei podziemnej. Metro moskiewskie o sieci łącznej długości 22 km przewyższa wszelkie inne metra świata nie tylko pod względem doskonałości technicznej, ale również pod względem dbałości o estetyczny wygląd stacji. Każda z nich zbudowana według projektu innego architekta jest wnętrzem o charakterze monumentalnym, gdzie szlachetność proporcji i linii rywalizuje z szlachetnością materiału i umiejętnym wyzyskaniem efektów świetlnych. Wielki plan pokazuje sieć metra o liniach idących promieniście z peryferii ku centrum. Projektowana jest również linia obwodowa łącząca między sobą stacje końcowe. Ogólna sieć ma być przedłużona do 80,8 km. Na marginesach planu umieszczone są widoki wnętrz poszczególnych stacji, a liczne makiety przedstawiają poszczególne odcinki metra w różnych przekrojach i fazach budowy.

Eksponaty poświęcone innej komunikacji miejskiej umieszczone są w sali następnej. Usprawnienie komunikacji przedstawione jest w liczbach; według nich Moskwa posiada 1002 autobusy, 415 trolleybusów, setki taksówek pasażerskich i ciężarowych. Długość linii tramwajowych osiągnie 1400 km, zostaną one jednak przerzucone ze śródmieścia na krańce miasta.

Trzecia sala poświęcona jest budowie kanału Wołga—Moskwa-rzeka, który

uczynił Moskwę portem pięciu mórz, a miasto zaopatrzył w dostateczną ilość wody. Opodal planu systemu wodnego umieszczone są fotografie i dane liczbowe jedenastu nowych mostów zbudowanych w latach 1935—38. Nowe mosty nie tylko że w zupełności odpowiadają potrzebom transportu miejskiego i rzecznego, ale są również wartościowe pod względem architektonicznym. Wybrzeża rzek zostały ujęte w obramowania z granitu i betonu na przestrzeni 59,5 km.

Osobny dział Muzeum obrazuje wodociągi i kanalizację. Na szeregu tablic świetlnych, rysunków i makiet przedstawiona została rozbudowa sieci wodociągowej moskiewskiej i proces oczyszczania wody. Podobne eksponaty ilustrują budowę i funkcjonowanie sieci kanalizacyjnej.

Zrealizowaniu projektu przebudowy przeszkodziła wojna, przeprowadzono go tylko częściowo. Nie rozwiązano kryzysu mieszkaniowego, gdyż ludność Moskwy wzrosła niepomiernie nie tylko wskutek przyrostu naturalnego, ale również z powodu masowego przypływu ludności z miast zniszczonych wojną. Niemniej to, co wykonano, jest imponujące: kanał Wołga—Moskwa, metro, 11 mostów, 500 domów mieszkalnych, 298 szkół, Dom Rady Ministrów, Biblioteka im. Lenina, Hotel Moskwa, Sala Koncertowa im. Czajkowskiego, Szpital na Sokolej Górze, 14 zakładów położniczych, stała Wystawa Gospodarstwa Wiejskiego itd. Rekonstruowano 6 magistrali, wyasfaltowano 4 069 000 m² nawierzchni ulic, zwiększono wydajność elektrowni, gazowni, wodociągów.

Nieuniknionym losem wielkich miast jest powolne zanikanie ich dawnego oblicza. Ten niszczycielski proces odbywa się wolniej lub prędzej, stosownie do szybkości rozrostu miasta, spowodowanego przemianami społecznymi i ekonomicznymi. Tworzenie muzeów historii miast całkowicie lub częściowo zmodernizowanych jest obowiązkiem pokolenia, które w spadku po niedawno minionej epoce otrzymało miasto zniekształcone i w dalszym ciągu musi je przystosowywać do potrzeb życia współczesnego. Obowiązek ten wobec zniszczeń spowodowanych barbarzyństwem ostatniej wojny jest bezwzględną koniecznością chwili obecnej. Taki obowiązek względem swej przeszłości spełniło miasto Moskwa, organizując dział historyczny w Muzeum Miejskim.

GEORG LUKACS

W POSZUKIWANIU OBYWATELA[1]

I

Co to znaczy: poszukiwanie obywatela (mieszczanina?)[1] Czyż nie pełno go wszędzie, czy kultura współczesna, od ekonomii po poezję i muzykę, nie jest mieszczańska? I czy postawienie takiego pytania nie jest szczególnie nieuzasadnione właśnie jeśli chodzi o Tomasza Manna, który z większym zapałem niż inni współcześni pisarze wyznaje swoją przynależność do mieszczaństwa od początku swojej twórczości po dziś dzień?

Pytanie nabiera jeszcze zawiłości wskutek tego, że twórczość Tomasza Manna (choć nie zawsze jego myśli) jest pozbawiona jakiegokolwiek rysu utopijnego. Stwierdzamy to jedynie jako szczegół charakterystyczny, bynajmniej nie kwalifikujący klasy pisarskiej. Tomasz Mann jest realistą o rzadko spotykanym przywiązaniu do rzeczywistości, a nawet nabożeństwie dla niej. Mimo że szczegóły jego powieści, a bardziej jeszcze fabuła i koncepcje ideowe nie zatrzymują się na powierzchni dnia powszedniego, mimo że twórczość jego odbiega daleko od naturalizmu, treść twórczości jednakże nie wykracza nigdy poza rzeczywistość.

W twórczości Tomasza Manna objawiają się nam mieszczańskie Niemcy (uzupełnione ich genezą i odkryciem dróg, które do nich prowadziły), ich dogłębnie ujęta wewnętrzna problematyka, której dialektyka siłą rzeczy przerasta samą siebie, ale nie ukaże nam ona nigdy wczarowanej we współczesność, realistycznie ożywionej utopijnej perspektywy przyszłości. A przecież niejedno wielkie dzieło realizmu jest ukształtowane w ten sposób. Wystarczy choćby przypomnieć „Wilhelma Meistera" Goethego. Mimo jednak bliskiego pokrewieństwa z Goethem, Mann jest w tym wypadku jego artystycznym przeciwieństwem.

Fakt ten zaś podkreśla raz jeszcze mieszczańskość jako formę istnienia i jako zasadę twórczości. Tomasz Mann ogólnie (i słusznie) uchodzi za reprezentatywnego pisarza Niemiec doby obecnej. Nawet w jednym i tym samym narodzie

[1] W tekście Lukacsa stale występuje termin „Bürger". Jak o tym zresztą mówi sam autor przy końcu rozprawy, język niemiecki ma tylko ten jeden wyraz na oznaczenie pojęcia „obywatel" i „mieszczanin". Tłumaczka starała się oddać istotną treść zastosowanego w poszczególnych wypadkach terminu.

istnieją różne typy tej reprezentatywności. Są autorzy reprezentatywni, będący głośnymi i jasnymi zwiastunami Jutra, i są poeci, których powołanie i talent polega na tym, że są „zwierciadłem świata". Burzliwy rozpęd Schillera jest tak samo reprezentatywny, jak goethowskie utrwalenie chwili. Ale i porównywanie Tomasza Manna do typu Goethego (czy Balzaka lub Tołstoja), jak również twierdzenie, że jego twórczość jest „zwierciadłem świata", nie określa nam jeszcze tego, co w nim specyficzne.

Wspomnieliśmy o utopijnych cechach w „Wilhelmie Meisterze", o motywach spotykanych również u Balzaka, Kellera lub Tołstoja. U Tomasza Manna brak ich, skutkiem czego powstaje odrębna forma znamienności: Tomasz Mann daje doskonały obraz mieszczaństwa w całej jego problematyce, ale tylko obraz danej chwili, danego etapu. (To portretowanie niemieckiego obywatela doby współczesnej sięga oczywiście tylko do czasów przedfaszystowskich, portretu Niemca-faszysty lub walczącego z faszyzmem nie spotykamy — na razie — w twórczości Tomasza Manna). Dlatego w dziele Manna wielu Niemców odnajduje samych siebie zupełnie inaczej, głębiej i zarazem bezpośredniej, intymniej i szczerzej niż w twórczości innych pisarzy. Ponieważ stwarzana przez niego problematyka ogranicza się do stawiania pytań, lecz nie odpowiada na nie lub odpowiada bardzo okrężną drogą, tłumaczy i tłumaczenia te znowu z ironią zbija — zasięg wpływu jego twórczości jest o wiele większy niż innych współczesnych pisarzy. Konstrukcja jego opowiadania stawia wysokie wymagania poczuciu artystycznemu czytelnika, misterna siatka jego pytań i zastrzeżeń wymaga nie lada wysiłku umysłowego, natomiast fabuła i postacie jego dzieł są proste i naturalne, zrozumiałe nawet dla umysłu najprymitywniejszego. Ponieważ odzwierciedla moralny stan świata, wrażenie jest trwałe: w utrwalonych momentach zastyga zawsze jeden etap rozwojowy niemieckiego mieszczaństwa, do którego każdy, przeżywający świadomie przeszłość własną i narodową, wciąż od nowa powraca.

Tę osobliwą formę reprezentatywności potęguje jeszcze organicznie powolny rozwój Tomasza Manna. Również tutaj podąża on śladem rzeczywistości. Co prawda rzeczywistość ta była (zwłaszcza w drugiej połowie jego pracy pisarskiej) więcej niż burzliwa i refleks tego tempa stał się nieunikniony w jego twórczości. Ale nie wpłynęła ujemnie na epicki charakter całokształtu dzieła, oparty na spokojnym, opisowym aprioryzmie jego przeżywania świata, dzieła odzwierciedlające owe gwałtowne przemiany zachowują nie tylko swój spokojny, epicko-ironiczny charakter, ale powstanie ich wymaga tyle czasu, że oddają zawsze ideologicznie już dojrzałą problematykę, oddają ten krok naprzód, który historia zrobiła lub właśnie zamierza zrobić, w oświetleniu *pro* i *contra* jego duchowego przygotowania.

Przemiany zatem pozostają poza dziełem. Tomasz Mann przedstawia nam zawsze tylko ich refleksy rzucane na życie codzienne. Tę powolność rozwoju trzeba znowu odgraniczyć od wszelkiego rodzaju naturalizmu. Treść twórczości Tomasza Manna nie odpowiada nigdy nastrojom bieżącego dnia mieszczaństwa niemieckiego. Wprost przeciwnie. Im pełniejsza jego dojrzałość, tym bardziej

zdecydowanie przeciwstawia się Mann panującym prądom reakcyjnym. Ale sposób w jaki im oponuje, duchowe uzbrojenie jego oporu określają punkt szczytowy osiągalnej wówczas świadomości mieszczańskiej: nawet w opozycji twórca Tomasz Mann nie odrywa się od mieszczaństwa. Na tym związaniu z podłożem społecznym polega głębia i szerokość jego zasięgu. Tomasz Mann jest widomym symbolem tego, co najlepsze w niemieckim mieszczaństwie.

Oczywiście odnosi się to jedynie do jego twórczości artystycznej. Jej gładka, czasem prawie niedbała doskonałość jest wynikiem długiej, męczącej walki z wielostronną, przede wszystkim wewnętrzno-moralną problematyką owego świata, z którego może się właśnie taka twórczość organicznie zrodzić. Jeśli zatem Tomasz Mann jako artysta różni się krańcowo od filozofa Schellinga, który — jak powiada Hegel — „swej edukacji filozoficznej dokonał wobec publiczności", jeżeli dzieła Manna przedstawiają doskonałe syntezy skończonych i zamkniętych etapów historycznych, jego umysłowo-ideologiczny rozwój odbywa się także — z musu — wobec publiczności.

Naszym zdaniem nie należy interpretować dzieł wybitnych twórców na podstawie ich teoretycznych wypowiedzi. Ogólnoludzkie znaczenie tych dzieł polega bowiem prawie zawsze na tym, że te spośród konfliktów danej epoki, które w śmiałych, nieustraszonych próbach myślenia osiągają w najlepszym wypadku uczciwie wyrażone sprzeczności — stawiając często „tak" i „nie" bezpośrednio obok siebie, a czasem nawet zastygając na stanowisku to fałszywym, to reakcyjnym — w dziełach osiągają najwyższą dynamikę, możliwą w danej rzeczywistości historycznej.

W większości wypadków jest to coś więcej niż artystyczne ukształtowanie fragmentarycznych myśli. Jest to korekta, którą proces kształtowania rzeczywistości, jej fanatycznie do końca doprowadzone odbicie, a więc ostatecznie sama rzeczywistość przeprowadza w mylnych tendencjach myślowych twórcy. Utopijny legitymizm Balzaka i chrześcijańsko-plebejuszowskie marzenie Tołstoja o zbrataniu z chłopem nie zostały nigdzie tak jaskrawo zbite jak w „Gabinecie starożytności" i w „Zmartwychwstaniu".

Tomasz Mann jest skrajnym przedstawicielem tych pisarzy, których wielkość polega na „odzwierciedlaniu świata". Nie znaczy to, ażeby pod względem filozoficznym był dyletantem lub człowiekiem, któremu brak konsekwencji w myśleniu. Wprost przeciwnie. Posiada najwyższą kulturę umysłową współczesnych Niemiec mieszczańskich; niewielu współczesnych tak głęboko i konsekwentnie jak on przemyślało czołowych reakcyjnych filozofów tej epoki, Schopenhauera i Nietzschego, niewielu przejrzało tak do dna łączność tych systemów i metod z zagadnieniami życiowymi współczesnego mieszczaństwa. U niewielu mozolnie wypracowany światopogląd zrósł się tak ściśle z twórczością, jak u niego.

Właśnie dlatego rzadko spotyka się tak jawne jak u niego zbijanie tego, co fałszywe, za pomocą wnikliwego śledzenia autonomicznego życia postaci, sytuacji i fabuły. Przytoczę na razie tylko drobny przykład. Powieść „Buddenbrookowie" została napisana w czasie, kiedy Tomasz Mann (a z nim wielka część

niemieckiej inteligencji mieszczańskiej) widział w Schopenhauerze czołowego filozofa światopoglądu niemieckiego. Wielka droga umysłowego rozwoju Niemiec prowadziła, jego zdaniem (jeszcze długo po skończeniu pierwszej wielkiej powieści), od Goethego poprzez Schopenhauera i Wagnera do Nietzschego, a od tego ostatniego do prawdziwie niemieckiej kultury umysłowej teraźniejszości i przyszłości. Nic dziwnego, że w „Buddenbrookach" odbił się wpływ Schopenhauera i że Mann ukazuje nam jego stosunek do życia. Ale jak to wygląda w samej powieści? Tomasz Buddenbrook jest człowiekiem złamanym. Wysiłki jego, aby wlać nowe życie w dom handlowy, spełzły na niczym. Stracił nadzieję, aby jego syn jako następca i kontynuator dokonał w pracy tego, czego on sam dokonać nie zdołał. Współżycie duchowe z żoną jest coraz bardziej niezgodne. W tym stanie wpada mu w ręce „Świat jako wola i wyobrażenie". I jakież wrażenie wywiera na nim ta książka?

„Ogarnęło go nieznane, wielkie i wdzięczne zadowolenie. Odczuł niezrównaną satysfakcję, widząc jak potężny mózg zabiera się do życia, tego tak silnego, okrutnego i szyderczego życia, aby je ujarzmić i osądzić... satysfakcję cierpiącego, który wstydliwie i z nieczystym sumieniem ukrywał stale swoje cierpienie przed zimnym i twardym życiem i nagle otrzymuje z ręki wielkiego mędrca zasadnicze i uroczyste uprawnienie do chorowania z powodu świata — tego najlepszego ze wszystkich, o którym dowiedziono oto z szyderczym uśmiechem, że jest najgorszym ze wszystkich możliwych... Czuł, jak gdyby jego cała istota rozrastała się w niesamowity sposób i napełniała się jakimś mrocznym, ciężkim upojeniem, umysł zamroczyło i upoiło coś niewypowiedzianie nowego, nęcącego i obiecującego, co przypominało pierwszą nieśmiałą tęsknotę miłosną."

Nawet najzawziętszy przeciwnik Schopenhauera nie mógłby go lepiej przedstawić jako duchowego przywódcę dekadencji.

Na razie nie chodzi o to, jak myśliciel Tomasz Mann widział i oceniał wówczas ogólny problem dekadencji. Przykład miał tylko oświetlić konstrukcyjne nawarstwienie intelektualnych i artystycznych pytań i odpowiedzi Tomasza Manna, miał dać następnym rozważaniom metodologiczne uzasadnienie, dlaczego trzymamy się wszędzie przede wszystkim twórczości i interpretujemy myśliciela i polityka Manna od strony jego dzieła, a nie na odwrót, jak to często się robi.

2

Dopiero teraz możemy konkretnie i z sensem oświetlić postawione na początku paradoksalne na pozór zagadnienie owego poszukiwania obywatela jako zasadniczy problem twórczości Tomasza Manna, jako podstawę jego popularności i reprezentatywnego znaczenia. Pytanie to prowadzi do zasadniczej sprzeczności tkwiącej w fakcie istnienia twórcy w epoce mieszczaństwa; Schiller pierwszy określił ją, widząc w powstaniu „sentymentalizmu" (elegijnego, satyrycznego i idyllicznego) zasadniczą tendencję nowego mieszczańskiego świata. Jego genialnie odkrywcze, zasadnicze przeciwstawienie oszałamia swoją niezbitą prostotą i oczywistością. „Poeta... albo j e s t naturą, albo będzie jej

szukał", powiada Schiller. Bez trudu rozumiemy, że prawdziwy, wielki realizm stanowi cechę charakterystyczną poetów naiwnych. Schiller ilustruje ów kontrast bardzo pięknie przeciwstawieniem pokrewnego epizodu u Homera i Ariosta.

Dopiero dalej sprawa się komplikuje. Komplikacja pojawia się już u Schillera: czy Goethe jest twórcą naiwnym? (A my dodajmy: czy nie jest nim również Tołstoj lub Tomasz Mann?) Jeśli zaś tak: jaki jest jego stosunek do współczesnej rzeczywistości? Jaki jest jego stosunek do poszukiwania natury, do sentymentalizmu? O małych indywidualnościach mógł Schiller spokojnie powiedzieć, „że biegają sobie samopas po swojej epoce i życzliwa gwiazda chroni ich przed jej zgubnym wpływem". Schiller wiedział oczywiście, że do ustalenia literackiej pozycji Goethego nie wystarczą tak proste kontrasty. Ale szuka trochę jednostronnie rozwiązania, zapytując, jak poeta naiwny opracowuje wątek sentymentalny i uwidoczniając to potem wnikliwie na „Werterze", „Tassie", „Wilhelmie Meisterze" i „Fauście". Owszem, Goethe jest naiwny, ale społecznie konieczny. Nie posiada naturalnej i niewątpliwej naiwności Homera, ale ma naiwność wrodzoną i zarazem z trudem wypracowaną, naiwność, która decyduje o pierwszym artystycznym podejściu do przedmiotu i ostatecznym wykończeniu formy, a między jednym i drugim daje dostęp do dzieła całemu oszałamiającemu bogactwu sentymentalizmu. Można zatem uznać schillerowską definicję: „Naiwnego poetę natura obdarowała tą łaską, że może on być zawsze niepodzielną jednością, w każdej chwili samodzielną i skończoną całością i przedstawiać ludzkość w pełnej zgodzie z jej prawdziwą treścią. Sentymentalnemu poecie dała natomiast władzę, albo raczej wpoiła mu żywotny pęd do odbudowy jedności, którą abstrakcja w nim zniweczyła, do uzupełnienia w sobie ludzkości i przejścia ze stanu ograniczonego w nieskończoność". Ale to przeciwieństwo wydaje się u wielkich realistów epoki mieszczańskiej, jak Goethe, Balzac i Tołstoj, dialektycznym procesem, w którym sentymentalizm na drodze od naiwności pierwotnej do artystycznej przeobraża się w realistycznej twórczości — we wzniosłość.

Jak wygląda Tomasz Mann w rzędzie wielkich „naiwnych" epików XIX i XX wieku? Okrężna droga obrana przez nas była konieczna, aby rozwiązać sprzeczność, zawartą pozornie w naszej analizie jego właściwości. Realizm jego nazwaliśmy „zwierciadłem świata", ale równocześnie powiedzieliśmy, że reprezentuje on sumienie niemieckiego mieszczaństwa. Ta sprzeczność jest widoczna. Tam gdzie poeta występuje jako uosobienie sumienia — kończy się naiwność pierwotna. Sprawa sumienia jako siły życiowej jest wyrazem, uznaniem rozdziału między „być" a „powinno być", między zjawiskiem a istotą; — czy nie powróciliśmy tym samym do schillerowskiego sentymentalnego poety, do przepaści między rzeczywistością a ideałem? Czy nie zniknął tym samym naiwny realizm wielkiej epoki?

Chyba nie. „Powinno" bowiem nie musi, jak u Kanta i po większej części u Schillera, przeciwstawiać się jako obca materia rzeczywistości ukształtowanej zupełnie inaczej. Może wypłynąć — jak u Hegla — z pełnej przeciwieństw

jedności zjawiska i istoty. Sumienie jest wówczas tylko napomnieniem: bądź czym jesteś, — bądź istotny, rozwijaj — na przekór hamującym wpływom świata zewnętrznego i wewnętrznego — to, co żyje w tobie stale jako rdzeń twój i treść twoja.

W takim to sensie głęboko i świadomie mieszczański Tomasz Mann jest sumieniem mieszczańskich Niemiec. Można powiedzieć: w nim doszedł do świadomości społeczny rdzeń schillerowskiego odkrycia o istocie współczesnej sztuki. Ma on najgłębsze przekonanie, że sprawa istoty człowieka dzisiejszego sprowadza się do kwestii jego obywatelstwa. Poszukiwanie obywatela nasuwa mu wszystkie zagadnienia teraźniejszości, przyszłości i kultury naszej epoki.

Wielki następca Goethego, Gottfried Keller, zbudował potężne dzieło całego życia dokoła tego zagadnienia. Ale czynił to na tle szwajcarskich stosunków, w połowie zeszłego stulecia. Tomasz Mann dostrzegł jasno — oczywiście nie w początkach swej pracy pisarskiej — zasadniczą różnicę wynikającą z tego faktu. Koło roku dwudziestego wypowiedział się na temat Szwajcarii: „Na naszych oczach żyje pewna odmiana niemczyzny, która — politycznie wcześnie oderwana od pnia macierzystego — dzieliła jego duchowe i obyczajowe koleje losu tylko do pewnego stopnia, nie straciła nigdy kontaktu z zachodnio-europejską mentalnością i nie przeżyła z nami zwyrodnienia romantyzmu, które uczyniło z nas samotników i *outlaw*'ów... Mentalność szwajcarska może nas w każdym razie jednego nauczyć: nie mylić z samą niemczyzną tej fazy niemieckiej drogi dziejowej, którą można było łatwo ominąć — błądząc..."

Tego zrozumienia, zaczerpniętego z pierwszej wojny światowej i załamania się Niemiec, nie ma oczywiście w początkowym postawieniu sprawy przez Manna. Ale bo też nie jest ono takie proste, takie aspołeczne, jak je sobie Tomasz Mann sam nieraz wyobrażał. Podczas wojny pisał o swojej dawniejszej twórczości: „Bo też to prawda, przespałem do pewnego stopnia przemianę niemieckiego obywatela w m i e s z c z a n i n a..."[1]. Tomasz Mann nie docenia w tym wypadku swojej własnej twórczości. Weźmy tylko kontrast w rozwoju rodziny Hagenströmów i Buddenbrooków. W pierwszej znajdujemy doskonale narysowany rozwój i przekształcenie się niemieckiego obywatela w mieszczanina, które Tomasz Mann rzekomo „przespał". Przespał je w tak małym stopniu, że druga połowa tej pierwszej powieści obraca się pod względem kulturalno-politycznym i moralnym dookoła osi: którzy są tymi prawdziwymi obywatelami, Hagenströmowie czy Buddenbrookowie?

Powierzchownie biorąc, odpowiedź jest bardzo prosta: patrycjuszowskie mieszczaństwo Buddenbrooków ginie z konieczności, a Hagenströmowie rządzą nowymi Niemcami. To jasne. Tego Tomasz Mann nie przespał. Tylko że nie uspokoił się, zrezygnowany, po stwierdzeniu faktu. Gdyby to bowiem uczynił, musiałby zrezygnować z niemieckiej kultury doby obecnej i z możliwości wielkiej literatury współczesnej. Byłby został *laudator temporis acti*, drugim Raabem.

Zjawia się jednak przed nim problem: kto jest obywatelem? Jak wygląda przedstawiciel kultury obecnej, decydujący o jej kierunku, skoro nie jest nim

[1] W tekście „die Verwandlung des deutschen Bürgers in den Bourgeois".

wycięski Hagenström? Wobec tego Buddenbrookowie nie są tylko po prostu giącym pokoleniem, lecz — z wszystkimi swoimi cechami zabarwionymi dekadencją — przedstawicielami kultury mieszczańskiej, która ongiś była dumą Niemiec, a obecnie powinna być źródłem ich odrodzenia, organiczną kontynuacją ławnej przeszłości. W takim razie pokolenia Buddenbrooków przedstawiają dzieje zmian w niemieckich tradycjach kulturalnych XIX wieku.

Wielka młodzieńcza powieść zbudowana jest na podwójnym kontraście. Chodzi nie tylko o kontrast między Hagenströmami a Buddenbrookami, lecz również — w łonie samej rodziny — o kontrast między Tomaszem a Christianem. W sprawie Tomasz—Christian pytanie brzmi: poddać się dekadencji czy walczyć z nią? W Christianie (i w bohaterze noweli: „Bajazzo") nowoczesny rozpad patrycjuszowskiego mieszczaństwa unicestwia kompletnie starą moralność. Reprezentant *fin de siècle*'izmu znajduje swoją zapowiedź w rozkładzie indywidualności wskutek wewnętrznego podkopania twórczych zasad życiowych mieszczaństwa, obowiązkowości, idei pracy zawodowej. W Tomaszu również działają te same siły destrukcyjne, ale Tomasz zwalcza je nieustępliwą autodyscypliną. Tam gdzie Christian rozpada się i rozkleja, Tomasz krystalizuje się w mieszczańską indywidualność. Źródłem zarówno zewnętrznej, jak i wewnętrznej formy jest rozpacz, wzdryganie się przed przepaścią destrukcji i kompletnej anarchii uczuć. — „Stałem się tym czym jestem — powiedział (Tomasz. G. L.) wreszcie głosem wzburzonym, — ponieważ nie chciałem stać się takim jak ty. Jeśli cię unikałem wewnętrznie, to dlatego, że musiałem się strzec przed tobą; twój charakter i usposobienie stanowią niebezpieczeństwo dla mnie... mówię prawdę".

W taki sposób powstała „postawa" Tomasza Buddenbrooka jako estetyka i moralność, filozofia kultury nowego mieszczaństwa. A więc Tomasz Mann znalazł swojego obywatela? Ależ skąd! Tomasz jest naprawdę, także wewnętrznie, bratem Christiana. Stał się obywatelem zadając przymus samemu sobie. A kiedy rozbija się jego pierwsza i jedyna próba uczestniczenia w nowej ekonomicznej przemianie mieszczaństwa, w przemianie Hagenströmów, Tomasz zamienia się coraz bardziej w figurę dekoracyjną, którą Mann podkreśla ironicznymi akcentami, w aktora swojego własnego życia. Czy jest to ów nareszcie znaleziony obywatel? Pytanie nierozwiązane. Tomasz cytuje w pewnej rozmowie z siostrą zdanie swojej żony o Christianie: „On nie jest obywatelem, Tomaszu! Jest nim w jeszcze mniejszym stopniu niż ty!" Siostra odpowiada przerażona: „Obywatelem... obywatelem, Tom? Cóż, mnie się zdaje, że trudno o lepszego obywatela na całym Bożym świecie niż ty!" A Tomasz: „No, nie należy rozumieć tego tak dosłownie!..."

Ale to bynajmniej nie rozwiązuje dla Tomasza Manna dylematu „postawa" — anarchia uczuć. Teraz dopiero powyższe zagadnienie wysuwa się na pierwszy plan jego twórczości sprzed pierwszej wojny światowej. Nowele „Tonio Kröger" i „Śmierć w Wenecji" ukazują nam „postawę", ujarzmienie anarchii uczuć, przemianę pracy artystycznej (która jest tutaj dla Tomasza Manna symbolem działalności kulturalnej, istotnego powołania zrodzonego z wewnętrz-

nej konieczności) w zawód — jako centralny problem twórczości. O działal-
ności bohatera „Śmierci w Wenecji" mówi Mann: „Gustaw Aschenbach był poet
tych wszystkich, którzy pracują do krańcowego wyczerpania. Był poetą wszy
stkich tych moralistów działania, przeciążonych, już zużytych a trzymających
się jeszcze, którzy przy wątłej budowie i skąpych środkach dzięki ekstazie wol
i roztropnemu postępowaniu przynajmniej przez pewien krótki okres umieją
wykrzesać z siebie wrażenie wielkości. Jest ich wielu, są oni bohaterami epoki."
Mann wypowiada tutaj tajemnicę swojej własnej ówczesnej działalności.

Dobrze. Ale czy w rezultacie znaleźliśmy owego obywatela? Rosyjska ma
larka Lizaweta Iwanowna nazywa swojego przyjaciela Tonia Krögera bardzo
trafnie „zbłąkanym obywatelem". Sam Tonio Kröger z jednej strony dobrze
rozumie, że w dobie obecnej można stworzyć prawdziwą sztukę (prawdziwą kul
turę i moralność) tylko na własnej drodze. Z drugiej strony kocha życie i sta
wia je wyżej od wszelkiej sztuki, z konieczności obcej życiu. Daje nam nastę
pujący bardzo mieszczański opis życia: „Niech pan pomyśli o Cezarze Borgia
albo o jakiejś pijanej filozofii, wynoszącej go pod niebiosa? Dla mnie Cezar
Borgia jest niczym, lekceważę tę postać i nigdy nie zrozumiem, jak można
uważać za ideał zdegenerowaną niezwykłość i demonizm. Nie! „Życie", które
jest owym odwiecznym przeciwieństwem ducha i kultury — przedstawia się
nam, umysłom niezwykłym, nie jako wizja krwawej wielkości i dzikiego pięk
na, nie jako niezwykłość. Właśnie normalność, przyzwoitość i układność jest
krainą naszej tęsknoty, jest życiem w jego cudownej banalności!"

Na pozór jesteśmy znowu u celu: ludzie prości, jak Hans Hansen i Ingeborga
Holm, są reprezentantami owego poszukiwanego mieszczańskiego życia. Nie
wątpliwie są nimi — w tęsknocie Tonia Krögera i innych do niego podobnych.
Ale gdyby to odkrycie było czymś więcej niż liryczną ironią, Tomasz Mann
zrezygnowałby z jakiejkolwiek kultury mieszczańskiej. Hans Hansen bowiem
i Ingeborga Holm mają z rozwojem niemieckiego mieszczanina od Goethego do
Tomasza Manna tyle wspólnego, co Hagenströmowie lub Klöterjahnowie, choć
sam widok ich jest estetycznie bardziej pociągający i łatwiej uczynić z nich obiekt
tęsknoty. Umierający Lorenzo Medici Tomasza Manna mówi do Savonaroli:
„Gdzie tęsknota gna, tam się nie jest — prawda? — i tym się nie jest. A jednak
człowiek często widzi w drugim człowieku wcielenie swojej tęsknoty".

Więc jednak „zbłąkany obywatel" Tonio Kröger, pisarz, brat duchowy To
masza Buddenbrooka, ma być prawdziwym obywatelem, a jego droga do „po
stawy moralnej" — jedynie prawdziwą etyką nowego mieszczaństwa? Również
i w tym zakresie Tomasz Mann przeprowadza okrutny samosąd. Unaocznia
to w „Śmierci w Wenecji". W Gustawie Aschenbachu dojrzało mianowicie to, co
w Toniu Krögerze było jedynie tęsknotą i dążeniem. Aschenbach zbudował do
skonałe w formie życie i ważkie dzieło na gruncie moralności „postawy". Su
rowo i dumnie wznoszą się one ponad ordynarny dzień powszedni, ponad jego
małostkowe filisterstwo i tak samo małostkową anarchię bohemy. Ale wystar
czy maleńki konflikt, sen w czasie tego konfliktu — a „postawa" załamuje się
nieuchronnie i bez oporu, jakby nie była wytworem uczciwego, ascetycznie wy-

walczonego życia. „Tej nocy miał okropne widzenie — jeśli tak można nazwać cielesno-duchowe przeżycie, które przydarzyło mu się wprawdzie w najgłębszym śnie i przy pełnym poczuciu swobody i zaostrzeniu zmysłów, choć nie widział siebie w tym co się działo. Sceną była raczej jego dusza, zdarzenia runęły z zewnątrz, siłą łamiąc jego opór — opór głęboki, duchowy — przeszły przezeń i spustoszyły, zdruzgotały jego egzystencję i ustalony sens jego życia."

Samosąd ten jest syntezą przedwojennej twórczości Tomasza Manna. Niechaj czytelnika przy sprawiedliwej ocenie tej głęboko pesymistycznej ironii nie zwiedzie komediowy *happy end* w „Królewskiej Wysokości". Los głównych bohaterów otacza tu przecież atmosfera baśniowego nieprawdopodobieństwa i nieparadygmatyczny charakter wyjątku jest silnie zaakcentowany. Poza tym zaś druga ta powieść jest zarówno epilogiem „Buddenbrooków" jak prologiem „Śmierci w Wenecji". W księciu Albrechcie formalizm „postawy" przechodzi w świadomość jej beztreściowości i nicości. Książę porównuje siebie i swoją królewską „postawę" z zachowaniem nieszkodliwego półgłupka, któremu się zdaje, że każdemu odjeżdżającemu pociągowi daje sygnał do odjazdu. „Ale Himmelgottliebowi zdaje się, że pociąg odchodzi na jego skinienie. To niby ja. Skinę i pociąg odjeżdża. Ale odjechałby również beze mnie, a moje skinienie — to tylko wygłupianie się. Mam tego dosyć..." A wychowawca głównego bohatera, entuzjastyczny prorok „postawy" i dzielności mającej zakwitnąć na jej gruncie, doktor Ueberbein załamuje się — podobnie jak Gustaw Aschenbach — z drobnej, nieistotnej przyczyny. „Niespokojny i niesympatyczny człowiek... gardzący wyniośle wszelką poufałością, układający swoje życie z zimnym wyrachowaniem praktycznym... oto leżał powalony. Pierwsze lepsze niepowodzenie w dziedzinie czynu obaliło go sromotnie".

Niechaj czytelnik nie przypuszcza, że w tym wszystkim chodzi o zagadnienie uboczne lub może nawet marginesowe mieszczańskiej kultury przedwojennych Niemiec. Jest to kwestia zasadnicza: moralność „postawy" łączy się najściślej z duchowymi warunkami życia najlepszych przedstawicieli kultury, najuczciwszych intelektualistów wilhelmowskich, imperialistycznie sprusaczonych Niemiec. Dla intelektualistów, a przede wszystkim dla tych spośród nich, którzy nie byli skłonni szukać szczęścia *à la* Hagenström, antagonizm między Christianem a Tomaszem Buddenbrookiem, między anarchią a postawą, był bardzo charakterystyczny. (Dla lepszego oświetlenia sprawy wspomnimy nawiasowo, że czołowi socjologowie spośród współczesnych Tomasza Manna próbowali nawet drogę Hagenströma „zbuddenbrookować" w sensie moralnym i kulturalno-filozoficznym: przykładem Rathenau, Max Weber i Troeltsch). Prawda, że moralność „postawy" prowadzi z wewnętrznej konieczności wprost do prusactwa, objawia się nam najwyraźniej w rozwoju samego Tomasza Manna: bohater-pisarz w „Śmierci w Wenecji" zyskuje sławę dzięki eposowi o Fryderyku Wielkim i uprzedza w ten sposób — na pewno nie przypadkowo — pracę autora podczas pierwszej wojny światowej.

Twórca Tomasz Mann obiera tu osobliwe, paradoksalne stanowisko. Z jednej strony ukazuje, że droga od dylematu Christian — Tomasz Buddenbrook pro-

wadzi do aprobaty sprusaczenia Niemiec, z drugiej zaś daje właśnie tutaj druzgocącą krytykę bezwartościowości i nierealności całej etyki „postawy".

Tomasz Mann kontynuuje w tym wypadku dzieło życia starego Fontane. Fontane również podziwia i opiewa bardziej zdecydowanie niż dojrzewający Mann pruską „postawę", pruskich bohaterów wojennych, pruskie „pokonanie" nicości mieszczańskiego życia. Ale ten sam Fontane daje — w „Schach von Wuthenow", w „Irrungen, Wirrungen", w „Effi Briest" — unicestwiającą krytykę tego właśnie typu, z którym łączą go o wiele silniejsze sympatie niż tylko osobiste i w którym widział nieraz, ogarnięty wielorakim sceptycyzmem, moralne wyjście z ludzkiej i nieludzkiej zarazem problematyki burżuazyjnej epoki. Fontane i Tomasz Mann są pierwszymi i jedynymi pisarzami niemieckimi, którzy wykryli wewnętrzną kruchość „pruskiej postawy". (W związku z tym przypominamy krótką nowelę groteskową „Katastrofa kolejowa").

3.

Tak oto Tomasz Mann, analogicznie do sytuacji swojej ojczyzny, wszedł w okres wojny światowej z światopoglądem w wysokim stopniu problematycznym. Sytuacja ta była — jak możemy ocenić z historycznej już dzisiaj perspektywy — skrajnie paradoksalna: zarówno literacka krytyka prusactwa, jak ludzka oraz polityczna sympatia dla niego osiągnęły w chwili wybuchu kryzysu narodowego swój szczyt u Tomasza Manna. Historyka — jako patrzącego wstecz proroka — uderzy spostrzeżenie, jak nie doceniał wówczas Tomasz Mann największych osiągnięć swojego literackiego rozwoju, z jaką pasją wyciągał z własnej twórczości fałszywe wnioski.

Ale platoniczne zdziwienie, jakie wywołuje taka sprzeczność u myślącego człowieka, musi przeobrazić się w problem, w zadanie rozsądku. Oczywiście nie chodzi tu o apologię wojennej literatury Tomasza Manna. Jeśli ktoś interpretuje późniejsze dzieła, np. „Czarodziejską Górę", przez pryzmat „Rozważań nie-polityka", jak dzieje się to dziś jeszcze w Anglii i Ameryce, powstaje z konieczności reakcyjne zniekształcenie. Problem polega na tym, że polityczne błądzenie Tomasza Manna podczas pierwszej wojny światowej nie oznacza przypadkowego etapu jego „poszukiwania obywatela", tylko jest nieprzypadkową fazą ogólnego nieszczęśliwego rozwoju ideologii niemieckiej.

Dotychczas badaliśmy problematykę twórczości Tomasza Manna tak, jak wyłaniała nam się sama z tworzywa. Ale co jest jej podstawą społeczną, nieuświadomioną jeszcze wówczas przez Tomasza Manna? W jakieś 10 lat po wojnie daje nam Mann doskonały opis, jak przeważająca część najwybitniejszych niemieckich intelektualistów ustosunkowała się do polityczno-społecznego bytu ojczyzny. Mann pisze o Wagnerze: „Pomniejszał swój udział w rewolucyjnych zamieszkach roku 1848, za który zapłacił 12-letnim męczącym wygnaniem, i zapierał się go później w miarę możności, wstydząc się „haniebnego" optymizmu i próbując utożsamiać utworzenie Rzeszy przez Bismarcka

urzeczywistnieniem swoich marzeń. Szedł drogą niemieckiego mieszczaństwa: d rewolucji do rozczarowania i pesymizmu i do zrezygnowanego „legalnego zaklepienia się w sobie".

Owo „legalne zasklepienie się w sobie" ma długą historię, głęboko tkwiącą nędzy politycznego rozwoju Niemiec. Musimy tu wspomnieć o niej choć mi-ochodem, ponieważ oświetli nam ona nie tylko drogę Tomasza Manna, lecz kże jego stosunek do niemieckiego mieszczaństwa.

Mówiąc krótko: abstrahując od takich wyjątków jak Lessing, cała klasyczna oezja i filozofia Niemiec obracała się w atmosferze „legalnego zasklepienia się sobie". Wprawdzie im samym wydawała się ta władza — ów na pół feudalny osolutyzm małych państewek — bardziej niż problematyczna, a często nawet roga. Kiedy jednak zjawiła się wraz z zaborczymi wojnami Napoleona prawziwa władza o tendencjach społecznie i politycznie nowatorskich, wśród najybitniejszych Niemców powstał głęboki rozłam. Goethe i Hegel optowali na zecz Napoleona i Związku Reńskiego Niemiec. „Fenomenologia ducha", ukończona w czasie bitwy pod Jeną, uważa za punkt szczytowy nowożytnego rozoju rewolucję francuską i zrodzone z niej nowe, mieszczańskie społeczeństwo, podsuwa Niemcom zadanie: stworzenie ideologii adekwatnej dla tego nowego stroju. A zatem: „legalne zasklepienie się w sobie" z zagwarantowaniem owych eform politycznych i społecznych, jakie przeprowadzi — wbrew woli małych siążąt Związku Reńskiego — Napoleon, „wielki nauczyciel prawa państwoego", jak nazwał go Hegel w kilka lat później.

Nie trzeba się rozwodzić na temat utopijnego charakteru powyższej konepcji, bardzo bliskiej koncepcji Goethego. Wyobrażenie, że hegemonia napoońskiej Francji nad Europą ustabilizuje się na zawsze, nie wywołując odruchu olnościowego u narodów uwolnionych od feudalnych przeżytków i właśnie latego rozbudzonych do narodowej świadomości, i że Niemcy mogą być ideogicznym przywódcą nowego świata, nie próbując uzyskać politycznej samozielności — jest oczywiście czystą utopią. Ale z pewnością nie większą, niż narzenie uczciwych pruskich reformatorów, którzy spodziewali się rezultatów ewolucji francuskiej (a przynajmniej części z nich) jako prostej konsekwencji swobodzenia Prus spod jarzma napoleońskiego, bez wewnętrznego przewrotu. udzili się, że społeczne fundamenta i polityczne następstwa pruskiego feudalego absolutyzmu dadzą się usunąć bez obalenia rządów junkierskich i absoluyzmu Hohenzollernów. „Legalne zasklepienie się w sobie" romantyzmu, wywoane przez zwycięstwa nad Napoleonem, objawiło dokładnie ubóstwo tej zdrugotanej utopii.

Obie te sprzeczne utopie wykazują nam, że ideologowie Niemiec mogli być ylko widzami lub co najwyżej statystami w kształtowaniu losu ojczyzny. Dopiero z rewolucją lipcową kończy się ten „okres sztuki", dopiero z nią rozpoczyna się ów realniejszy rozwój, zakończony tragedią roku 1848 i tragikomedią oku 1870. W pierwszym wypadku naród niemiecki mógł rzeczywiście wybieać między demokratycznym wyzwoleniem a kontynuacją niemieckiego upadku, drugim uzewnętrzniała się kapitulacja niemieckiej inteligencji przed potęgą

sprusaczonej Rzeszy, zrodzoną na drodze reakcyjnej i z konieczności reakcyjn się rozwijającą.

Tak więc inteligencja niemiecka żyła znowu w stanie legalnego „zasklepien się w sobie", jak słusznie pisał Tomasz Mann o Wagnerze. Lecz historia n powtarza się nigdy. Gdy nawet się tak wydaje, istotna treść nie powtarza si podobieństwo polega tylko na analogiach formalnych. Dlatego musimy sob dokładnie uświadomić różnicę między legalnym „zasklepieniem się w sobi Goethego w napoleońskim Związku Reńskim a Tomasza Manna w wilhe mowskim imperializmie. Goethe reprezentował we wszystkich zagadnieniac istotnych światopogląd postępowy, przeznaczeniem zaś Tomasza Manna był urodzić się w okresie dekadencji i z właściwym sobie patosem przezwycięża jej ostatnie konsekwencje moralne. Poza tym ze stosunku Goethego do potęg Napoleona nie wynikały dlań objektywne i sprzeczne zobowiązania do obron tendencyj reakcyjnych. Dla Tomasza Manna zaś i dla całego mieszczaństw niemieckiego wybuch wojny światowej odwrócił sytuację: teraz „zasklepiani się w sobie" musiało wystąpić do walki w celu ideologicznej obrony legalnośc czyli reakcyjnego prusko-niemieckiego imperializmu.

Tak doszło do paradoksalnej, graniczącej z tragizmem sytuacji Tomasz Manna podczas pierwszej wojny światowej. Na skutek swego wielkiego talentu twórczego szukał również i wówczas obywatela, to znaczy: usiłował jak najgłę biej pojąć wewnętrzną problematykę niemieckiego mieszczanina, ażeby z samo dzielnego ruchu przeciwieństw w jego świadomości i bycie uchwycić kierunek dalszego rozwoju. Jest to „idea wielka i zaiste bohaterska", jak powiedzia Schiller o Goethem. Dla największego twórcy nie będzie ujmą, jeżeli na te drodze popełni omyłki, zwłaszcza że omyłki te nie były subiektywne, lecz wypływały właśnie z głębokiej łączności Manna z niemczyzną (łącznie z deformacją jej charakteru na skutek wielowiekowego upadku).

Tomasz Mann ma zatem słuszność, charakteryzując swoją twórczość wojenną w kilka lat później w sposób następujący: „Miał to być pomnik — i jest nim, o ile się nie mylę. Jest to batalia w odwrocie w wielkim stylu — ostatnia i najpóźniejsza batalia niemiecko-romantycznego mieszczaństwa — rozegrana z całą świadomością jej beznadziejnych perspektyw, a zatem nie pozbawiona szlachetnego tonu. Rozegrana nawet ze zrozumieniem duchowej chorobliwości i szkodliwości wielkich sympatyj ze śmiercią, ale równocześnie z przerafinowanym lekceważeniem zdrowia i cnoty, które uważa się szyderczo za symbol tego, przed czym wycofano się właśnie, za symbol polityki i demokracji..."

Jako charakterystyka własnej twórczości słowa powyższe są zupełnie słuszne. Ale jeżeli chcemy je trafnie ocenić w bardziej ogólnych ramach historii niemieckiej, musimy — tak jak zresztą były pomyślane — rozważyć je pod kątem widzenia dalszej ewolucji Tomasza Manna. Owa batalia w odwrocie d l a t e g o t y l k o jest pozbawiona szlachetności, że nastąpił po niej zwrot w stronę demokracji. Kto z uporem trzyma się dzisiaj ideologii rozpaczliwej obrony tego, co bezpowrotnie i słusznie utracone, kto bez wiary w wewnętrzne uprawnienie zwycięstwa czepia się skazanej na śmierć przeszłości, ten skazuje

siebie nie tylko na mimowolną donkiszoterię, ale jego smutne rycerstwo zamienia się również w nihilistyczną hipokryzję: jego odwrót może przygotować przyszłe odrodzenie reakcyjnego barbarzyństwa; może być herostratesowską próbą podpalenia naszego świata, aby na cmentarzysku cywilizacji i moralności wskrzesić to, co historia dawno pogrzebała, do krótkiego i pozornego życia. Szlachetne „pożegnanie" Tomasza Manna z więcej niż problematyczną przeszłością narodu jest jednak w odróżnieniu od takich tendencyj pożegnaniem prawdziwym i szczerym: jest wkroczeniem na prawdziwie nową drogę, drogę demokracji.

4

Nawrócenie Tomasza Manna na demokrację po pierwszej wojnie światowej jest wynikiem wielkiego kryzysu narodowego. Stanowi ono zwrot i punkt węzłowy w jego rozwoju, ale — choć niespodziewanie dla powierzchownego obserwatora — oglądane pod kątem wewnętrznej dialektyki jego dotychczasowej drogi nie przychodzi ono bez przygotowania. Tym samym powstaje nowy stosunek do poszukiwanego obywatela. Tomasz Mann z czasów przedwojennych i wojennych różni się od najwybitniejszych współobywateli „tylko" tym, że ich problematykę przeżywa głębiej i konsekwentniej doprowadza do końca. Duchowo i umysłowo jednak wyrósł wśród nich i nawet najbardziej abstrakcyjny jego utwór nosi na sobie piętno rodzime. Nazywając twórczość młodości imionami ojców chrzestnych, Storma i Nietzschego, charakteryzuje najlepiej swoją osobliwą sytuację. Twórczość, samotna na skutek surowości treści i formy, treścią i formą wyrasta z centrum otaczającej płaszczyzny, rodzi się z pierwiastków najwyższych i najniższych swojego otoczenia.

Ten stosunek zmienia się radykalnie z ideologicznym i politycznym zwrotem Tomasza Manna po wojnie. Mieszczanin niemiecki chadza teraz zupełnie innymi drogami niż poszukujący twórca. Jedynym bagażem, jaki został mieszczaninowi po załamaniu się pierwszej próby podbicia świata, było „przeżycie frontowe", nadzieja, że za pomocą udoskonalonych środków, do których należało całkowite zlikwidowanie wszelkiego rodzaju demokracji, dokona tego, co się wtedy nie udało. Tomasz Mann zaś nie tylko skończył wewnętrznie i gruntownie z imperializmem niemieckim, nie tylko pojął znaczenie demokracji, którą podczas wojny odrzucił jako element nie-niemiecki dla odrodzenia Niemiec, ale ujrzał także związek przyczynowy dekadenckiej ideologii i mentalności z dotychczasową ewolucją niemiecką; walka o demokrację przekształca się u niego w walkę z dekadencją. Oto sprzeczna i paradoksalna kontynuacja literatury wojennej. Literatura wojenna broni wojujących Niemiec, dekadencji, sympatyzuje z chorobą i rozkładem, z nocą i śmiercią. Ale obrona Tomasza Manna docierała tak wnikliwie w kłębowisko „za" i „przeciw", że na końcu swoich kurczowych usiłowań usprawiedliwienia niemieckiej dekadencji przekonał się w rezultacie wydarzeń roku 1918 — o wyłącznej słuszności prawdy zupełnie przeciwnej.

Tym samym wysuwa się na pierwszy plan twórczości Tomasza Manna

pierwiastek pedagogiczny. Znów jesteśmy zmuszeni zapytać: czy nie kłóci się to z jego *faculté maîtresse*, z antyutopijnym charakterem jego literackiego talentu? I tak i nie. O wiele bardziej nie niż tak. Dojrzały pisarz Tomasz Mann jest bowiem wychowawcą *sui generis*. Nie tylko z powodu ironicznego stylu swojego pisarstwa i nie tylko z powodu pełnej humoru równowagi kompozycji. Powyższe właściwości są tylko wyrazem głębokiego związku wewnętrznego i decydującej treści: Mann nie jest wychowawcą który chce wszczepić uczniom najgłębiej i najuczciwiej wypracowaną naukę. Jest wychowawcą w sensie platońskiej anamnezy. Niechaj uczeń sam odkryje nowe w swej duszy i da mu realny wyraz.

Tomasz Mann, przeobrażony w wychowawcę swojego narodu, szuka obecnie obywatela w sposób wnikliwszy. Poszukiwanie jego nabrało konkretnej treści: szuka ducha demokracji w duszy niemieckiego mieszczanina, bada jego ślady, aby twórczością budzić ją i dźwignąć. Nie chce mu jej narzucić jako coś obcego, lecz pragnie, żeby ją mieszczanin w końcu sam znalazł i uznał za treść życia.

Oto w ogólnych zarysach przyczyny, dlaczego wielki pisarz był tak osamotniony w Republice Wejmarskiej. Tak jak reformy Stein-Scharnhorstów nie zostały spowodowane ruchem ludowym w Prusach, lecz bitwą pod Jeną „duszą świata na koniu", tak demokracja niemiecka po roku 1918 nie została zdobyta ani wywalczona, lecz była na pozór niemiłym darem nieprzyjaznego losu. Nowonarodzona, nie ugruntowana mocno demokracja znalazła zaciekłych wrogów, tolerujących ją oportunistów i niewielu tylko przyjaciół i zwolenników, którzy jednakże przyjmowali ją taką, jaką los zesłał, nie próbując budować mostów między nią a (co prawda poddaną rewizji) przeszłością niemiecką. Krótko mówiąc: odosobnione stanowisko Tomasza Manna w Republice Weimarskiej spowodowane było tym, że właśnie szukał podobnych mostów, że jego literackie dzieło wychowawcze stawiało na demokratyzm, wyrastający z istoty niemieckości. Dlatego jest on jedynym mieszczańskim pisarzem owego okresu, dla którego demokracja stała się zagadnieniem światopoglądu i to światopoglądu niemieckiego.

Walka o demokratyzację Niemiec mieści się w wielkiej, filozoficznej ramie jest to walka światła z ciemnością, dnia z nocą, zdrowia z chorobą, życia ze śmiercią. Tomasz Mann, związany głęboko z niemiecką przeszłością, orientuje się doskonale, że podejmuje tym samym odwieczną walkę niemieckiej ideologii a to tylko po to, aby wrócić do pozycji, którą zajął Goethe przeciwko romantyzmowi. „Mianem klasyczne określam to, co zdrowe — romantycznym nazywam to, co chore", powiada Goethe i odrzuca Kleista jako „ciało z natury piękne, ale ogarnięte nieuleczalną chorobą". Gdy w „Czarodziejskiej Górze" przedstawiciel reakcyjno-faszystowskiego, antydemokratycznego światopoglądu jezuita Naphta głosi swoją naukę, czyni to niemal słowami Novalisa: „Choroba jest bardzo ludzka — odparł Naphta natychmiast — bo być człowiekiem znaczy chorować. Niewątpliwie człowiek jest w istocie swej chory, jego cierpienie właśnie czyni go człowiekiem, a kto chciałby go uzdrowić, nakłonić

aby zawarł przymierze z naturą, „powrócił na jej łono" (oby nigdy nie był tam przebywał!) ...wszelkiego rodzaju rousseau'izm zatem dąży jedynie do zwyrodnienia i zezwierzęcenia... Z duchowości i cierpienia rodzi się godność człowieka i jego dostojeństwo, jest on krótko mówiąc tym bardziej człowiekiem, im bardziej choruje, i geniusz choroby jest bardziej ludzki niż geniusz zdrowia".

Tu oto nastąpił decydujący o światopoglądzie zwrot u Tomasza Manna. Choć jednak polityczny zwrot jego ku demokracji i przeciw specyficznie niemieckiej dekadencji wypływającej z reakcyjnego, społecznego wstecznictwa jest bardzo stanowczy, choć swój nowy światopogląd ubiera we wspaniale, subtelnie wycieniowane i głęboko przemyślane kształty, nie pojmuje jeszcze, że nowy stopień jego ewolucji pociąga za sobą objektywnie zerwanie z nauczycielami młodości, z Schopenhauerem i Nietzschem. Oczywiście dostrzega już tego rodzaju związki. Pisze z niezrównaną trafnością o Hamsunie, np.: „Mój wielki kolega, Knut Hamsun w Norwegii, człowiek już bardzo stary, jest gorliwym faszystą. Agituje na rzecz faszyzmu w swoim kraju i nie oparł się pokusie, aby znaną ofiarę niemieckiego faszyzmu, pacyfistę Ossietzkyego, publicznie wykpić i obrzucić wyzwiskami. Ale nie jest to zachowanie się starca o młodym sercu, lecz zachowanie pisarza pokolenia z lat 1870, którego głównymi literackimi bożyszczami byli Dostojewski i Nietzsche, i który utknął w odstępstwie od liberalizmu, nie rozumiejąc o co właściwie dzisiaj chodzi i nie orientując się, że haniebnie kompromituje geniusz literacki przez swoje polityczne — wolę powiedzieć: prywatne postępowanie". Ale tego rodzaju krytyczne poglądy nie powstrzymywały Manna od próby uratowania Nietzschego dla ideologii demokratycznej.

W swojej twórczości natomiast Tomasz Mann wykazuje — w odróżnieniu od niekonsekwencji w wypowiedziach teoretycznych — wielkie zdecydowanie. Wybitna powieść „Czarodziejska Góra" poświęcona jest właściwie ideologicznej walce między życiem i śmiercią, zdrowiem i chorobą, demokracją i reakcją. Z właściwą sobie genialnością w operowaniu symbolami umiejscowia Tomasz Mann te walki w szwajcarskim luksusowym sanatorium. Choroba i zdrowie, ich moralne następstwa, nie są tutaj abstrakcyjną teorią ani „symbolami", lecz wyrastają organicznie bezpośrednio z fizycznego i psychicznego życia przebywających tam ludzi. Szeroki i ciekawy obraz fizycznego życia chorych mógł tylko powierzchownemu czytelnikowi przysłonić głębsze problemy polityczne i światopoglądowe. Przy wnikliwszej lekturze widzimy wyraźnie, że właśnie owo środowisko umożliwia artystyczne i wszechstronne rozwinięcie wszystkich dialektycznych stron problemu. Ale izolacja życia sanatoryjnego ma jeszcze inne doniosłe znaczenie artystyczne: Tomasz Mann, jak większość naprawdę wybitnych epików, „zmyśla" stosunkowo mało, jeśli chodzi o poszczególne jednostki. Ma natomiast nieomylny instynkt do tworzenia takiej fabuły, takiego środowiska dla swojej problematyki, w których może się ona rozwinąć w sposób najczystszy, najbardziej lotny i zarazem konkretny, z najwyższym patosem i z najgłębszą ironią. Powstaje u niego zawsze zachwycający splot fantastycznego lub na wpół fantastycznego ujęcia całości z konkretno-

ścią. Nie będąc następcą Chamissa, E. T. A. Hoffmanna i Gottfrieda Kellera w szczegółach, technice, Tomasz Mann kontynuuje w osobliwy sposób ich linię. „Opisujemy codzienność — powiedział Tomasz Mann kiedyś — ale codzienność staje się osobliwa, gdy wyrasta z osobliwego podłoża". Takim na wpół fantastycznym otoczeniem był mały dwór książęcy w „Królewskiej wysokości" dla problemu „postawy", takim samym otoczeniem jest sanatorium w „Czarodziejskiej Górze": ludzie znajdują się „na urlopie"; są wyrwani z koła swoich trosk codziennych i walki o byt. Dlatego to, co owe troski i walki uczyniły z nich pod względem umysłowym i moralnym, może mieć tutaj wyraz swobodniejszy, szerszy, bardziej skoncentrowany na ostatecznych zagadnieniach światopoglądowych. Powstaje przy tym częstokroć tragikomicznie wykrzywiony, graniczący z fantastycznością a przy tym jednak głęboko realistyczny opis obywatela doby obecnej: szerzy się duchowa pustka i brak siły moralnej, ujawniające się niekiedy we wprost groteskowych formach. Równocześnie jednak uświadamiają sobie lepsze jednostki właśnie ten sens istnienia, nad którym „nie miały czasu" zastanowić się w kapitalistycznej codzienności, z której przybywają.

Oto warunki dla „powieści wychowawczej" przeciętnego Niemca przedwojennego — Hansa Castorpa. Główną jej treścią jest duchowy pojedynek o duszę tego przeciętnego mieszczanina niemieckiego między przedstawicielami światła i ciemności: włoskim humanistycznym demokratą Settembrinim a żydowskim wychowankiem jezuickim Naphtą, zwiastunem katolicyzującej zapowiedzi faszyzmu. Niestety w ramach niniejszych nie można nawet zaznaczyć bogactwa tych duchowych, politycznych i moralno-światopoglądowych walk. Musimy ograniczyć się do stwierdzenia, że pojedynek światopoglądów kończy się nierozegraną. Po wszystkich duchowych wysiłkach, aby osiągnąć jasność polityczną i światopoglądową, Hans Castorp grzęźnie w płaskim i bezmyślnym obmierzłym dniu powszednim czarodziejskiej góry. „Urlop", wypływający z braku materialnych trosk zawodowych i życiowych, ma właśnie swoją odwrotną stronę medalu: umożliwia on wyższy wzlot ducha a zarazem głębsze ugrzęźnięcie w instynktownej animalności, niż pozwala na to szary dzień powszedni „na dole". W rozrzedzonym powietrzu fantastycznego otoczenia nie powstają w człowieku nowe, większe siły niż w życiu powszednim, tylko rozwijają się one tutaj z nieporównanie większą wyrazistością i wnikliwością. Orbita ich wewnętrznych możliwości nie powiększa się obiektywnie, tylko widzimy je, bardzo nieartystycznie, przez szkło powiększające. Castorp „ratuje" się co prawda pod koniec przed całkowitym utonięciem w bagnie ucieczką do armii niemieckiej w sierpniu roku 1914. Ale z punktu widzenia drogi krzyżowej inteligencji niemieckiej, niemieckiego mieszczaństwa, tych wszystkich, którzy w „legalnym zasklepieniu się w sobie" nie znaleźli wyjścia, fizyczny i duchowy udział w wojnie oznaczał właśnie znowu tylko „wielki urlop", jak to swojego czasu inteligentnie określił Ernest Bloch.

Chociaż Tomasz Mann wystąpił tutaj stanowczo przeciwko antydemokratycznej ideologii, słusznie jednak w sposób sceptyczny ocenia skuteczność swej

świeżo zdobytej wiary w duszy niemieckiego mieszczanina. Oba motywy potęgują się w noweli „Mario i czarodziej". Przedtem daje Tomasz Mann w „Nieładzie i wczesnym żalu" subtelnie stonowany ironiczny obraz melancholijnego uwielbienia śmierci u pewnego typowego mieszczańskiego uczonego z czasów przedwojennych, który czuje się duchowo kompletnie osamotniony w Republice Weimarskiej, chociaż świta mu przeczucie, że postawa jego jest w gruncie rzeczy problematyczna. „Wie, że profesorowie historii nie lubią historii, która się dzieje — wolą tę, która się działa, — że nienawidzą obecnego przewrotu, ponieważ wydaje im się bezprawny, bezładny i zuchwały, jednym słowem „niehistoryczny". Sercem należą do uporządkowanej, bogobojnej i historycznej przeszłości... Przeszłość jest uwieczniona, czyli umarła, a śmierć jest źródłem wszelkiej bogobojności i wszelkiego zmysłu zachowawczego".

W późniejszej noweli spotykamy się już z aktywną, masową metodą walki faszyzmu: z sugestią i hipnozą. Zaćmienie intelektu, złamanie woli: oto filozofia walczącej reakcji, gdy z pracowni i z kawiarń literackich wypływa na ulicę, gdy na miejsce Schopenhauera i Nietzschego przychodzi Hitler i Rosenberg. Znowu odtwarza nam Tomasz Mann z genialną wyrazistością ów krok, znowu pokazuje nam w misternie wycieniowanych obrazach przeróżne formy bezradności niemieckiego obywatela wobec hipnozy faszystowskiej potęgi. Również tutaj musimy się niestety ograniczyć do jednego charakterystycznego przykładu. Pewien „pan z Rzymu" nie chce poddać się sugestii tańca czarodzieja, ale po krótkim oporze ulega mu. Tomasz Mann charakteryzuje tę klęskę z wspaniałą bystrością i prawdziwą głębią: „Jeśli dobrze zrozumiałem zajście, to ten pan uległ negatywności swej pozycji bojowej. Prawdopodobnie nie jest możliwe życie duchowe, jeśli się niczego nie pragnie. Nie chcieć zrobić jakiejś rzeczy — to na dłuższą metę nie może być treścią życia. Czegoś nie chcieć i w ogóle nie chcieć już niczego — a więc robić to co nakazane — to zagraża idei wolnościowej..." Trudno lepiej opisać bezbronność tych ludzi spośród mieszczaństwa niemieckiego, którzy nie chcieli Hitlera, ale go przeszło dziesięć lat bez szemrania słuchali. Jaka jest przyczyna ich bezbronności?

5.

Hans Castorp powiedział kiedyś o demokracie Settembrinim: „Jesteś wprawdzie latawcem i kataryniarzem, ale intencje masz dobre i wolę ciebie od surowego małego jezuity, tego hiszpańskiego pachołka tortur i chłosty o błyszczących okularach, chociaż on ma prawie zawsze rację, gdy się kłócicie... gdy się bijecie pedagogicznie o moją biedną duszę, jak Bóg i diabeł o człowieka w średnich wiekach..." Znowu wyłania się pytanie o przyczynę wyższości argumentacji Naphty. Wielka powieść daje na nie niedwuznaczną odpowiedź. Pewnego razu, kiedy Castorp choruje, rozmawia ze swoim wychowawcą demokratycznym o kapitalistycznym świecie „w dole". Castorp streszcza swoje niewesołe doświadczenia moralne w sposób następujący: „Tam trzeba być bogatym... Bo dajmy na to: nie jest się bogatym albo przestaje się nim być — wtedy biada... Nawet mnie, który przecież stamtąd pochodzę, uderzyła nieraz jaskra-

wość tego, pamiętam to, chociaż osobiście nie dawało mi się to nigdy we znaki... Jakich to pan użył słów? — flegmatyczny i? I energiczny! Dobrze, ale co to znaczy? To znaczy twardy, zimny. A co oznacza zimny i twardy? To znaczy okrutny. Tam w dole jest okrutne powietrze, nieubłagane. Gdy człowiek tak leży i patrzy na to z dala, może go przerażenie ogarnąć". Settembrini zaś widzi w tym wszystkim tylko sentymentalizmy, które należy pozostawiać „maruderom życia". On bowiem jest zwiastunem postępu *sans phrase*, bez autokrytycyzmu, bez zastrzeżeń i dlatego — chociaż daleki od jakiegokolwiek interesu osobistego — jest bezkrytycznym heroldem systemu kapitalistycznego. I właśnie dlatego nie posiada on odpowiedniego uzbrojenia duchowego przeciwko antykapitalistycznej demagogii Naphty. Oto najtrafniejsza charakterystyka głównej słabości przeciętnego demokratyzmu współczesnego wobec reakcyjno-kapitalistycznej demagogii. Równocześnie zaś wspaniale ukazuje nam Tomasz Mann niezdecydowany i lękający się czynu charakter Castorpa i czysty negatywizm daremnego oporu „pana z Rzymu". Tomasz Mann ukazuje nam również wewnętrzny mechanizm społeczny tej neo-niemieckiej mieszczańskiej psychiki w bohaterze „Czarodziejskiej Góry". Powiada o Hansie Castorpie:

„Człowiek nie żyje wyłącznie swoim życiem osobistym jako oddzielna jednostka, ale, świadomie lub nieświadomie, również życiem swojej epoki i swojego pokolenia. A gdyby nawet ogólne i nieosobiste podstawy swej egzystencji uważał za bezpośrednio dane i bezsprzeczne, i gdyby nawet był tak daleki od ich krytykowania, jak daleki był poczciwy Hans Castorp, to jest jednak zupełnie możliwe, aby poniekąd odczuwał szkodliwy wpływ ich braków na swoje zdrowie moralne. Człowiek pojedynczy może mieć swoje cele, dążenia, nadzieje i widoki, które dają mu impuls do wysiłków i wzmożonej działalności. Jeżeli jednak otaczający świat obiektywny, jeżeli czas, w którym żyje, pomimo zewnętrznego rozpędu nie wymaga w gruncie rzeczy żadnych widoków ani nadziei, jeżeli daje mu się ukradkiem poznać jako bezradny i tych widoków i nadziei zupełnie pozbawiony, jeżeli wreszcie tępym milczeniem odpowiada na świadome lub nieświadome pytanie, jaki ostateczny, ponadosobowy, absolutny sens mają mieć wszystkie wysiłki i wszelka działalność — to właśnie na ludzi uczciwszych taki stan rzeczy wywiera prawie zawsze skutek paraliżujący, mogący się rozciągnąć nie tylko na duchowo-etyczną, ale i na fizyczną, organiczną stronę jednostki. Ażeby — nie zważając na to, że epoka i otoczenie na pytanie: Po co? nie dają zadowalającej odpowiedzi — mieć chęć do spełnienia dzieła wielkiego, wykraczającego ponad normę codziennych nakazów, trzeba albo mieć swoją własną odrębną etykę i być skłonnym do bodźców bezpośrednich, co zdarza się rzadko i wymaga przy tym pewnego rodzaju bohaterskiego podłoża, albo być obdarzonym potężną żywotnością. Ani jedno ani drugie nie było udziałem Hansa Castorpa; tak więc był on zapewne jednak przeciętny, choć w dość dodatnim i nie przynoszącym mu ujmy znaczeniu" [1].

[1] Przekład Józefa Kramsztyka z „Czarodziejskiej góry".

W powieści (rozważania Manna znajdują się na samym początku i odnoszą się do przeszłości studenta, który właśnie został inżynierem) przeciętność wypływająca z braku godnych celów może być — co prawda nie bez lekkiej ironii — „wcale godna szacunku". Ale jeżeli typ Castorpa staje przed zagadnieniami zasadniczymi swojego narodu, musi się wraz z jakościowo zmienioną sytuacją zmienić również ocena: przeciętność godna szacunku, fakt, że Castorp popada w bezczynność, niezdolny do jakiejkolwiek decyzji, że sympatyzuje z Settembrinim, ale nie obroni się ideologicznie przed demagogią Naphty — staje się historyczną przewiną. „Pan z Rzymu" ma szczery zamiar „wywalczyć honor rodu ludzkiego", ulega jednak po krótkiej obronie i tańczy potem w kole obezwładnionych faszystowską hipnozą bachantów. Dziki ten taniec stał się nieomal tańcem śmierci dla całej cywilizacji.

Gdyby zatem Tomasz Mann w profesorze Corneliusie, w Hansie Castorpie, w „Panu z Rzymu" znalazł rzeczywiście niemieckiego obywatela, albo raczej gdyby uspokoił się w swoim poszukiwaniu dzięki temu, że dał w nich mistrzowski portret owego niemieckiego obywatela, który ścierpiał hitleryzm, który nawet „jako żołnierz grzecznie" uczestniczył w pozbawionych sumienia wojnach zaborczych i w zabójczych dla kultury wyprawach rabunkowych, to końcowym akordem jego twórczości byłby najgłębszy pesymizm, jakim kiedykolwiek tchnęła twórczość niemieckiego pisarza.

Dlatego nie jest dziełem przypadku, że w straszliwych latach panowania hitleryzmu i faszystowskiego zwyrodnienia narodu niemieckiego Tomasz Mann napisał swoje jedyne wielkie dzieło o charakterze historycznym: „Lotte in Weimar". W olbrzymiej postaci Goethego, Gulliwera wśród weimarskich Liliputów, w jego nieustannie zagrożonej, ale nieustannie samoocalającej się doskonałości intelektualnej, artystycznej i moralnej dał Tomasz Mann najwyższe wcielenie, jakie kiedykolwiek osiągnęły postępowe siły niemieckiego mieszczaństwa. Niemieccy pisarze i uczeni przez dziesiątki lat fałszywie robili z Goethego rzecznika modnego obskurantyzmu. Dopiero Tomasz Mann oczyścił jego oblicze z reakcyjnego błota; w czasie kiedy niemieckie mieszczaństwo upadło najniżej i brnęło w krwawym bagnie pijanego barbarzyństwa, powstaje tu obraz jego najwyższych możliwości, jego do głębi problematycznego, ale do głębi prawdziwego i postępowego humanizmu.

To potężne arcydzieło wywołuje w nas najwyższe wzruszenie, szacunek i miłość. Jest ono rehabilitacją w czasie najokropniejszego samoponiżenia się Niemiec. Ale powieść o Goethem Tomasza Manna jest czymś więcej niż monumentalnym pocieszeniem dla narodu, który w nihilistycznym szale rzucił się w przepaść faszyzmu. Powieść ta sięga w przeszłość, aby ukazać jasną przyszłość. Literackie ukazanie najwyższej doskonałości, jaką zdobyło dotychczas mieszczaństwo niemieckie, jest równocześnie wezwaniem do obudzenia jego zasypanych, zmylonych, zdziczałych możliwości, wezwaniem, w którym jest patos odwiecznej wiary, że to, co było kiedyś możliwe, będzie znowu możliwe w przyszłości.

Tego rodzaju interpretacja nie imputuje niczego niewłaściwego powieści

Tomasza Manna. Na zakończenie swojego wybitnego essayu „Goethe jako reprezentant epoki mieszczaństwa" powiada Tomasz Mann:

„Mieszczanin będzie zgubiony i straci kontakt z nadchodzącym światem, jeśli nie zdobędzie się na zerwanie z zabójczymi wygodami i ideologiami negatywnymi, które nim jeszcze rządzą, i na śmiałe wyznanie przyszłości. Nowy, uspołeczniony świat, zorganizowany świat jedności i planu — w którym ludzkość nie będzie musiała poddawać się niepotrzebnym, niegodnym człowieka cierpieniom, sprzecznym z rozsądkiem — ten świat nadejdzie i będzie on dziełem wielkiej trzeźwości, którą wyznają dzisiaj już wszystkie wchodzące w rachubę umysły, przeciwne spleśniałej i małomieszczańskiej mentalności. Świat ten nadejdzie, bo zewnętrzny i racjonalny ład, odpowiadający osiągniętemu stopniowi rozwoju ducha ludzkiego, musi być stworzony lub w najgorszym razie wprowadzony drogą gwałtownych przemian, aby pierwiastek duchowy odzyskał nareszcie prawo do życia i ludzkie czyste sumienie. Wielcy synowie mieszczaństwa, którzy wyrośli z niego w sferę duchową i ponadmieszczańską, świadczą o tym, że w mieszczaństwie tkwią nieograniczone możliwości wyzwolenia i przezwyciężenia samego siebie. Epoka wzywa mieszczaństwo do tego, żeby przypomniało sobie te swoje wrodzone możliwości i zdecydowało się na nie duchowo i moralnie. Prawo do władzy zależy od dziejowego zadania, którego nosicielem słusznie się czuje człowiek. Jeżeli się go zaprze lub mu nie sprosta, musi ustąpić i abdykować, ustępując miejsca typowi człowieka wolnego od skrępowań i zbytecznych więzów uczuciowych, które, jak niekiedy należy się obawiać, czynią europejskie mieszczaństwo niezdolnym do wprowadzenia państwa i gospodarki w nowy świat".

Artystyczne wskrzeszenie wielkiej postaci Goethego wskazuje zatem niemieckiemu mieszczaństwu nową drogę do przyszłości: Tomasz Mann i dziś jeszcze poszukuje niemieckiego mieszczanina posiadającego wolę i zdolność do śmiałego wkroczenia na tę drogę.

Ale Goethe jest z jednej strony zbyt odległym, przepaściami zbyt wielu przełomów odciętym od nas duchowym mikrokosmosem, a z drugiej strony (zwłaszcza w głębokiej i trafnej konkretyzacji Tomasza Manna) wzorem zbyt odległej od nas przyszłości, ażeby móc dzisiaj wskazać Castorpom i Corneliusom niezbędne, najbliższe kroki, które mogłyby wyprowadzić niemieckiego obywatela z przepaści jego dobrowolnego poniżenia, jego uzasadnionej udręki sumienia i samozawinionej rozpaczy. W twórczości wielkiego mistrza pojęcia brak jednego niezmiernie ważnego pojęcia. Brak go, ponieważ nie ma go również w życiu niemieckiego mieszczanina, ponieważ bezkompromisowa artystyczna prawdomówność Tomasza Manna nie pozwoliła mu nigdy na przedstawienie czegoś, czego nie ma w niemieckiej rzeczywistości mieszczańskiej.

Na ogół tak bogaty język niemiecki nie posiada — rzecz znamienna — nawet słowa na to, o czym chcemy teraz powiedzieć. Francuzi w odróżnieniu od *bourgeois* mówią o *citoyen,* Rosjanie o *grażdaninie*. Brak słowa, ponieważ historia niemiecka nie wyprodukowała do tej pory samej rzeczy. Nawet w pięknym essayu Tomasza Manna o Platonie walczący obywatel pojawia

się tylko epizodycznie na marginesie, a przy przeprowadzeniu paraleli między Goethem a Schillerem mówi Tomasz Mann, że Schiller „podkreśla francuskość swojej natury". Jest to znowu dowód bezkompromisowej prawdomówności Tomasza Manna, jego głębokiego związku z duszą niemieckiego narodu, że mówi tak o Schillerze, o tym samym Schillerze, którego heroicznej, ofiarnej walki o sztukę nie opisał nikt z tak głębokim współczuciem, tak subtelnie i plastycznie, jak właśnie Tomasz Mann w noweli „Schwere Stunde". Jeżeli zatem jest tutaj luka — i to luka zgubna dla niemieckiej przeszłości i z pewnością fatalna dla niemieckiej przyszłości — to ostateczna jej przyczyna leży nie w granicach indywidualności Tomasza Manna, lecz w świecie, który mu wypadło odzwierciedlić.

Twierdzenie, że Tomasz Mann nie dostrzega tego problemu, byłoby największą niesprawiedliwością! Trzeba nawet dodać: jeżeli owo niestrudzone i daremne poszukiwanie było patosem całego jego twórczego życia, jeżeli w tym poszukiwaniu wyraziło się faustowskie niezadowolenie z wszystkich osiągniętych wyników, to przyczyną jest właśnie owo — wprawdzie długo nieświadome — szukanie niemieckiego obywatela, szukanie niemieckiego słowa, pojęcia i istoty obywatelskości.

Settembrini jest bezsilny wobec społecznej demagogii Naphty, ponieważ jest tylko epigonem prawdziwego obywatela. Robespierre, Saint Just, Büchner i Heine nigdy nie łączyli prawdziwie wolnej mieszczańskiej demokracji z obroną kapitalistycznej elity i jej egoistycznych, często reakcyjnych i antynarodowych interesów. Tak samo Tomasz Mann. Twórczość jego zaczyna się przecież negatywną oceną charakteru Hagenströma i przeradza się w niezadowolenie Castorpa z okrucieństwa i nieludzkości życia w systemie kapitalistycznym. Jako twórca i jako krytyk kultury Tomasz Mann przejrzał całkowicie duchowe i polityczne granice swojego Settembriniego.

Tomasz Mann, jak widzieliśmy, idzie nawet dalej, aż do uznania socjalizmu jako przyszłego zadania poszukiwanego obywatela. Jeżeli zatem nie może faszystowskiej reakcji przeciwstawić patosu obywatelskiego, błąd leży nie w nim, tylko w rozwoju niemieckiego mieszczanina od roku 1848. Z tej przyczyny szukał Tomasz Mann od chwili swego nawrotu do demokracji zbliżenia z robotnikami. I to nie tylko jako przejściowej koalicji parlamentarnej, lecz jako przymierza dla odrodzenia niemieckiego życia i niemieckiej kultury. Pisze on: „Co byłoby konieczne i co mogłoby wreszcie być niemieckie — to przymierze i pakt konserwatywnej idei kulturalnej z rewolucyjnymi hasłami społecznymi, pakt między Grecją a Moskwą, aby się wyrazić jasno. Już raz próbowałem wysunąć to twierdzenie. Powiedziałem: dobrze będzie w Niemczech dopiero wtedy i Niemcy dopiero wtedy odnajdą same siebie, kiedy Karol Marx przeczyta Fryderyka Hölderlina — oto spotkanie, które zresztą jest bliskie urzeczywistnienia. Zapomniałem dodać, że jednostronne poznanie nie wyda owoców".

W istocie wielki program kulturalny dla niemieckiego obywatela! Sądzimy bowiem, że nazwisko Hölderlina reprezentuje tutaj literaturę niemiecką nie

przypadkowo: nie zajmuje on stanowiska, jakie mógłby zająć ktokolwiek inny z pisarzy, np. Mörike, chociaż Tomasz Mann na początku tej koncepcji stawia w jednym rzędzie Hölderlina, Grecję i konserwatywną ideę kultury, zapominając, że grecki mieszczanin był prawzorem obywatela, a Hölderlin największym niemieckim poetą-obywatelem i że obaj dalecy byli od niemieckiej „konserwatywnej idei kultury". W tym zestawieniu nazwisk niewielkie też znaczenie przypada filologicznemu pytaniu, czy Marx naprawdę czytał Hölderlina (o ile mi wiadomo, to tak); chodzi tylko o to, w jakim stopniu były i będą żywe w ruchu robotniczym heroiczne, chociaż skąpe i przez późniejsze reakcyjne fałszerstwa przyciemnione, prawdziwie demokratyczne tradycje Niemiec, jak żyły ongiś w Karolu Marksie i Fryderyku Engelsie. Wspólnym piętnem niemieckiego upadku mieszczaństwa i sfer robotniczych jest fakt, że Marx i Engels nie zostali narodową własnością kulturalną Niemiec, tak jak w Rosji Lenin i Stalin stali się narodowymi postaciami również ze stanowiska kultury. Dalszy rozwój przyszłości i odrodzenie Niemiec zależy w ogromnej mierze od tego, jak uda się niemieckim robotnikom i obywatelom zmobilizować dla przyszłego życia narodowego istniejące w ich dziejach wolnościowe i postępowe rezerwy, w jakim stopniu w miejsce linii przewodniej (uznawanej dawniej także przez Tomasza Manna): Goethe — Schopenhauer — Wagner — Nietzsche, której ostatnie trzy ogniwa słusznie zaanektował faszyzm, zajmie linia: Lessing — Goethe — Hölderlin — Büchner — Heine — Marx. Portret Goethego pióra Tomasza Manna jest wiele zapowiadającym początkiem takiego przewrotu.

I nie jest to dziełem przypadku. Niestety nie mogliśmy tutaj za wiele rozprawiać o artystycznej stronie twórczości Tomasza Manna. Z góry przyjęliśmy jego klasę pisarską jako rzecz nie podlegającą dyskusji i podkreśliliśmy tylko poszczególne, chociaż doniosłe momenty, aby naświetlić decydujące etapy niemieckiej drogi dziejowej. Wskażemy jeszcze jeden szczegół. Nawet z naszych skąpych napomknień wyłoniło się bliskie pokrewieństwo Tomasza Manna z najlepszą przeszłością literatury niemieckiej. Ale rola Tomasza Manna wykracza poza nią również w czysto literackim sensie. Jego to pośrednictwu zawdzięczamy w pierwszym rzędzie, że literatura rosyjska została wcielona do niemieckiej kultury, podobnie jak zawdzięczamy w pierwszym rzędzie Goethemu posiadanie Szekspira wśród naszych autorów. W obu wypadkach przyswojenie sięga poza granice czysto literackie. W sławnej rozmowie o literaturze i życiu w noweli „Tonio Kröger" porusza Tomasz Mann ów motyw: wskazuje na to, że w „świętej literaturze" Rosji nie istnieją konflikty między sztuką a życiem, jakie wypełniają twórczość młodzieńczą Tomasza Manna. Dlaczego? Odpowiedź prosta: ponieważ rosyjska literatura była rzeczywiście sumieniem narodu rosyjskiego, głosem rosyjskiego ducha obywatelskiego, od powstania dekabrystów po rewolucję październikową i po czasy dzisiejsze, ponieważ historia wielkiego realizmu rosyjskiego od Puszkina do Gorkiego rozgrywa się w głębokiej — wprawdzie skomplikowanej i nie zawsze prostolinijnej — łączności z ruchami wolnościowymi narodu rosyjskiego. Dla niemieckiego rozwoju ideologicznego jest to fakt pouczający, choć zawstydzający zarazem, że filozofia kla-

yczna gubi się gdzieś w mieszczańskiej ojczyźnie i kończy się wreszcie w ideo-ogii reakcyjnej, a Hegel i Feuerbach w Rosji i tylko w Rosji znajdują postę-powych kontynuatorów i krytyków

Tomasz Mann mógł kontynuować stare, najlepsze tradycje literatury niemiec-kiej. Twórczość jego nie stykała się nigdy z dekadenckim rozkładem, deklama-orską retoryką, z czysto dekoracyjną wirtuozerią opisu, pseudonaukową ency-klopedycznością w miejsce epickiej syntetyczności itp. — Mann zawdzięcza to między innymi okoliczności, że swoim estetyczno-etycznym horyzontem obej-mował w tej samej mierze Goethego i Tołstoja i że jako pisarz i realista nie był nigdy nowoczesny w sensie dekadenckim.

Poczynając od światopoglądu a kończąc na czysto literackim ukształtowa-niu, twórczość Tomasza Manna jest na wskróś postępowa. To, czego już dokonał czego — jak ufamy — jeszcze dokona, odegra nieocenioną rolę w odrodzeniu ducha niemieckiego. Dzisiaj jeszcze poszukuje obywatela. Bo jeszcze nie ma nie będzie obywatela niemieckiego, póki nie odnajdzie on w swojej duszy obywatelskości. W tym poszukiwaniu Tomaszowi Mannowi przypada decydująca rola. Każdy z jego wielbicieli jest głęboko przekonany, że faustow-ski pierwiastek jego poszukiwań nigdy się nie wyczerpie i że zawsze odpowie szatanowi reakcji wraz z Faustem:

Jeżeli ukojony, leniwie na łoże,
pochlebstwami skuszony, do snu się ułożę,
jeżeli mnie pociągnie w swe sidła użycie,
jeśli mnie podejść zdołasz klamliwie i skrycie —
twój będę na wieczystą radość lub udrękę! [1]

Przełożyła *Edyta Gałuszkowa-Sicińska*

[1] Przekład Emila Zegadłowicza.

CZESŁAW ZGORZELSKI

MICKIEWICZ W ROSJI

I

Prof. W. Czernobajew zamyka swą rozprawkę o wpływie twórczości Mickiewicza na literaturę rosyjską w latach 1820—1830 [*Pamiętnik Literacki*, XXXI, z. 3—4) takim oto zdaniem: „W ówczesnych warunkach rosyjskiej rzeczywistości literackiej nie było nikogo, kto w twórczości swej Mickiewiczowi mógłby dorównać, co większa, nie było nawet nikogo, kto w zupełności potrafiłby zrozumieć wszystkie podstawowe motywy jego poezji".

Sąd ten, niewątpliwie przesadny, jeśli chodzi o zestawienie z ówczesnym poziomem literatury rosyjskiej (w owym okresie pisał wszakże i rozwijał się Puszkin!), trafnie ujmuje to wyjątkowe stanowisko, jakie tak z nagła i nieoczekiwanie zdobył sobie Mickiewicz w społeczeństwie literackim ówczesnej Rosji. Co więcej: nie była to wcale pozycja czasowa tylko, zależna od osobistych stosunków i przyjaźni poety. Mickiewicz wszedł do literatury rosyjskiej na stałe i już wtedy zajął w niej miejsce jednego z czołowych pisarzy świata; od razu, bez protestów, z którymi stykał się jeszcze na gruncie rodzinnym, trafił do grona uznanych powszechnie klasyków, jako autor dzieł tłumaczonych, naśladowanych i czytywanych z jednakową dozą zachwytów w okresie pobytu jego w Rosji, jak i w sto lat później, w gruntownie zmienionych warunkach Rosji sowieckiej.

Przede wszystkim świadczą o tym zgodnie wypowiedzi pisarzy rosyjskich, przedstawicieli różnych epok, obozów i kierunków literackich, zawsze z taką samą atencją wyznaczających utworom Mickiewicza wysokie tytuły do chwały poetyckiej i przodującego stanowiska w literaturze świata. Wykazują one dowodnie, jak szybko rozszerzała się jego sława. Jeszcze w roku 1827 P. A. Wiaziemski, znany poeta i przyjaciel Mickiewicza, uważał za konieczne przedstawiać go publiczności rosyjskiej. „Mickiewicz — pisał w artykule przy przekładzie „Sonetów krymskich" — należy do małej ilości wybranych, którym przeznaczone jest szczęśliwe prawo reprezentowania literackiej sławy swych narodów". Ale już w parę lat później, w roku 1829, inny tłumacz Mickiewicza, W. I. Lubicz-Romanowicz, rozpoczął znów zbiorek przekładów pytaniem reto-

ycznym: „Komuż z wykształconych Rosjan nieznane jest imię pierwszego ze vspółczesnych poetów Polski i któż nie słyszał o dziełach jego twórczego, samodzielnego geniusza?" Od razu też wróżono mu świetną przyszłość. „Powinien ostać wielkim poetą" — wyrokuje o zdolnościach Mickiewicza Żukowski, Polewoj, żegnając poetę opuszczającego Rosję, oświadcza: „Będziemy z daeka oczekiwać nowych pieśni i mamy nadzieję, że usłyszymy o jego nowych vielkich dziełach. Kto wie, gdzie się zatrzyma poezja Mickiewicza, której siły łodaje jego niezwykła znajomość wszystkich literatur i nadzwyczaj światły umysł". (*Mosk. Tielegraf*, 1829, nr 6, str. 200—201, cytowane w *Twórczości*, 947, 3, str. 11).

Wcześnie też wyznaczono mu szeroki zasięg sławy. Z wielkiego poety ówczenej Polski, jakim jawi się jeszcze w artykule Wiaziemskiego, wyrasta niebavem na jednego z czołowych reprezentantów literatury światowej. Niemało przykładów notuje W. Czernobajew w cytowanej rozprawce[1]. Uznanie to najlobitniej może wyraża Iwan Kiriejewski, gdy w artykule „O literaturze rosyjkiej za r. 1829" wymienia Mickiewicza wraz z Goethem, Schillerem, Szekspiem, Byronem i Moorem jako sześciu poetów szczególnie ulubionych przez pisarzy rosyjskich owego okresu (*Połnoje sobr. soczin.*, Moskwa 1911, II, 35).

I nie dziw przeto, że jeden z nich, Baratynskij, zwracając się w pięknym vierszu do Mickiewicza, nazywa go bogiem, który nie ma powodów do uniania się przed Byronem, sam bowiem jest mu równy. A nie są to bynajmniej bjawy upodobań poszczególnych poetów lub skłonności któregoś z ówczenych ugrupowań literackich. „W uznaniu dla Mickiewicza — pisze Czernobajew (str. 314) — jednoczyli się przedstawiciele najróżniejszych kierunków iterackich. Czasopisma zwalczające się nawzajem godziły się ze sobą, gdy wyadało drukować przekłady „Farysa", czy „Sonetów". Nie tylko Pogodin, Pewoj i Bułharyn umieszczali przekłady dzieł poety polskiego w swych wydawnictwach, lecz drukował je również Kaczenowskij w *Wiestniku Jewropy*, a więc v piśmie o żywych tradycjach klasycystycznych, podobnie jak konserwatywne *Gałateja* lub *Siewiernaja Minerwa*".

Czcią i sympatią obdarzał go nie tylko rewolucjonista Hercen, ale i słowiaofil Chomiakow, który w r. 1843, w okresie, gdy w Rosji wzbronione było nawet samo imię Mickiewicza, nie zawahał się przecie na uroczystym bankiie w Moskwie wnieść toast „za nieobecnego wielkiego poetę Słowian" (według elacji Hercena, por. wstęp M. Żywowa do „Wyboru poezyj" Mickiewicza, vyd. w r. 1946, Moskwa — Gos. Izd. Chudożestw. Litier., str. 33).

A nie było to uznanie jednego tylko pokolenia, ani jednej epoki. Sława Mickiewicza jako poety wciąż żywego przetrwała setkę lat — niemal bez uszczerbku. Od Gogola, który „Pana Tadeusza" określał jako „najbardziej zdumiewającą rzecz" — poprzez Leskowa, który nawet jedno ze swych opowiadań nazywa po polsku, pierwszymi słowami „Rozmowy" Mickiewicza: „Kochanko

[1] Por. głos anonimowego recenzenta z *Gałatei* w r. 1830, słowa *Gwiazdy Północnej* z r. 1828, ąd tłumacza „Farysa" w *Synie Otieczestwa* z r. 1829 i in.

moja! Na co nam rozmowa?"[1] aż do Briusowa, Bunina i Balmonta, których przekłady z wierszy Mickiewicza świadczą wymownie, jak bliskie im były jego poezje.

Na dowód — jeszcze kilka najbardziej znamiennych wypowiedzi z drugiej połowy w. XIX.

Oto urywek ze studenckich wspomnień poety Połońskiego: „Pamiętam, jak wstrząsające wrażenie wywołały we mnie owe liryczne wiersze w „Dziadach" Mickiewicza, w których mowa jest o znikomości życia doczesnego wobec przeszłości — bez początku, a przyszłości — bez końca i o tym, jak krótki jest wiek naszego żywota w porównaniu z wiecznością..." (cyt. ze wstępu M. Żiwowa, l. c., str. 37).

Drugi przykład — to wypowiedź jednego z czołowych krytyków owego czasu, A. Grigorjewa, który omawiając najbardziej wzruszające go poezje Puszkina podkreśla, że „podobne wiersze o takiejże sile heroicznego uczucia, o takim głębokim, poetycznym i ludzkim smutku, o takiejże namiętności i przystępności dla ogółu znaleźć można jedynie u Mickiewicza", a w liście do Majkowa — stawiając jako wzór „Homerową, Dantejską i Szekspirowską sztukę nowego świata" — pisze: „Zadatki jej — to Rafaelowskie kontury bez barw; Puszkin i Mickiewicz — woda i ogień, morze i góry nowego świata. Wszystek ogień hebrajskich proroków znajdziemy u piewcy Wallenroda, a wszystko, co jest szerokie, bezgraniczne, a jednocześnie kobiece, pieszczotliwe, występuje w naturze Puszkina" (tamże, str. 36).

To samo uznanie jeszcze silniej zadźwięczy w słowach Wł. Sołowjewa, który przemawiając w rocznicę urodzin poety tak oto ujął istotę twórczości Mickiewicza: „Wielkość jego tkwi w tym, że wznosząc się na nowe stopnie moralnych wyżyn, niósł ze sobą na te wyżyny nie dumną i próżną negację, ale miłość ku temu, nad czym się wznosił" (tamże, str. 37).

II

Jako miara znaczenia Mickiewicza w literaturze rosyjskiej służyć może przegląd niezwykle długiej listy jego dzieł, tłumaczonych przez Rosjan. A w pracy tej biorą udział nie tylko pióra drugorzędne, nie tylko pisarze, których twórczość ogranicza się wyłącznie niemal do przekładów — jak to bywa najczęściej. Wśród tłumaczy Mickiewicza figurują niemal wszyscy najwybitniejsi poeci rosyjscy XIX i XX w.: Rylejew, Wiaziemski, Puszkin, Lermontow, Fet, Bieniediktow, Kozłow, Mej, Szewyriew, Ogariew, Bunin, Briusow, Balmont, Antokolski, Asiejew... — oto bynajmniej niekompletna lista, jaką niewielu chyba poetów świata mogłoby się pochlubić. Nawet stary Dmitrjew, przedstawiciel

[1] Stosunek Leskowa do poezji polskiej był w ogóle bardzo żywy i bliski (por. opinie jego o Syrokomli, Korzeniowskim, Kraszewskim...). Wiadomość o wierszu Leskowa zawdzięczam uprzejmości prof. K. W. Zawodzińskiego.

erunku, który schodził już wówczas do grobu, chwycił za pióro, by u schył-
ı życia, po wielu latach milczenia, raz jeszcze spróbować sił na przekładzie
dnego z sonetów nowego poety.

Wiele utworów Mickiewicza doczekało się kilku, a niektóre nawet kilku-
ıstu przekładów. „Grażyna" posiada np. cztery pełne przekłady (Lubicz-
omanowicza, Bieniediktowa, Alabina i Kowalewskiego). „Pan Tadeusz" —
ęć (w tym dwa pełne — Bieniediktowa i Berga — i trzy we fragmen-
ch — Meja, Palmina i Mara), a „Farys" — osiem wierszowanych i jeden
rozą (Szczastnego, Sijanowa, Danilewskiego, Manasieina, anonimowy — mo-
e Bułharyna, Ikonnikowa, Sokołowa, Siemionowa i Słuckiego).

Wyjątkową popularnością cieszyły się „Sonety krymskie" i „Konrad Wallen-
od". Odczytywano i przepisywano je sobie wzajem, zaledwie ukazały się
druku. Ksen. Polewoj tak oto opowiada o sukcesach „Konrada Wallenroda",
nim jeszcze przetłumaczono go wierszem: „Liczny krąg rosyjskich wielbi-
eli poety znał ten poemat, nie znając polskiego języka, to jest znał jego treść,
głębiał szczegóły jego i piękność. Jest to chyba jedyny przykład tego rodzaju!
Vynikało to z powszechnego zainteresowania petersburskiej i moskiewskiej pu-
liczności sławnym polskim poetą... Zwracano się do znajomych Polaków i czy-
no wraz z nimi nowy poemat Mickiewicza w dosłownym tłumaczeniu..." (cyt.
e wstępu M. Żywowa, l. c., str. 20).

Nawet Żukowski, gdy mu poeta sam przeczytał utwór „w marnym tłuma-
eniu francuskim prozą", wyznał jednej ze swych korespondentek: „Gdybym
raz pisał, czy miał czas w ogóle na pisanie, natychmiast bym się wziął do
umaczenia owego poematu" (J. Tyc, „Puszkinowskie przekłady z Mickiewi-
za", „Puszkin 1837—1937", Kraków 1939, II, s. 16). Toteż ilość poetów, którzy
zęściowo lub w całości dokonali przekładu tego utworu, przekracza półtora
ziesiątka pisarzy z różnych okresów literatury rosyjskiej. Około 20 poetów
umaczyło także „Sonety krymskie", wśród nich tacy, jak Lermontow („Wi-
ok gór ze stepów Kozłowa"), Fet (jeden sonet), Bunin (trzy sonety), Majkow,
ieniediktow, Kozłow, lub wspomniany już Dmitrjew.

W dziejach recepcji Mickiewicza w Rosji można by wyróżnić kilka etapów.
ierwszy, najbardziej ożywiony — to okres pobytu poety w Rosji. Wówczas to
ażdy nowy utwór Mickiewicza wywoływał w społeczeństwie rosyjskim sze-
okie echo, a przekłady dokonywane były nieraz nawet przed ukazaniem się
ierwodruków, jak to miało miejsce z tłumaczeniem „Farysa" przez W. Szcza-
nego, który przekładał jakoby bezpośrednio z rękopisu autora.

Rozwojowi popularności poety nie przeszkodziły nawet nastroje wywołane
ybuchem powstania listopadowego. W tym właśnie czasie, w r. 1831, ukazuje
ę przecie pełny przekład „Konrada Wallenroda", dokonany przez A. Szpi-
ockiego („Konrad Wallenrod", Moskwa 1832, por. Czernobajew, l. c. s. 310).
Dopiero represje cenzury już po stłumieniu powstania wygnały na kilkadzie-
ąt lat imię Mickiewicza z kart drukowanych w Rosji. Ale utworów jego
one nawet nie zdołały usunąć z literatury rosyjskiej. Przekłady pojawiały się

nadal, nie tylko w rękopisach. Drukowano je z ogólnikową adnotacją jako „przekład z polskiego", bądź też zaznaczano tylko pierwszą literę nazwiska[1]

Tym żywiej zareagowano na usunięcie zakazu drukowania Mickiewicza w drugiej połowie XIX w. Odtąd rozpoczyna się nowy etap recepcji jego poezji w Rosji. Pierwszym objawem tej wzbierającej fali był zbiór przekładów N. Berga z całkowitym tłumaczeniem „Pana Tadeusza" w r. 1865. Ale szczytowy punkt tego okresu wypadnie wyznaczyć dopiero na lata 1880—1885

W tym to czasie, w r. 1882, staraniem M. Wolffa, wydawcy polskiego w Petersburgu, wychodzi na świat pierwsze pełne wydanie pism Mickiewicza w języku rosyjskim. Stało się ono możliwe nie tylko wskutek zebrania przez wydawcę obfitego materiału porozrzucanego dotąd po czasopismach i w zbiorkach poezyj, ale także dzięki niestrudzonej pracy wyjątkowego wielbiciela Mickiewicza i najbardziej zasłużonego tłumacza jego poezyj, N. N. Siemionowa

Postać to prawie nieznana czytelnikowi polskiemu. Z zawodu prawnik, jedynie wskutek przypadku zetknął się z twórczością ulubionego później poety Biograf jego, S. Librowicz, opowiada, że kult Mickiewicza przejął od więźnia Polaka, z którym zetknął się pełniąc prokuratorskie obowiązki w Wilnie krótko przed wybuchem powstania styczniowego. W pracach swych — jako tłumacz — dbał o dokładność w oddaniu nie tylko słów i myśli, ale także — rytmiki i melodii wiersza.

Zarówno poetyckie zamiłowania prokuratora, jak i owoce ich w postaci przekładów z Mickiewicza, dłuższy czas nie były znane szerszemu ogółowi Dopiero od roku 1869 począł Siemionow publikować fragmenty swej pracy Wiele jego tłumaczeń weszło w skład poezji wydanych przez Wolffa, a w roku 1885 ogłosił książkę pt. *Iz Mickiewicza*, w której zamieścił wszystkie swe przekłady, sklasyfikowane przez się jako zadowalające. W rok później przyznano mu za tę książkę Puszkinowską nagrodę Akademii Nauk.

Praca Siemionowa nie zamknęła bynajmniej dążeń do rozpowszechnienia utworów Mickiewicza w Rosji. Kult jego poezji trwa dalej i mimo paroletniej przerwy wskutek trudności wojennych przynosi coraz to nowe owoce. Jakąż wymowę ma np. fakt, że na granicy starej i nowej Rosji, w r. 1918, pojawia się w Moskwie drugie wydanie przekładu „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego". Pierwsze wydanie zostało rozkupione przed upływem 8 miesięcy, drugie zaś ukazało się już w dniach przełomu i wydawca podkreśla w przedmowie wyjątkowe znaczenie, jakie mądre słowa owych „Ksiąg" mogą mieć w takiej chwili dla narodu rosyjskiego.

W Rosji sowieckiej kult Mickiewicza nie słabnie. Świadczą o tym „masowe" popularne wydania wyboru pism poety dla młodzieży i dorosłych, ale najdonioślejszym przejawem jego jest zbiór przekładów, wydany ostatnio przez Państw. Wydawnictwo Literatury Pięknej w Moskwie (Adam Mickiewicz

[1] Jeszcze w r. 1857 Mej wydaje poezje zaznaczając przekłady z Mickiewicza za pomocą dopisku: „s polskago" („Stichotworienija", Sanktpietierburg 1857). Por. także decyzję cenzury w stosunku do czwartego wydania poezyj Kozłowa w r. 1853. Mówi o tym M. Żywow, l. c. str. 27.

zbrannoje. Lirika, bałłady, poemy. Pieriewod z polskogo pod red. M. F. Rylkogo i B. A. Turganowa, G. I. CH. L., Moskwa 1946, str. 603).

Znaczenie tego tomu da się porównać z wydaniem Wolffa i książką przekładów Siemienowa. Podobnie jak tamte stanowi podsumowanie wieloletniej pracy i przynosi około 40 nowych przekładów (pióra Antokolskiego, Asiejewa, Błagininej, Winogradowa, Gatowa, Gołodnego, Żywowa, Zwiagincewoj, Ziencewicza, Karabana, Kowalenskiego, Lewika, Mara, Runiera, Turganowa, Uszakowa i Cwielewa). Wśród nich — pełne tłumaczenie „Grażyny" (A. Kowalenskiego) i „Konrada Wallenroda" (N. Asiejewa) oraz skrócony przekład „Pana Tadeusza" (S. Mara).

Po raz pierwszy wydrukowano w języku rosyjskim Improwizację Konrada, a w dawnych przekładach uzupełniono ustępy, wykreślone ongiś przez cenzurę. Pominięto natomiast całkowicie liryki rzymskie i większą część utworów patriotycznych wraz z „Redutą Ordona" i wierszem „Do Matki Polki", wskutek czego czytelnik na podstawie dokonanego w ten sposób wyboru nie będzie mógł wytworzyć sobie pełnego obrazu wszystkich, najbardziej istotnych elementów twórczości Mickiewicza. Książkę opatrzono w objaśnienia (N. Grekowa) wraz z chronologicznym zestawieniem dat z życia poety (A. Winogradowa) i poprzedzono wstępnymi uwagami M. Rylskiego oraz interesującym studium M. Żywowa pt. *Poezija Mickiewicza w pieriewodach i otklikach russkich pisatielej*. Znaczna część informacyj i cytatów niniejszego artykułu zaczerpnięta została z tego obszernego, choć wcale jeszcze niekompletnego przeglądu recepcji Mickiewicza w literaturze rosyjskiej i stosunku doń poszczególnych pisarzy.

III

O znaczeniu Mickiewicza w literaturze rosyjskiej świadczą jednak nie tylko przekłady i nie tylko oceny jego twórczości, wypowiadane przez pisarzy ówczesnych i późniejszych, ale także wpływ, jaki wywarły na ukształtowaniu się niektórych utworów Puszkina, Lermontowa i innych. Szczególnie znamienne są tu odgłosy twórczości Mickiewicza w postaci dyskretnej polemiki poetyckiej, przeprowadzanej przez Puszkina z „Konradem Wallenrodem" w „Połtawie"[1], z Ustępem III części Dziadów — w „Jeźdźcu miedzianym"[2].

Utwory te — podobnie jak i zagadnienie wpływu Mickiewicza na Lermontowa — omawiane były niejednokrotnie w naszej literaturze krytycznej (por. prace Spasowicza, Zdziechowskiego, Tretiaka, Lednickiego i in.) i nie wymagają dalszych uzupełnień. Niewiele uwagi poświęcono natomiast oddziaływaniu twórczości Mickiewicza na rozwój niektórych gatunków poetyckich w literaturze rosyjskiej. Dla przykładu jeno i najogólniejszego zarysowania problemów,

[1] A może również w „Gałubie" — por. W. Lednicki, „Jeszcze jedna polemika Puszkina z Mickiewiczem" — w księdze zbiorowej „Puszkin 1837—1937", Kraków 1939, I, str. 227—247.
[2] Odpowiedzią na Mickiewiczowski „Pomnik Piotra Wielkiego" jest również — według zdania M. Żywowa (l. c., str. 34) wiersz Ogariewa *Wyros gorod na bołotie*.

jakie w tym zakresie oczekują wciąż jeszcze na bardziej szczegółowe zbadanie, wystarczy rzut oka na wpływ Mickiewicza, ujawniający się w ewolucji ballady rosyjskiej.

Pierwszy tomik jego poezyj, zawierający „Ballady i romanse", nie zdobył w Rosji takiego rozgłosu jak późniejsze „Sonety" lub „Konrad Wallenrod". Debiut nieznanego poety nie miał tych możliwości zainteresowania obcych pisarzy, jakie posiadały utwory późniejszego wygnańca, który zdołał już zyskać rozgłos we własnym kraju.. Przecie i ballady wywołać musiały rychło po ukazaniu się w druku pewne echa w literackich kołach Rosji — jak świadczy o tym Przecławski, który już na początku 1823 roku donosi wileńskim przyjaciołom z Petersburga, że tomik poezyj Mickiewicza „niezmiernie literatów rosyjskich zainteresował" i wymienia nawet Żukowskiego, który pono „unosił się" „nad pomysłami i wdziękiem zewnętrznym" utworów Mickiewicza[1].

W tym też może czasie, jeśli nie później — pod wpływem osobistej znajomości z Mickiewiczem — próbuje przetłumaczyć „Lilie" K. Rylejew w niedokończonym wierszu: *Żena griech sotworila...* (Por. Sirotinin: *Rylejew i Niemcewicz, Russkij Archiw,* 1898, s. 81. Relacja M. Żywowa, l. c., s. 14, jakoby przekład ten napisany został już w r. 1821, a więc przed ukazaniem się zbiorku, jest oczywiście bałamutna).

Były to jednak tylko pojedyncze przykłady zainteresowań. Szerszy krąg czytelników rosyjskich zyskały ballady dopiero w kilka lat później. Mniej więcej od r. 1825/6 pojawiają się coraz to nowe przekłady. Przy tym interesujący jest fakt, że początkowo nie pojmowano ich tak jak w Polsce, jako reprezentacyjnego wystąpienia nowej, romantycznej szkoły poezji. Wręcz odwrotnie: tłumacze rekrutowali się przeważnie z obozu „starej" poezji i w przekładach swych wydobywali na jaw nie nowe, romantyczne właściwości ballad Mickiewicza, ale to przede wszystkim, co pasowało do ich własnych gustów wykształconych na sentymentalnych upodobaniach epoki lub klasycystycznych poetykach ubiegłego wieku.

Dość wymownie o tym świadczy już sam wybór tłumaczonych utworów. Tak np. J. Poznanski wybiera na warsztat „Kurhanek Maryli", najbardziej sentymentalny wiersz ze zbiorku Mickiewicza, nazwany przezeń „romansem", ale w istocie rzeczy niewiele różniący się od „pasterskich" roztkliwiań na wzór tak częstych wówczas sielanek. Inny tłumacz z tego okresu (1825), Michał Bestużew-Riumin, przekłada „Świteź" i „Świtezianke", ale adaptację obu ballad przeprowadza „całkiem w duchu opisowych poematów późnego klasycyzmu" — jak świadczy o tym W. Czernobajew (l. c., s. 295). Element fantastyczno-folklorystyczny tych utworów schodził w jego ujęciu na plan dalszy. Jeszcze w cztery lata później, w r. 1830, tenże Bestużew zamieszcza w swym

[1] Istnieje wyraźna sprzeczność tej relacji ze słowami Żukowskiego, który w siedem lat później, już po zawarciu osobistej znajomości z Mickiewiczem, napisał w liście do Jełaginy: „nic z jego utworów dotychczas nie znam" (Tyc, l. c., str. 16). Trudno przypuścić, by w ciągu tych siedmiu lat zapomniał całkowicie o dawnych zachwytach nad balladami. Należałoby raczej sądzić, że to Przecławski coś tu nafantazjował. O relacji Przecławskiego por. w „Korespondencji filomatów", V, 40; list Zana do Mickiewicza z 7. II. 1823.

piśmie *(Północny Merkury)* przekład „To lubię", najwcześniejszej ballady Mickiewicza, utworu, w którym najsilniej może ujawnił się wpływ dumy sentymentalnej i maniery jej stylowych skłonności. I tu również zadecydowały — oczywiście — konserwatywne upodobania tłumacza.

To niezrozumienie romantycznych właściwości ballad Mickiewicza staje się tym bardziej dziwne, jeśli zważyć, że w ówczesnym etapie ewolucji tego gatunku na terenie rosyjskim nie stanowiły one bynajmniej tak wyjątkowej rewelacji, jaką były — mimo wszystko — w dziejach literatury polskiej. Wówczas nie tyle wskutek sentymentalnych przekładów Żukowskiego, ile raczej dzięki „Oldze" Katienina (1816) i pierwszym balladom Puszkina oraz jego naśladowców — ballada romantyczna poczynała już głęboko zapuszczać korzenie w glebę poezji rosyjskiej. Wzrastała jednak w blasku sławy ballady niemieckiej oraz szkockiej i sława ta nie dozwoliła zapewne dostrzec walorów romantycznego „pierwiosnka" bliższej słowiańskiej poezji.

Wydobyto je na jaw dopiero w kilka lat później, a drogę do nich utorowały nie pierwsze, najbardziej romantyczne ballady ze zbiorku wileńsko-kowieńskich poezji Mickiewicza, ale utwory napisane przezeń w Rosji, przede wszystkim „Czaty" i „Trzech Budrysów". Być może, iż stało się to nie tylko wskutek zainteresowania, jakie w owym czasie wzbudzał każdy utwór Mickiewicza. Obie te ballady stanowiły wszakże na tle dotychczasowej twórczości Mickiewicza pewną nowość, niedostrzeżoną bodaj przez współczesną krytykę polską: obie wprowadzały do jego techniki balladowej nową epigramatyczną zasadę konstrukcji, nie stosowaną w tym zakresie w balladach wileńsko-kowieńskich, reprezentujących przeważnie epicki, mniej skoncentrowany typ rozwijania fabuły. I ten to wzgląd bodaj, ów specyficznie balladowy sposób ujęcia opowiadania i rozwiązywania go za pomocą ostro zaznaczonej, epigramatycznej pointy sprawił zapewne, że ze wszystkich ballad Mickiewicza te właśnie, a nie inne, pociągnęły Puszkina do przekładu na język rosyjski.

Zarówno „Wojewoda" jak i „Budrys" Puszkina odbijają wyraźnie na tle ówczesnych ballad rosyjskich, ciążących — podobnie jak i polskie — ku epickiej, rozlewnej odmianie tego gatunku, i stanowią znaczny krok naprzód w ewolucji zwartego, skoncentrowanego typu opowiadania balladowego. Wyjątkowa popularność obu tych utworów zwiększyła jeszcze bardziej siłę ich wpływów na późniejszych poetów i ułatwiła Mickiewiczowi odegranie dość znacznej roli w rozwoju ballady rosyjskiej.

Dopiero teraz, mniej więcej od r. 1835, ballady Mickiewicza wysuwają się między najwyżej cenione, europejskie wzory tego gatunku, współdziałając twórczo w kierunku dalszej jego ewolucji na terenie Rosji. Raz po raz pojawiają się nowe przekłady, „Czaty" zyskują powtórnego, świetnego tłumacza w osobie Feta, którego przekład pt. *Dozor* dzięki dorobionej doń melodii rychło dotarł — podobnie jak i „Wojewoda" — do najszerszych mas społeczeństwa[1].

Wkrótce powstają również przekłady innych wileńsko-kowieńskich i póź-

[1] Później obie te ballady, i „Czaty", i „Trzech Budrysów" przetłumaczył także Danilewskij.

niejszych ballad Mickiewicza. Tenże Fet tłumaczy „Świteziankę", Mej — tę samą „Świteziankę" po raz wtóry oraz „Panią Twardowską" i „Renegata", a Bieniediktow — „Rybkę", „Alpuharę" i „Powrót taty". Ta ostatnia z wileńsko-kowieńskich ballad, najbliższa może obu, przełożonym przez Puszkina, zyskała również niemałą ilość tłumaczy: prócz Bieniediktowa przekładali ją J. Pożarskij *(Wstriecza otca)* i Surikow *(Wozwraszczenije tiati)*.

Niemałe są również fabularne wpływy ballad Mickiewicza. Wykraczają one nawet poza dziedzinę utworów balladowych, jak świadczy choćby nieukończony dramat fantastyczny Puszkina pt. „Rusałka" (1832), oparty na motywie zapożyczonym — być może — z Mickiewiczowskiej „Rybki". Do znanych już przykładów dorzucić by jeszcze można „Najadę" Kolcowa (1831), balladę, której fabuła wykazuje niewątpliwą zbieżność z „Świtezianką", a nastrojowy obraz wody i nieba wywodzi chyba swój ród z opisowych strof początkowej części „Świtezi". Znamienne jest również podejmowanie nieukończonych wątków Mickiewicza i rozwijanie ich dalej już według własnej inwencji poetyckiej, jak jest to np. z kontynuacją „Renegata", dokonaną przez J. Połonskiego (por. M. Żywow, l. c., str. 37).

Toteż nie bez podstawy wydaje się sąd W. Neumanna, który podkreśla wpływ Schillera i Mickiewicza jako główną przyczynę pojawienia się nowych tendencji artystycznych w rozwoju ballady rosyjskiej po r. 1830 (por. *Geschichte der russischen Ballade*, Königsberg 1937, str. 156—7, 163—5). Trudno natomiast zgodzić się z jego tezą, że wpływ Mickiewicza działał tu w kierunku silniejszego akcentowania ideowej, społeczno-politycznej myśli ballad rosyjskich, zwłaszcza gdy tendencje te usiłują związać ze znaczeniem takich utworów jak „Czaty" lub „Trzech Budrysów". Uczonemu niemieckiemu trudno snać było odczuć istotne znaczenie ballad Mickiewicza, skoro „Trzech Budrysów" próbuje np. sprowadzić do roli utworu, służącego idei połączenia Litwy z Polską, a fakt, że bracia przywożą Polki, chociaż wyruszają w trzy różne strony świata (?), usiłuje wytłumaczyć jako zaakcentowanie wielkości Polski o granicach „od morza do morza". Jedynie chyba sugestia powszechnego przekonania, że w każdym utworze Polaka po utracie niepodległości winna być jakaś ukryta myśl polityczna, zaprowadzić mogła na manowce, tak odległe od istotnego znaczenia utworu.

Wpływ Mickiewicza na balladę rosyjską po r. 1830 wydaje się bezsporny, oddziaływa jednak nie na wzmożenie jej ideowych tendencji, ale ujawnia się bądź to w postaci fabularnych zapożyczeń, bądź też jako podnieta do poszukiwań nowych rozwiązań technicznych w kierunku pełniejszej realizacji balladowego ujęcia fabuły.

IV

Mickiewicz wszedł głęboko w tradycję literatury rosyjskiej. Stał się ważkim i wciąż jeszcze żywym czynnikiem jej rozwoju. Znajomość dzieł jego obowiązywała w życiu literackim Rosji XIX w., tak samo, jak znajomość podstawowych utworów Goethego, Schillera, Szekspira czy Byrona.

Może najbardziej znamiennym objawem wysokiej pozycji Mickiewicza w literaturze rosyjskiej jest owo zdanie Puszkina, gdy opisując w *Dubrowskim* pracę bohaterki na krosnach, czyni aluzję do Aldony Mickiewiczowskiej w tych słowach: „Nie plątała jedwabi podobnie jak kochanka Konrada, która w rozżargnieniu miłosnym różę wyszyła zielonym jedwabiem...". I słusznie zauważa M. Żywow, że słowa te świadczą nie tylko o tym, jak dobrze znał i pamiętał Puszkin utwory Mickiewicza, ale także i o tym, jak szeroką popularność miał poeta polski wśród rosyjskich czytelników, skoro nie potrzeba było wyjaśniać, o jakim Konradzie jest tu mowa i wystarczyło tylko odwołać się do powszechnej snać wówczas (r. 1832—3) znajomości poematu (l. c., str. 29).

Młody poeta-wygnaniec odniósł w ciągu lat kilku zaledwie triumf tak świetny, jakiego ani śmiał oczekiwać, gdy przez Ostrobramę wileńską opuszczał ojczyznę w kibitce z niemałym bagażem tęsknoty i niepokoju. Oczekiwał wszakże, iż zanim wieść o nim dotrze do bliskich, ...może już podróżnego wieczny śnieg pochłonie...". Tymczasem siła talentu oraz zrozumienie poezji w bratnim narodzie słowiańskim miały mu ów kraj zesłania zamienić w pole poetyckich triumfów.

STEFAN FLUKOWSKI

„KWADRYGA", LUCJAN SZENWALD I JEGO POEZJA

Właśnie w tym roku minęło dwadzieścia lat jak poznałem Lucjana Szenwalda. Było to w Warszawie, w kawiarni „Kresy". Mieściła się ona na Nowym Świecie, gdzie w ciągu ostatnich paru lat przed wojną była cukiernia „Napoleonka".

„Kresy" prowadziły jakieś panie z okolic Polski, które najlepiej określała sama nazwa kawiarni. Przetrwała ona kilka lat. Z końcem 1927 r. została zamknięta. Ale w ciągu swego istnienia była jednym z centrów spotkań artystycznego i literackiego świata Warszawy przedmajowego okresu. Zbierało się tam towarzystwo dość różnorodne: od sfery *Kuriera Warszawskiego* aż po nas, radykalną artystycznie i społecznie młodzież. Podobno bywał tam też i Żeromski, o czym tylko słyszałem, będąc gościem lokalu dopiero w jego ostatnim roku istnienia. A jak się to stało, opowiem...

Kiedy po raz pierwszy zimą 1926/27 zaszedłem zaciągnięty tam przez Władysława Sebyłę, mego kolegę z „wypompowanej" już grupy literackiej *Złocień*, lokal „Kresów" pulsował ożywionym ruchem. Do starych bywalców dołączyli się nowi — sama młodzież literacka spod znaku formującej się nowej grupy poetyckiej, *Kwadrygi*. Ta właśnie grupa gości nadawać zaczęła kończącym się już „Kresom" żywszy charakter. Była przysłowiowym jaśniejszym płomieniem dogorywającej lampy.

Byliśmy na ogół towarzystwem od Sasa. I to im więcej zaczęło się nas schodzić. Kiedy rozpocząłem tam swoją życiową karierę nałogowca kawiarnianego, wielkie zainteresowanie wywoływał mający się ukazać pierwszy numer *Kwadrygi* (nazwa wzięta z wychodzącego w gimnazjum im. Reja pisemka szkolnego). Trzon redakcji i grupy stanowiło paru uczniów tego gimnazjum — Mieczysław Bibrowski, Stanisław Ryszard Dobrowolski i Wiesław Wernic. Ale to było mało, prawie nic. Rozpoczęło się ściąganie nowych sił, a tych, jak się okazało później, było dość dużo. Zawiązanie więc grupy dokonało się spontanicznie i szybko. Istniała potrzeba organu dla wypowiedzi młodych, częstokroć zupełnie nieznanych, a mniej więcej ożywionych wspólnymi ideałami społecznymi i artystycznymi. Nad tym, jak głębokie różnice kryją się w indywi-

dualnościach twórczych młodych poetów, nikt się nie zastanawiał. Byłoby to wbrew naszemu wiekowi, wbrew prawom młodości.

Po części świadomie, a trochę instynktownie odczuwało się potrzebę, ba, konieczność walki o własne stanowisko we współczesnym kształtowaniu polskiej liryki. Konieczność odepchnięcia przytłaczającej przewagi *Skamandra*, łapania oddechu. Obecnie z perspektywy tych przeszłych lat dwudziestu wydaje się, że kilkuletnia działalność grupy poetyckiej *Kwadryga* była obok *Skamandra* najpoważniejszym wysiłkiem na terenie warszawskim międzywojennego dwudziestolecia. Wysiłkiem, który zmierzał do podbudowania liryki polskiej rzetelnymi problemami społecznymi i światopoglądowymi, artystycznymi, a nawet formalnymi. O ile jedno skrzydło „Kwadrygowców" było właściwie skamandryckie i takim pozostało po dziś dzień, drugie głęboko wchodziło w zasięg problemów awangardy, zazębiając się w ten ruch nowatorski, który tak wpłynął na zmianę oblicza naszej nowoczesnej liryki.

W swoim rozwoju *Kwadryga* wiązała się z najwybitniejszymi przedstawicielami szkół prowincjonalnych (Milosz — Wilno, Czechowicz — Lublin, Peiper — Kraków). Była eklektyczna i płynna w swoim wyrazie, bo była liczna i wciąż powiększała grono swoich współpracowników i członków. Do poprzednio już wymienionych trzech „Rejaków" dołączyli zimą 1926/27 roku Al. Maliszewski, Wład. Sebyła, K. I. Gałczyński, St. Ciesielczuk, Włodz. Słobodnik, Eugeniusz Cękalski (obecnie film), Stefan Flukowski. Od razu znalazł się między nimi i Lucjan Szenwald. Była Nina Rydzewska, Elżbieta Szemplińska, Władysław Bieńkowski, Andrzej Wolica i Zbigniew Uniłowski. Byli też inni: i Światopełk Karpiński, i Marian Piechal, i Marian Markowski. Wielu z nich nie żyje, wojna uczyniła swoje okrutne spustoszenie. Jej to dziełem również tragiczna śmierć Lucjana Szenwalda, kapitana I Armii, idącego z właściwym Mu entuzjazmem i zapamiętaniem ku wyzwolonej ojczyźnie.

Tak płynęły miesiące i lata, napływali do *Kwadrygi* jedni, odchodzili drudzy, różne rzeczy się zmieniały, talenty krzepły, umysły doroślały, indywidualności poczęły się coraz wyraźniej zarysowywać. W tym całym ruchu i gwarze postać Lucjana Szenwalda zwracała zawsze powszechną uwagę. Właśnie w „Kresach" któregoś wieczoru zobaczyłem go po raz pierwszy takim, jakim był naprawdę: nieduży blondyn, trochę obcy temu, co się działo wokoło, niedbały w ubraniu, ciągle recytujący w różnych językach poezje.

„Według własnych jego słów — pisze w przedmowie do tomu zawierającego niemal wszystkie utwory tego znakomitego poety, wydanego przez „Książkę",[1] Władysław Bieńkowski — do piętnastego roku znał tylko muzykę — była to jedyna droga wprowadzająca go w świat. Był na drodze do wirtuozerii. Fenomenalna pamięć muzyczna pozwalała mu na zapamiętanie utworu raz granego. W ten sposób opanował pamięciowo prawie całą muzykę klasyczną. Muzyka była żywiołem, którym żył wyłącznie, dopóki nie zetknął się z poezją".

[1] Lucjan Szenwald: Utwory poetyckie. Spółdzielnia wydawnicza „Książka", Łódź 1946; str. 247 i 5 nl.

„W 1926 r. wstępuje na Uniwersytet Warszawski; zamierza studiować filologię klasyczną. Opanowuje język grecki w stopniu, który zdumiewał jego profesorów, bez trudu rozwiązuje niesłychane zawiłości rytmiczno-wersyfikacyjne Pindara czy Sofoklesa. Głębokie, intuicyjne wyczucie rytmu i sensu słowa podsuwa mu wyjaśnienia, do których inni dochodzą w ciągu lat pracy i dociekań".

Podobnie z językami nowożytnymi. Ale ponad tym wszystkim górowała u niego miłość mowy ojczystej i bezustanna o nią troska. „Kiedyś — pisze o Nim Bieńkowski — w gronie przyjaciół odczytywał rozdział z książki o teorii literatury znanego rosyjskiego uczonego. Jeden z obecnych ze zdumieniem stwierdził, że wysłuchany przez niego w pięknej polszczyźnie fragment odczytany był z rosyjskiego tekstu. — Musisz znać doskonale język rosyjski — zauważył. — Nie — odpowiedział Szenwald — muszę znać doskonale język polski".

Niedarmo utwory Szenwalda mają tak bogaty i czysty w semantyce i fonetyce język. Tak pełen prostoty i cyzelowanej precyzji. Niedarmo był Lucjan Szenwald pożeraczem poezji całego świata i w latach swej młodości nic poza nią nie uznawał. Pochłonięty olbrzymią literaturą światową, znajdował w dziełach Byrona, Shelleya, poetów starożytnych, a nade wszystko ulubionego Browninga całe mnóstwo podniet dla swej wyobraźni. Stąd atmosfera jakby literackości tego okresu, kiedy był niczym innym jak tylko artystą, poetą, muzykiem.

W Szenwaldzie były jakby dwie oddzielne natury, których współczesność nie układała się zbyt dokładnie. Był okres artystowski, po nim socjalny. Dopiero wiek pozwoliłby całkowicie stopić ze sobą te dwa łożyska przeżyć artysty i działacza społecznego. W latach młodości autor „Kuchni mojej matki" był zbyt porywczy w swych upodobaniach, we wszechogarniającym jego naturę entuzjazmie, aby wciąż nowe dziedziny działalności ludzkiej nie pochłaniały go coraz silniej. Po muzyce przyszła poezja, po poezji działalność rewolucyjna. Ta ostatnia stała się największą pasją jego życia, włączając bezapelacyjnie w swą orbitę i poezję.

„Lucjan Szenwald — pisze Bieńkowski w cytowanej już przedmowie — był nie tylko poetą. Ideały, które głosił, wyznawał i działalnością swą pragnął przyśpieszyć ich realizację. Był poetą rewolucjonistą. Los swój związał ściśle z walką klasy robotniczej, współdziałał w organizowaniu jej zwycięstwa. Narzędziem, które skutecznie wyzyskiwał była sztuka, muzyka i poezja — poezja nie tylko poważna, patetyczna, surowa. Świetnie posługiwał się dowcipem, satyrą, żartem, był jednym z najbardziej utalentowanych piosenkarzy. Zorganizowany przez niego zespół „Czerwona Latarnia" niósł robotnikom lekką a ciętą satyrę polityczną, pokazywał rzeczywistość społeczną w krzywym zwierciadle obnażającym jej wstydliwie przykrywaną brzydotę".

Potem przyszła wojna, długi pobyt na obczyźnie, tęsknota za krajem, pełna uniesienia (jakżeby inaczej u Lucjana), służba w wojsku, walka z wrogiem i powrotna droga do Ojczyzny. Wszystkie te przeżycia znajdowały odbicie w jego poezji aż po ostatnie chwile, aż po ostatni wiersz poświęcony rodzinnemu miastu — Warszawie, w dobie powstania:

Dym gruzów łącząc z dymami chmur,
Wstrząsane eksplozjami piekła,
Z losem toczy nierówny spór,
Oszukana, burzliwa, piękna.

Ogniem przeciwpancernych serc
Szturmuje do betonowych sklepień.
Osaczony walczy na śmierć
Anielski pułk na szańcach piekieł.

Coraz powraca w jego wierszach wspomnienie stolicy, miasta, gdzie przeżył młodość. „I wszystkie drogi wiodły do Warszawy" — powiada gdzie indziej. Jakże daleko odbiegł od tych czasów swojej wczesnej młodości, kiedy pisał takie wiersze jak „Infekcja", „Śpiew złodziejski" czy „Portret młodzieńca"! Od czasu, gdy w 1925 r. drukował w *Skamandrze* swój pierwszy wiersz o Warszawie:

O, Wisło, wryj się falą w rozpalone piaski,
rozlej się po muskułach i po tętnic supłach.
O, zalej, zniszcz stolicy wizerunek płaski
i pokaż mi Warszawę piękną i wypukłą.

Szenwald był dzieckiem Warszawy i jako dziecko niemal rozpoczął tam swą piękną drogę poety. Nie mając szesnastu lat rozpoczął drukowanie pierwszych wierszy w *Wiadomościach Literackich* i *Skamandrze*. Były one dziwnie dojrzałe w formie jak na takiego młodego chłopca. Zdumiewały. Wokół ich autora powstawała atmosfera pewnej niezwykłości. Szenwald — „Lucek", jak mówili koledzy i bliscy — był w tym okresie zjawiskiem. A Lucek wybuchał nieustannie recytacją swoich i nieswoich (niezliczonych) wierszy i fragmentów poetyckich.

Chociaż debiutował jako poeta na łamach organów grupy *Skamandra*, nie czuł z nią żadnej więzi. Dlatego tak łatwo połączył się z *Kwadrygą* i tu pozostał. Przyczyny tego były proste. Formułuje je doskonale drugi autor przedwojenny, Seweryn Pollak:

„Rok 1926 — to rok dla życia polskiego przełomowy. Mieszczański witalizm Skamandrytów, ich afirmacja życia znajdowały potwierdzenie w przemianach, jakie dla klasy tej niosła „Sanacja". Dopiero później miał wyjść na jaw właściwy charakter tego ruchu i później dopiero poeci *Skamandra* stanęli wobec zagadnienia wyboru pomiędzy faszyzmem a obozem postępu społecznego.

„Ale i wtedy już zaczęły się zaznaczać pewne rysy. Poezja *Skamandra* przestała już być „skokiem barbarzyńcy, który poczuł Boga", a poeci tej grupy nie sądzili już, że „wszystko jest piękne, wszystko jest od Boga, chociaż zbłąkane, zbrukane, nędzne", jak pisał w swoim czasie Lechoń. Już wkrótce miała się ukazać *Kwadryga*, twórcy której głosili potrzebę związania odczuć pisarza z aktualnymi potrzebami życia społecznego, konieczności zrezygnowania z subiektywnych wzruszeń".

Chociaż młodziutki Szenwald tonie wówczas po uszy w estetyzmie i pije piękno z uroczych dzbanów sztuki, istnieje w nim i rozwija się potrzeba życia społecznego, gorączkowej działalności na płaszczyźnie reform społecznych, gruntownego przeobrażenia zastanego świata. Dlatego tak luźne łączą go więzy ze *Skamandrem*, dlatego zostaje członkiem *Kwadrygi*. Dlatego pisze i drukuje tam swój wiersz pt. „Rewolucjonistka", pełen młodzieńczego rozmachu i (dziś, po latach, po tej wojnie, da się to dopiero ocenić) pewnych proroczych aluzji.

Ale z jej łona poczęty,
pod sercem noszony,
piersią wykarmiony
syn
z gwiazdą
płomienną
na czole,
Kiedy dorośnie,
bagnetem najeży karabin
i będzie wołał polec
śpiewając
rewolucyjny
hymn,
niż zdradzić!
Stanie w szeregu z nami,
zbrojny, do marszu gotowy,
pieśnią do walki poderwan,
i runiemy zwartymi kolumnami
na świat zawalony ścierwem!
Podnieście głowy!

W pierwszym okresie twórczości Lucjana Szenwalda dominuje w jego utworach gra żywiołów, elementarnych mocy, chaotycznych i ponurych. Poeta jest pesymistą i ciągle krąży koło kosmicznej katastrofy. Wszystko to znajduje artystyczne sformułowanie w postaci klasycznego wiersza polskiego przetworzonego na własną modłę, wzbogaconego rytmicznie, świeżego w obrazowaniu, chociaż rozwichrzonego i nierzadko werbalnie ekspresyjnego. Z drugiej strony potrafi zdobyć się na spokój i marmurowość, jak np. w wierszu „Ku czci filologa", gdzie przejawiona pewna doza patetyczności będzie towarzyszyła mu już stale. Dalszym etapem pokonywania młodzieńczych nastrojów i zwrócenia się ku klasycznemu i społecznemu ładowi jest piękna „Kuchnia mojej matki", pełna rozmachu przenośnia o bogatej fantastyce.

Szenwald świadomie i jawnie przyznawał się do współżycia na gruncie swego tworzenia z przeszłością. Wyraźnie to podkreśla w „Komentarzu" do

Sceny przy strumieniu". Ma poczucie, że jest to utwór akademicki. Ale zaierzony świadomie. Więc gromi „leniwe nieuctwo, osłanianie sztuczną mgłą ozornego eksperymentatorstwa". Poeta podkreśla jak najsilniej, co zawdzięcza ielkim poetom Grecji i Rzymu, Anglii i Polski. „Długo i troskliwie pracoałem w ich laboratoriach — i uznanie tej pilności jest jednym z niewielu zaczytów, o które się ubiegam".

Zasadniczym zamiarem autora „Sceny przy strumieniu", utworu stanowiąego trzon całego jego dorobku twórczego, jest próba „ożywienia współczesnej oezji polskiej, której za temat wystarczają sami autorzy, elementami powieiowej przedmiotowości". Trzeba więc, by doszedł ruch, akcja, działanie, konikt, „który pragnie wyrażać tęsknoty walczącego ludu".

Szenwaldowi chodziło o szeroki oddech, o formę bardziej niż liryka monuentalną, o epos! A jednocześnie o dzieło przeniknięte na wskroś myślą spoczną. Stworzył więc z jednej strony utwór o bogatej gamie form wersyfikajnych, gdzie wszelkie metra możliwe są do odnalezienia jako przykład wzór. Z drugiej — poezję kierowaną wołaniem sumienia o ład społeczny, pewną prawdę życia. Z jednej strony całe kaskady najczystszej poezji, z drujej twarde, uparte akcentowanie tej przepaści między życiem społecznym rogich sobie klas.

„Scena przy strumieniu" jest rodzajem sielanki, jest nowoczesną sielanką, órej prostych związków należałoby szukać w „Żniwiarzach" Szymonowicza. ' ten sposób dla poezji Lucjana Szenwalda, jednego z najnowocześniejszych nysłów w literaturze dwudziestolecia międzywojennego, znalazłby się antenat XVII wieku naszego piśmiennictwa.

W „Scenie przy strumieniu" dochodzą ciągle do głosu echa pieśni ludowej, siowej piosenki. Ich rytm organizuje nowoczesną metaforę Szenwalda w moenty niezwykłego uroku. Niektóre partie poematu zaskakują świeżością spojenia, wyłącznością wizji, sugestywnością sformułowań:

Takie bitwy się toczą w labiryncie borsuczym,
w borze mrocznym, urocznym, pełnym osin i buczyn.
Tyle pręg jest na grzbiecie, tyle szram na ciemieniu,
ile jagód na krzaku, ile wody w strumieniu.

W cichym śpiewie konwalii tyle szczęku i zgrzytu,
ile pasem czerwonych w delikatnej mgle świtu.
Tyle grzybów trujących na zieleni, na puchu,
ile męki jest w kraju, ile żelaz w łańcuchu.

Dużą część tomu stanowią wiersze wojenne, pisane w Rosji. Z działacza ołecznego przeobraził się Szenwald w żołnierza. I znów ten sam zapał, to mo oddanie sprawie. Ale ani na chwilę nie przestawał Szenwaldowi-żołnieowi towarzyszyć Szenwald-poeta. I oto mamy wiązkę znakomitych wierszy, óre są przerzuceniem mostu przyjaźni między dwoma narodami. Zapał i tak

charakterystyczna dla autora szczerość uczuć (był on zawsze kolegą zdumiewająco bezinteresownym i przychylnym dla innych) przydały tym jego utworom szczególnej siły potrzebnej do nowej współpracy w przyszłości.

Lucjan Szenwald dążył poprzez trudy żołnierskiego życia do Polski z taką radością, tęsknotą i niecierpliwością, jaką zrozumieć potrafi tylko ten, kto sam to przeżył. A jednocześnie żegnał Rosję w sposób tak wyjątkowy dla tonu przyjętego w poezji polskiej, że ta jego postawa może być pewną wskazówką i nadzieją na rozwijającą się aktualnie przyjaźń. „Pożegnanie Sybiru" zaczynające się od słów:

Bywaj zdrów, kraju narcyzów i cedrów,
Kraju uroczysk brzozowych, gdzie głuszce
Tokują, dzierzby niosą się i wieczny
Szelest zwierzyny jest jak szelest krwi.
Odjeżdżam, bywaj zdrów, bywaj mi zdrowy,
O kraju rybnych rzek i grzybnych lasów,
Kraju owsiany, pszenny i pasieczny,
Rozfalowany prądem suchowiejów,
Bezmierny!...

jest niewątpliwie wyrazem tego płomiennego wiru uczuć, do których jak mało kto z jego pokolenia zdolny był Lucjan Szenwald.

W pasie strzeleckim, w zielonym mundurze
stoję — i owoc mam kamienny w dłoni,
Granat z nasieniem wolności...

a gdzie indziej:

My, wśród gościnnych krajobrazów Rosji,
Do Was, o bracia dalecy, tęsknimy,
Bracia z Tobruku, o żołnierze prości
Ze Szkocji i spod bram Jerozolimy...

i jeszcze:

Poleci w słońce białopióry orzeł,
Dom stanie w światłach od podłóg do pował,
Sojusz połączy dwie strony rubieży:
Wojna poczęła go, pokój rozszerzy.

Słusznie też pisze St. R. Dobrowolski w swojej przedmowie, że Lucjan Szenwald zdobył „sobie jako człowiek w naszej pamięci taką pozycję jak Jakub Jasiński, Cyprian Godebski, Seweryn Goszczyński czy Mieczysław Romanowski — pozycję poety-bojownika o nieśmiertelne idee wolności, równości i braterstwa, poety-żołnierza".

ANDA ŻÓŁKIEWSKA

KAPEL

I

Z szarej, na pół ciemnej sieni wyszedł wolno kulawy Kapel. Chorą nogę olbrzymią brzydką naroślą postawił ostrożnie na pierwszym stopniu kamiennych schodków i znieruchomiał. Czarne paciorkowate oko utkwił na wilę w burych dymach skłębionych ponad kominami. Naraz w żelaznych ybach huty coś zachrypiało i wraz z potężnym kłębem szarości buchnął niebo głos: b u u u u u.

Gdzieś skrzypnęły i trzasnęły drzwi, odgłos szybkich kroków na schodach znany Kaplowi głos wypłynął ciepło z zaspanej szarości sieni:

— No, jak tam, Kapel, idziesz ze mną?

Dobre pytanie! Czyż na przestrzeni czterech lat był taki dzień, aby Kapel mówił?

Kapel radośnie wstrząsa purpurowym grzebieniem, nabiera między pióra wietrza i olbrzymi jak pięć normalnych kogutów chroma na swej chorej dze, usiłując dotrzymać kroku chudym, wielce obrotnym nogom swego pana. Po drodze do furtki płotu odgradzającego hutę od kolonii urzędniczej Kapel ego pan rozmawiają.

— A widzisz, boli cię wciąż noga, chodzić coraz ci trudniej. Nie pozwoliłeś yjąć sobie szkła, a teraz sam się przekonałeś, że operacja konieczna.

Kapel dzielnie przebiera nogami, ale coraz częściej ucieka się do pomocy rzydeł. Nie znosi uwag na temat swego kalectwa, przemilcza je chętnie.

Tak przebywają krótką wydeptaną ścieżkę między domem a Zielonym gródkiem i gdy pan zatrzymuje się nad krzakiem rozkwitłej czeremchy, Kapel, tłumiąc w gardle zachwycone gdakanie, daje nura w głąb zieleni pierzastych paproci.

— Widziałeś ty, Kapel, taki dziwny świat — słyszy z dala głos pana — ki dziwny, pachnący świat?

Ale Kapel nie lubi czeremchy. Łaskocze go w gardle i pobudza do kichania jej mdły, natrętny zapach. I przecież rośnie za wysoko! Kapel lubi obwać z roślinami o zapachu delikatnym, ziemnym prawie, z roślinami, które ują w zasięgu jego paciorkowatego wzroku, na wysokości jego kogucich moż-

liwości. Kapel przepada za paprociami. Nurza się w nich jak w lesie wonnym a przepaścistym, twardy nos wtyka między bladozielone liście i zanosi się głębokim oddechem.

Pan zrywa małą kiść czeremchy i przymykając ją w dłoni przykłada raz po raz do twarzy. Kapel tymczasem wyfrunął z gęstwiny, stanął na ścieżce i zapatrzony w niebo rozpiął się w zapamiętały sposób.

— Wstydź się, Kapel, taki piękny dzień dopiero się rozpoczął, a ty już psujesz ludziom radość myślą o zmianie. Aj, Kaplu, Kaplu, przewrotne ty jesteś kogucisko!

Lecz przewrotne kogucisko ciężkim trzepotem wielkich skrzydeł przemierzyło już odległość między ziemią a furtką i osiadłszy na szczycie sztachet beztrosko kiwa się w tył i naprzód na podgiętych nogach.

Z drzwi małej, papą krytej portierni wychyla głowę stróż Kowalski.

— Dzień dobry, panie Kowalski, co nowego?

— At, nic, panie zawiadowco. Sprzedalby mi pan albo dał już nareszcie swego uczonego koguta.

— Nie tak to łatwo, panie Kowalski, sprzedać lub oddać przyjaciela — śmieje się zawiadowca. — Czy pan sprzedałby mi lub oddał swój zegarek?

Kowalski wyciąga z kieszeni zegarek wielkości prawdziwej cebuli i pieści wzrokiem metalową kopertę z wizerunkiem rozpędzonej lokomotywy.

— Uzgodnijmy czas, panie Kowalski — proponuje zawiadowca.

— 6.58 — stwierdza Kowalski głosem nie znoszącym sprzeciwu.

— Co wy mówicie, u mnie dopiero 6.56. Spóźnia się drań! No, jak tam, panie Kowalski, daje pan zegarek za Kapla?

— E, panie zawiadowco, to już niechta pozostanie po staremu: u pana Kapel, a u mnie zegarek.

Zawiadowca śmieje się szeroko; chwiejąc się na nogach z pięt na palce i z palców na pięty wtóruje ewolucjom Kapla na szczycie sztachet.

W tej chwili od strony bloku numer 4 podchodzi inżynier z walcowni z inżynierem ze stalowni. Zawiadowca pozdrawia ich i razem znikają we drzwiach portierni. Zza pleców kolegów odwraca jeszcze twarz do siedzącego na płocie Kapla i rzuca mu szybkie a miękkie spojrzenie.

Przez Zielony Ogródek, ale już bez przystanków, zwyczajnie, zmierza Kapel w koniec podwórza i dołącza się do stada ptactwa.

Mietek ziewa, przeciąga się i leniwie złazi z płotu, na którym ma stanowisko obserwacyjne. Widzi stąd całą hutę jak na dłoni. Szarymi strużkami leją mu się przed oczami szyny, po których upędza się dzień i noc dychawicznie hałaśliwy „samowarek".

— Ach, żeby ten maszynista Ciszewski nie był taki twardy, żeby częście zabierał ze sobą człowieka — mruczy Mietek spuszczając jedną nogę w dół.

Dźwięk dobiegających z dala głosów każe mu jeszcze spojrzeć w stronę skąd pochodzą. Z prawej strony, od dwupiętrowego kantoru w kierunku centrum huty, idzie ojciec w grupie kolegów, wszyscy pogrążeni w rozmowie. Mietek widzi z daleka chudą, długą głowę ojca i łuki gęstych brwi napięte ostro, jak zwy-

e, gdy ojciec jest zamyślony. Kapelusz trzyma w ręku i od czasu do czasu ykonywa nim szybkie ruchy chłodząc rozgrzaną twarz. Mietek prostuje się umacnia nogi na poprzecznej belce płotu. Ojciec dostrzega go, bo wprawdzie widocznym trudem, ale odrywa się od rozmowy i ręką pozdrawia syna. Ładny szmat życia strawił już Mietek na tym płocie, bo nie ma dla niego c piękniejszego nad widok huty w ruchu. Rozumie już teraz każdy jej głos każde poruszenie. A przecież tak niedawno, bo zaledwie dwa lata temu, larzyło mu się coś, co go kosztowało wiele wstydu. Oto — korzystając z odiedzin gości i rozluźnionego nieco z tej przyczyny rygoru — udało mu się leźć na płot gdzieś o godzinie dziesiątej wieczorem. Wtedy właśnie hucie zytrafiło się coś, co Mietka przeraziło do najwyższych granic. Zaczęła poątkowo syczeć nieprzyjaźnie jak żmija, a następnie wielki piec stanął cały ogniu, sypiąc dookoła tysiącami iskier. W górę ciężko buchnęły białe kłęby.

— Jezus Maria, co się hucie stało, tatusiu, co się jej stało?

Mietek wrzasnął przeraźliwie, wpadł między gości zebranych w salonie, pół słowa przerwał matce pieśń Karłowicza:

Zbudzę się, raj ten odnajdę, com miał,
Com miał w...

— Tatusiu, pożar, huta się pali!

Czyż mógł wtedy wiedzieć, że w ten sposób pali się huta każdego wieoru spustem obróconego w czerwoną rzekę żelaza?

Mietek uśmiecha się do siebie: — To ci dopiero byłem głupi!

— Kapel, Kapel — woła w ślad za przechodzącym kogutem. Kapel gdacze odpowiedzi, nie przerywa jednak pościgu za uciekającą kurą i nie odwraca awet głowy.

Mietek złazi z płotu. Kilka susów przez Zielony Ogródek, jeden sus przez amienne schodki i po drewnianych kuchennych schodkach wbiega Mietek a piętro, przemyka się przez kuchnię, omija ciemny gabinet i stołowy, skąd ochodzi stłumione szczękanie naczyń, na palcach zbliża się do sypialni roziców. Nie słychać nic, kto wie, może matka śpi? Po chwili dobre ucho Mieka chwyta leciutki szelest pościeli. Wtedy wspina się do klamki i ostrożnie chyla drzwi.

Matka nie śpi. Leży zamyślona z oczami utkwionymi w jesion dotykający ałęziami okna i ręką miarowo porusza, jakby wygładzając wyimaginowane ałdy podpinki. Na tej ręce zatrzymuje się wzrok Mietka. Ręce matki mają ad nim władzę. Są zawsze ciepłe, miękkie, jedwabne. Mietek lubi ich dotyk.

Teraz Mietek staje cicho w nogach łóżka matki usiłując wejść niepostrzeżele w pole jej zapatrzenia. Matka dostrzega go, uśmiecha się i pyta głosem trohę schrypniętym od mocnego snu:

— Która godzina, Mieciu, czy ojciec dawno już wyszedł?

Oczy Mietka biegną w kierunku łóżka, pozostawionego przez ojca najwiocznej w wielkim pośpiechu. Ojciec zawsze nieprzytomnie śpieszy się do

fabryki. Która godzina? Nie, tego Mietek nie wie, a co do ojca, to wyszedł, ale skąd Mietek może wiedzieć, czy dawno?

— Jak myślisz, mamusiu — mówi Mietek żywo zaabsorbowany swoją myślą — jakie zwierzęta przywiązują się do ludzi?

— Najbardziej pies i koń — odpowiada matka prostując w łóżku swe drobne ciało.

— A kot?

— E, kot jest fałszywy.

— A kogut?

— Kogut? A któż by chciał, żeby się do niego przywiązywał kogut?

— Tatuś!

Lekka zmarszczka jawi się na bladym czole matki i ukośnie znika pod łukami jasnych brwi.

— Tatuś! Tatuś dużo rzeczy robi inaczej niż inni — mówi matka pomału. I w ślad za tymi ociężałymi słowami padają naraz energiczne:

— No, smyku, uciekaj, będę się ubierała!

Mietek niechętnie kładzie rękę na klamce. Kątem oka dostrzega, że zmarszczka znów wróciła między matczyne brwi.

I dopiero teraz, między korytarzem a stołowym pokojem, między kęsami bułki i łykami kawy przypomina sobie Mietek słowa cioci Brońci, ciotki-panny, jak ją ojciec nazywa.

Ciocia Brońcia mówi tak dużo, że gdyby Mietek chciał to wszystko zrozumieć i spamiętać — musiałby mieć dużo większą głowę niż ma.

Chłopcy na podwórzu bawili się wtedy w policjantów i złodziei. Mietek w tej zabawie piastował zaszczytną a nieczęsto osiągalną godność herszta bandy.

— Ja was poprowadzę — powiedział obiecująco do grupy bosych złodziejaszków. Skupieni za ścianą bloku numer 1, chłopcy wysłuchali uważnie szeptanego planu. Nie wiadomo, czy był dobry, ale był nowy i wróżył nie lada emocje, toteż Stasiek z uciechy co chwila stawał dęba i rżał jak koń, a Janek „Lotnik", mający kompletnego fioła na punkcie samolotów, trzaskał piętami w świetnym skoku wzwyż.

— Uważajcie tylko na bibułę — zakończył Mietek — i trzymajcie się komendy.

Umówiono się z policjantami, że ci skryci w Zielonej Altanie między dwoma blokami poczekają dziesięć minut, a następnie dopiero rozpoczną akcję ścigania złoczyńców.

Mietek tymczasem wyniósł ze strychu cztery rolki zgniłozielonej bibułki i torebkę szpilek, resztki pozostałe od roboty kostiumów dziecinnych po ostatnim przedstawieniu urządzonym przez ojca. Chłopcy szybko poopinali ubrania bibułą i na trzykrotne gwizdnięcie najpierw Stasiek, potem Janek, trzeci Jurek, a na końcu Mietek wdrapali się na upatrzone, obficie pokryte liściem drzewo. Teraz policja mogła ich szukać, Mietek wiedział, że przez długie godziny ich nie wytropią. Podstępu z bibułą nie mogli się żadną miarą spodziewać.

Mietek zajął stanowisko w samym środku gęstwiny jesiona, tuż pod oknem ypialnego pokoju rodziców. Początkowo śledził z zapartym oddechem kroki olicjantów, którzy uganiali się po tak zwanej „zagrodzie" szerząc niesamovity popłoch wśród kur, gęsi i prosiaków. Nareszcie służące siłą wyrzuciły ich a bramę.

Zadowolony ze zwycięstwa Mietek zapuścił wzrok w głąb pokoju. Prócz iotki-panny nie było tam nikogo. Ciotka-panna siedziała nad malutką walieczką i pakowała jakieś niewielkie przedmioty białe, niebieskie i różowe. Z daeka wyglądało to jak bielizna Mietka w miniaturze, z dużą przewagą kuchenych, bardzo białych ścierek. Przy drzwiach coś mignęło, ciotka-panna żywo erwała się i powędrowała w głąb pokoju, skąd powróciła wiodąc pod rękę nżynierową Maliszewską, spod czwartego.

I popłynęła rozmowa najnudniejsza, jaką Mietkowi zdarzyło się słyszeć. O zdrowiu męża pani Maliszewskiej, o służącej Michalinie, która niewątpliwie ajlepiej tuczy indyki, ale ma b u z i e, o inżynierowej Śmieleckiej, kobiecie ekkiej i bez charakteru. Wobec tych jawnych nudów Mietek znów pogonił vzrokiem za policjantem. Franek przylepiony do filarów wicedyrektorskiego alkonu łowił teraz uchem niezmąconą ciszę wielkiej piwnicy, zezującej v stronę zagapionego chłopaka parą rozmaitych oczu: szaroszklistą taflą pravej szyby i ciemną czeluścią lewego pustego otworu.

— Aj, głupi, głupi Franek — śpiewał sobie w duchu Mietek, ukazując na hwilę roześmianą twarz najbliżej niego siedzącemu Staśkowi.

— Po co jej to drugie dziecko? — dobiegły Mietka słowa z otwartego kna — to pierwsze jest już i tak dostatecznie dużym błędem.

— Ależ, pani Bronisławo, przesadza pani! Nie jest chyba tak źle. Zawiaowca jest czarującym mężczyzną, za którym wszyscy przepadają.

— Robotnicy, chciała pani powiedzieć — zmitygowała ciotka-panna — tak, le nie koledzy. — Sama pani dobrze wie, jakie on ma obyczaje. Fabryka i faryka i fabryka. Konferencje, pogadanki, wycieczki, odczyty, przedstawienia robotnikami. Dla takiej kobiety jak moja siostra — to nie jest życie.

— Ależ dlaczego? — dziwi się pani Maliszewska, aby wywołać tym więcej wierzeń.

— Dlaczego? Bo ona jest panną z dobrego domu, a on do śmierci zostanie ynem dozorcy. — — Egzaltacja zgubiła tę kobietę. Egzaltacja kazała jej się inteesować chłopakiem, który w całej kamienicy jej matki naprawiał dzwonki światło, a w ogródku na samym środku sprokurował niesamowitą iluminację. o jej wystarczyło, żeby zająć się chłopakiem, wymolestować u matki, aby mu omogła w skończeniu gimnazjum i politechniki. To jej wystarczyło wreszcie, by się w nim zakochać. — — Pamiętam dobrze, czytała wtedy namiętnie rusa. Prus z biegiem lat wywietrzał jej z głowy, a mąż najnieodpowiedniejszy ostał. Ona się zmieniła, wystateczniała, on pozostał czym był — synem doorcy. — Ma pociąg do swoich, o ma! A zresztą, co tu dużo gadać: był i jest nny. — I na co im to drugie dziecko? Czy ono go zatrzyma w domu przy onie, przy dzieciach?

— Kto wie — wtrąca bez przekonania pani Maliszewska — czasem kochane dziecko zmienia mężczyznę radykalnie.

— Gdzie znów? Po co te złudzenia? Jego nic nie zatrzyma! Goni go po świecie coś, a licho wie, co! — — Rozum i tylko rozum strzegł mnie zawsze od podobnego losu — kończy ciotka-panna, z pasją zamykając walizeczkę.

Gość widząc ten energiczny ruch płoszy się, wstaje, chce odejść.

Ciotka prostuje swą patykowatą postać, otrząsa z siebie resztki oburzenia i gorąco zaprasza panią Maliszewską na podwieczorek. Po chwili obydwie nikną w drzwiach.

Mietek słuchał wtedy do końca, ukryty w gałęziach, ale zemocjonowany zabawą, pochłonięty obserwacją otoczenia, przeszedł nad tą rozmową do porządku. Teraz dopiero przy śniadaniu stanęły na nowo przed nim te słowa. Ojciec jest inny? Tak, Mietek to wie, wie może lepiej niż ciotka. Ojciec niepokoi go, przy ojcu Mietek nie chwyta równowagi, jest ona w nim wciąż dotkliwie zachwiana i Mietka gniewa to, żenuje i poniża.

II

Przyjście na świat Figi wprowadziło w życie Mietka tę zmianę, że częściej teraz wymagano od niego, aby był cicho, a ponieważ Mietek nie umiał się do tego stosować, chętniej też udzielano mu pozwolenia na wielogodzinne wyprawy poza dom. Zresztą Mietek wyszedł z fazy dziecięctwa, chodził już do gimnazjum, a właściwie jeździł codzień o wpół do ósmej tak zwanym szkolnym pociągiem, wracał o trzeciej po południu do domu. Uczył się chętnie, bardzo lubił codzienne jazdy pociągiem w dwóch wagonikach rozsadzanych od wewnątrz tłokiem i temperamentem młodzieży, lubił się czasem spóźnić na pociąg i całe pięć kilometrów do szkoły przejść w dobrym tempie żołnierskiego marszu.

Choć drogę znał na pamięć, przecież nie pominął nigdy okazji, by zatrzymać się na chwilę nad gderliwie klekocącym młynem Patrzyka. Młyn Patrzyka był dla niego czymś w rodzaju uproszczonego mechanizmu huty. Lekceważył trochę jego zrozumiałe funkcje, lecz jednocześnie wiedział dobrze, że o ile we młynie Mietek jest mądry, a młyn głupi, o tyle w hucie rzecz się ma akurat na odwrót.

Stary Patrzyk, bogaty właściciel młyna, ograniczający swoją pracę do bardzo rygorystycznych rządów kompanią białych młynarczyków, lubił Mietka i traktował go poważnie.

— Panie Mieczysławie — mówił — zanim pan skończy gimnazjum i politechnikę, ja już będę miał pięć młynów, dam je panu w zarząd. Pan mnie potrafi zastąpić. Chcę rządów silnej ręki, a pan na szczęście nie wyrośnie na sentymentalistę.

O, nie, sentymentalistą Mietek nie był!

W drodze przez łąki chodziły mu zawsze po głowie melioracyjne pomysły. — Co za marnotrawstwo, żeby tak pozwolić niszczyć się gruntom — złościł się, omijając grząskie bajora.

W szkole był poważny, skupiony, zawsze przygotowany do odpowiedzi. Na najnudniejszych nawet lekcjach, na których lwia część klasy drzemała lub rozweselała się wzajemnie psimi figlami, Mietek wyrabiał w sobie silną wolę, dbał o zachowanie spokoju, bacznie wyłuskiwał wiadomości i utrwalał je w pamięci na stałe. Był świetnym uczniem.

Do domu wracał niechętnie. Rodzice interesowali się jego pracą, to prawda, matka była tak dumna z postępów syna, że już teraz jego szkolne sukcesy stały się głównym tematem jej rozmów z rodziną i znajomymi.

Ale był pewien obraz, którego Mietek nie znosił, a który zaczynał w nim grać, skoro tylko opuszczał wagon szkolnego pociągu. Obraz ten zmieniał się nieco zależnie od pory roku i okoliczności, tym niemniej nie ustępował i trzy figury pozostawały na nim niezmienne. Byli to: ojciec, Figa i Piotrowski. Ojciec — smagły, długonogi, chudy, z twarzą nerwową, przechodzącą łatwo od uśmiechu do głębokiej zadumy, ślusarz Piotrowski — zwalisty, ciężki chłop, o twarzy najidealniej nieodgadnionej, bo zżartej prawie bez reszty, aż do zupełnego zatarcia rysów, przez ospę — i maleńka, cicha czarna Figa.

Ta trójka jest poza godzinami pracy w fabryce nierozdzielna.

Dziurka od klucza ujawnia tylko część gabinetu ojca: środek. Na stole mikroskop. Głosów nie słychać, cztery ręce uwijają się wokół przyrządu: dwie długie, szczupłe manewrują zręcznie, pewnie, dwie wielkie, czarne zatrzymują się co chwila w połowie ruchu. Wtedy jedna z rąk szczupłych chwyta dużą i wraz z nią doprowadza zaczęty ruch do końca.

Nad mikroskopem siedzi Figa zagapiona w głąb soczewek. Sfałdowana w żałosnym opuszczeniu pończocha odsłania nóżkę ciemną, niemal cygańską, w ustawicznym ruchu wahadłowym. Kosmyk czarnych włosów podskakuje tanecznie w powietrzu, zdmuchiwany z noska, zmarszczonego lekkim zniecierpliwieniem. Figa siedzi skurczona, mrużąc lewe oko.

— Figa, widać coś? — pyta ojciec.

— Nie widać, popsute!

Znów cisza. Ojciec chwilę niezdecydowanie patrzy na Piotrowskiego.

— A może by, panie Piotrowski, to? — wskazuje na jakieś narzędzie.

— Musim sprobować — zgadza się Piotrowski. I już nic więcej nie widać, tylko ręce w ruchu i trzy głowy tuż obok siebie. Długa cisza, a wtem pisk:

— Tatku, Figa widzi, o widzi!

— Widzisz? Masz rację, córko, mikroskop w porządku!

I cisza gabinetu pryska. Figa szczegółowo coś wykłada, na co ojciec wybucha śmiechem do wtóru basowi Piotrowskiego.

— Tatusiu — prosi Figa — Kapel musi popatrzyć przez mikroskop, sam mówiłeś, że kogut krótko żyje. Kapel umrze i nie będzie tego widział już nigdy.

Przy tym „już nigdy" Figa tragicznie rozkłada brunatne rączki. Ojciec i Pio-

trowski dochodzą do wniosku, że Kapla trzeba niezwłocznie sprowadzić do mikroskopu.

Obraz przez dziurkę od klucza rozprasza się co chwila, bo ojciec i Piotrowski chodzą po pokoju. Ale Figę, trzymającą w objęciach Kapla i skłaniającą mu głowę do mikroskopu, widać doskonale.

— Jaki mądry, on patrzy i dziobie — podziwia Figa, gdy Kapel, nie rozumiejąc dokładnie, czego od niego wymagają, kuje dziobem w szkło.

— Kapluś — mówi ciepło dziewczynka wodząc rączką po piórach czerwonych jak ogień — Kapluś!

Oto co widać przez dziurkę od klucza.

Wcale przecież nie trzeba patrzeć przez dziurkę od klucza, aby na siatkówce oka pozostał na długo obraz tej trójki: ojciec, Figa, Piotrowski.

Bo oto upalny dzień. Mietek pod jesionem czyta „Ogniem i Mieczem". Sennie, cicho, trochę nudno. Za płotem, od strony łąk chór żab urządza zawody śpiewacze. Przekrzykuje je maleńka zielona odrobinka, kumkająca w krzaku kapryfolium za plecami Mietka. Naprzeciwko, w szarą sień sączy się łagodny półcień wieczorny. Powietrze nagrzane drga w załomach czerwonych ścian jedynki i w podskokach przepływa przez senne trochę oczy Mietka.

Kumkanie żab przechodzi naraz w rechot tak donośny, że Mietek odrywa oczy od książki i uśmiecha się do ciemnego płotu. Uśmiech wnet gaśnie, bo drzwi portierni otwierają się szeroko i z dzikim rechotaniem wychodzą z nich ojciec, Figa i Piotrowski. Obaj mężczyźni, udekorowani tatarakowymi liśćmi, wiozą na splecionych w formie „stołeczka" rękach Figę, całą zieloną od tataraku. Figa śmieje się cieniutko, dyndając bosymi nogami. Rączki jej tulą do siebie piękną, ciemną twarz ojca i komiczną w brzydocie, ospowatą Piotrowskiego.

Podchodzą bliżej. Pod lewą, wolną ręką ściska ojciec duży tom. Złote litery na wierzchu „K a p i t a ł" same wciskają się w ciekawe oczy Mietka. Ach tak, ojciec edukuje tego Piotrowskiego, ach tak!

— Ojcze — mówi Mietek tego wieczoru przy kolacji — chciałbym się prywatnie uczyć angielskiego. Czy to możliwe?

— Chcesz się uczyć angielskiego? — mówi ojciec pomału. — No naturalnie, ucz się.

Ach, gdyby ojciec odmówił, gdyby odmówił! Stanęliby do otwartej walki. Ale ojciec nigdy niczego Mietkowi nie odmawia.

III

Choć ojciec od wielu już dni chodził z twarzą skurczoną w jakimś sobie tylko znanym bolesnym napięciu, a może dlatego właśnie, wczesna wiosna smakowała Mietkowi gorzko jak soki cieknące obficie z drzew — i jak chłodny kroplisty deszcz krzepko zrywała rankiem ze snu.

Nosiło Mietka daleko czarnym nasypem, w bok od huty, w stronę wsi. Po obu stronach nasypu, pośród mokrych łąk, zieleń z dnia na dzień coraz sromot-

niej przegrywała od tygodnia już trwającą wojnę z panoszeniem się żółcizny płodnych kaczeńców. Wśród nich Warta toczyła w brudnym korycie falę, strojną w białą grzywę piany. Krzaki wiklin słaniające się na podmytych głęboko korzeniach odsłaniały czerwony brzeg, brzeg skrywający bogactwa kopalne tej ziemi.

— Jakąż ta huta ma przyszłość, z tą pod nosem rudą żelazną! — marzył Mietek.

Co dzień nogi same wiodły go na żelazny most, przecinający w poprzek nasyp. Mietek kładł książkę obok siebie i spuszczał nogi z belek mostu ku wodzie. Z dala jarzyły się zachodem słońca drobne szybki młynów Patrzyka, na lewo huczała huta dygocąc ciężkim żelaznym wysiłkiem. Nad głową mrucząc, czasem bzykając jak bąki, przemykały się na czarnych linach wózki powietrznej kolejki dowozowej. Śmieszne jak części pudełek po zapałkach zwoziły do huty żółty piasek z pobliskiej, za wsią położonej piaskowni oraz kamień wapienny. Figa patrząc na nie zaśpiewała tu kiedyś na moście: „Ani ja, ani ty, nie umiemy roboty, kupim sobie wózeczek, będziem wozić piaseczek".

Od wsi szły niskie dymy, rozwlekając daleko szerokie smugi. Z pierwszej od kraja chałupy wybiegał do łaciatego cielaka podobny pies i ujadał w stronę Mietka bez gniewu, z obowiązku raczej.

Na tym moście przyszło Mietkowi do głowy, że nie był nigdy we wsi, że kresem jego wędrówki co dnia jest koniec nasypu; głos żórawi studziennych, przeciągłych nawoływań i szczekanie psów dochodzi do niego z dalekiej przestrzeni, z dziwnie nieprzebranej głębi.

Czasem tylko, ale bardzo rzadko, spotyka tu Mietek trójkę przyjaciół. Ojciec z Piotrowskim zajęci są teraz bardzo, niejednokrotnie wyjeżdżają w sobotę wieczorem, a wracają tak, aby tylko w poniedziałek, wprost z pociągu, stanąć do pracy. W wyjazdach towarzyszy im często niewykwalifikowany robotnik Sitek i Kozieł, ojciec „szalonej Wandy". Z ramienia Związków Zawodowych usiłują przeprowadzić uchwałę o umowach zbiorowych. Na próżno późną nocą matka otwierając drzwi gabinetu przywołuje ojca do porządku:

— Ach, dałbyś już spokój, idź spać i daj zasnąć innym. — Ale pióro bezgłośnie biegnie po papierze, a na chropowatym szkle zamkniętych drzwi gabinetu rysuje się rozlany, nieruchomy cień, z kulą uwięzionych iskier obok głowy.

Częściej już od strony wsi swym osobliwym krokiem melancholijnej tanecznicy wysunie się Figa, wiosną obładowana „koćkami", latem strojna w nienawistne Mietkowi, sztywne jak szczotki ryżowe, ordynarne georginie. Ale najczęściej siada na moście obok Mietka „szalona Wanda", o twarzy zbyt szerokiej, aby ją nazwać ładną, a zbyt pięknej, aby ją nazwać brzydką. Mietek lubi jej towarzystwo, bo Wanda nie wymaga dla siebie żadnych przywilejów kobiecych. Czyta, myśli, ceruje ojcu czy bratu skarpetki; rozmawia i śmieje się tylko wtedy, gdy inicjatywa wyjdzie od Mietka.

Szaleństwo Wandy ma swe źródło wprost w tragedii jej ojca. Był on wózkarzem wiele lat, ale w każdej pracy przeszkadzał mu zawsze krótki wzrok

i brak pieniędzy na kupno okularów. I tak pewnego dnia bufory zgniotły mu nogi. Kości jakoś zebrano do kupy, rany wygoiły się, ale kalectwo zostało na zawsze. Bez kul stary Kozieł przestał być człowiekiem zdolnym do ruchu. Dostał zapomogę, nie wrócił już do pracy. Siadywał sobie tylko na niskiej ławce przed portiernią, aby choć w ten sposób brać udział w życiu huty. Zapomoga jego wynosiła złotych 11 i groszy 50 miesięcznie.

Gdy ojcu zdarzył się wypadek, Wanda miała dwanaście lat. Wtedy właśnie dotknęło ją szaleństwo. Bo oto pewnego dnia stanęła przed ojcem i oznajmiła mu krótko:

— Ja i Edek idziemy do gimnazjum.

— Do... dokąd? — wyjąkał ojciec.

— Do gimnazjum!

I gdyby ta dziewczyna nie była rzeczywiście szalona, nie siedziałaby teraz koło Mietka jako uczennica ósmej klasy, spokojnie cerując skarpetki, tylko by przesypywała przez palce tysiące zapałek dziennie w pobliskiej zapałczarni, przesypywałaby je dziś, jutro, pojutrze, aż do śmierci. Tymczasem siedząc na moście Wanda układała już ostatni rok nauki i łamała sobie głowę, jak dać radę uniwersytetowi.

— Czego ty chcesz? — pytał ją przerażony zuchwałością ojciec.

— Ja? Będę inspektorem pracy, Faterku.

Tu na moście można z nią było siedzieć, ale w mieście Mietek się Wandy wstydził. Latała zadyszana z korepetycji na korepetycję, o każdej porze roku w letnim dziwacznym palcie, mającym tę cechę, że się nie zapinało, ale łopotało rozwartymi połami na wietrze, jak sztandar. Zaczepiona śmiała się o wiele za głośno, jak na gust Mietka, w biegu rzucała kilka słów i tyle ją widział.

Figa siaduje u „szalonej Wandy" pod oknem na drewnianym kuferku, okutym wiejskim obyczajem żelaznymi obręczami, od czasu do czasu uderza obcasami w drzewo i cieszy się, że kufer odpowiada. Stąd obserwuje Faterka, jak na żelaznym piecyku gotuje „fitkę" dla całej rodziny. Figa przepada za talerzem gorącej „fitki" od Faterka. Jest to wprawdzie tylko zwykła, nawet nieokraszona, kartoflanka, ale Faterek ma, jak twierdzi, sposoby, aby była zupełnie wspaniała. Z okna od Faterka nie widać prawie nic, wszędzie na parapecie pelargonie i pelargonie przesłaniające świat.

— Dlaczego tak, Faterku? — pyta Figa wskazując okno.

— E, bo na co tu patrzyć, moje dziecko? Stąd nie ma widu na hutę. — Ten „wid" to prywatna własność Faterka — nikt inny w fabryce tak nie mówi. Faterek jest jednym z najstarszych pracowników, pamięta kolejno przychodzących i odchodzących dyrektorów i robotników, pamięta świetnie 1905 rok w hucie. „Sprawiedliwy rok" — jak mówi Faterek; tu właśnie na kuferku pod pelargoniowym oknem, Figa dowiaduje się, że w 1905 roku zastrzelono w polu dyrektora. — Tego nie zrobili robotnicy — mówi Faterek — to ktoś spoza huty. Ale to było sprawiedliwe.

I kiedyś na moście Figa powtarza te rzeczy Mietkowi.

— Dranie, ach dranie — szepcze Mietek.

A wiosna zapowiadała się tak dobrze, tyle w niej było nadziei na tę bliską uniwersytecką przyszłość, męską i samodzielną, najprościej prowadzącą do celu. I pękła, wiosna pękła na pół, rozleciała się i już więcej nie zebrała się tego roku.

Rozbił ją naturalnie ojciec.

Poszedł pewnego ranka jak zwykle do pracy i nie wrócił. Wszyscy inżynierowie i urzędnicy pojedynczo lub grupami wyszli zgodnie z fabryki, jeden tylko ojciec przyłączył się do polskiego strajku. Tego dnia nie było „buczka" o szóstej wieczorem, bo o czwartej po południu wybuchł strajk. Robotnicy zamknęli portiernię i przy drzwiach postawili straż, następnie przeszli do walcowni i tu założyli główny punkt okupacyjny. Tak opowiadali ci urzędnicy, którzy z huty wyszli ostatni. Figa wylazła natychmiast na płot i tam siedziała z godzinę, ale zapłakanej matce nie umiała udzielić żadnej ważniejszej informacji o tym, co widziała.

— Pusto — mówiła — mamusiu, zupełnie pusto. Samowarek stoi na szynach na wprost trójki, wózki w porządku ustawione przy lewej bramie, nikogo nigdzie nie widać. Przy portierce tylko kręci się jakichś dwóch, a na ławce tkwi jak zwykle Faterek.

— Ach ten ojciec, ten ojciec, jak on się nie wstydzi tak szaleć — płacze matka i jeden tylko widzi ratunek w tym wszystkim: sprowadzić ciotkę Bronkę. Mietek o szóstej wieczorem nadaje telegram do Warszawy, wzywający ciotkę-pannę.

Wieczorem koło ogródków zbierają się inżynierowie i omawiają bieżące wypadki.

Stary, siwy kasjer, właściciel najlepiej utrzymanego ogródka, pochyla głowę nad grządką kiełkującej pietruszki i zwierza się po cichu żonie, szyjącej w kącie na ławce.

— Moja droga, nie denerwuj się, przecież oni w gruncie rzeczy mają rację i ja, żebym nie był otępiały stary piernik, powinienem być z nimi. Ich jeszcze stać na idealizm — wskazał nieznacznym ruchem ręki inżynierów — mnie już nie. Żeby nie twoje szycie i moja koza — kiepsko byśmy, moja stara, lądowali.

W kącie ogródka kasjer zbudował z desek maleńki domek; żyje w nim i mieszka duża koza krowiarka. Kasjera nie stać na kupowanie co dzień mleka, hoduje od lat kozy. Gdy jednak grupa inżynierów zbliża się do ogródka kasjera, ten milknie pochłonięty naraz podlewaniem wschodzącej rzodkiewki.

— A ja panu mówię, panie inżynierze, że nie wskórają nic — i to szelmostwo z ich strony zaczynać strajk teraz, gdy wiedzą, że mamy pilne zamówienie. Dyrektor jest na szczęście twardy i nawet zawiadowca nie przejedzie mu się po nosie. Polityka ustępstw jest polityką niezdrowego kompromisu. Kto raz skapituluje, ten będzie miał ładne konsekwencje! Pan sobie wyobraża, panie Śmielecki, jakbyśmy wyglądali, gdyby cała hutnicza banda zaczęła nam dyktować prawa?

— No, dobrze, ale jak właściwie mamy traktować na przyszłość zawia-

dowcę? Przecież tym fatalnym posunięciem postawił między sobą a nami chiński mur.

— Pan się nad tym zastanawia, panie Śmielecki — to widocznie nie ma pan większych zmartwień. Ja widzę tu dwie drogi: albo się przez ten mur przeskoczy, albo nie. Ja tam nie jestem skłonny do skoków — replikuje inżynier Maliszewski.

Gorzej z babami. Ale już one znajdą formy współżycia z żoną zawiadowcy tak, aby się jednak z nim nie stykać. To bardzo miła, kulturalna kobieta, ale szczęśliwa z tym swoim wariatem to ona nie jest.

Wszystko to słyszy Mietek stojąc opodal okna sypialni i ma już tego wszystkiego dosyć.

— Mamusiu, idę do fabryki, muszę pomówić z ojcem!

— Idź, synu, ale wracaj zaraz!

Figa bezgłośnie skrada się na palcach do kredensu. Łapie pół bochenka chleba.

— Mamusiu, ja idę też — rzuca tylko od drzwi wyjściowych i nie czekając odpowiedzi gna co sił ze schodów.

Na podwórku rozmawiający inżynierowie i urzędnicy rozstępują się przed idącym szybko Mietkiem. Mietek czerwony, spocony i zły dociera nareszcie do portierni.

— Kto idzie? — pada zza zamkniętych drzwi.

— Zdążyli już zrobić judasza — stwierdza Mietek z niesmakiem.

Chwilę trwają szepty, ale słowa Figi drżące na wąziutkiej granicy między normalnym głosem a płaczem: — Puśćcie mnie, Faterku, ja muszę do tatusia z chlebem — rozstrzygają spór. Portiernia staje otworem.

— Czego ty się, Figa, za mną wleczesz? — gniewa się Mietek.

— Tylko nie krzycz, ty wiesz, że ja muszę — powtarza uparcie Figa.

Wobec zgiełku panującego na podwórku kolonii huta jest tak cicha, że aż Mietka boli w piersiach od oddychania tym dziwnym spokojem.

Między portiernią a kantorkiem zawiadowcy, na przestrzeni 250 metrów, ani żywego ducha. Wielki piec dymi, ale tak anemicznie, że chyba gaśnie, do pioruna! Jeszcze parę dni i wygaśnie! Co za strata! Jak można dopuścić do takiej straty! Jak oni śmią? — kipi Mietek.

Stalownia, najjazgotliwsza zawsze gwoździarnia milczą, jakby naraz nie miały nic do roboty, drezyny zatrzymane w biegu na środku placu między wielkim piecem a walcownią stoją bezczynnie, zaryte w pogmatwane szyny. Pustka, cisza, bezludzie.

Podchodząc do walcowni Mietek nastawiał się, że ciszę coś przerwie znienacka. Tymczasem i tu jak makiem siał.

Figa drży, boi się ciszy! Wolną, zaciśniętą piąstką wali do olbrzymich drzwi głównej hali walcowni. Cisza, nikt nie otwiera, żadnego dźwięku. Rozsiadła na parterze walcownia zdaje się być zupełnie pusta. Figa wspina się do okna. Za wysoko.

— Tatku! — krzyczy Figa desperacko. — Tatku! To tylko Mietek i ja! To tylko my!

Wtedy w oknie pojawia się na chwilę głowa ojca i natychmiast niknie. Drzwi otwierają się.

— Cóż to za idiotyczne zamykanie się? — rzuca głośno Mietek.

— To nie zamykanie się, to polski strajk, panie Mieczysławie — odpowiada twardo pierwszy palacz z wielkiego pieca.

Drzwi ciężko zapadają za Mietkiem i Figą. Krótki okrzyk i Figa już wisi na szyi ojca. Z rąk wypada chleb i toczy się przez chwilę po nierównej podłodze.

Mietek staje na środku walcowni i obejmuje ją spojrzeniem. Wnętrze wyprzątnięto, wymieciono odpadki metalu i ułożono w jaśniejące po kątach stosy. Narzędzia skupiono na kilku półkach pod ścianami, na innych opróżnionych śpią twardo robotnicy, którzy mieli ostatnio nocną zmianę. Olbrzymie szczypce do chwytania walcowanych blach leżą spokojnie na swoich miejscach. Mietkowi dziwnie jakoś wydają się one przygotowanym narzędziem walki. Zewsząd poznoszono ławki i stołki, belki, kozły i zaimprowizowano siedzenia dla strajkujących.

Głowa koło głowy koczują tu ludzie w ciemnych roboczych koszulach. Nie zwracają zbytniej uwagi na Mietka. Prawie wszyscy zajęci są czyszczeniem narzędzi swej pracy. Nie ma oczywiście w tej wielkiej ciżbie za wiele miejsca, toteż wszyscy prawie siedzą nie poruszając się bez istotnej potrzeby! Ręce tylko są w ruchu.

Mniej więcej pośrodku hali fabrycznej siedzi ojciec. Marynarkę zdjął. Młodo wygląda jego twarz w ramie gładkich ciemnych włosów i białego kołnierza koszuli. Najwidoczniej przerwał czytanie książki rozłożonej jeszcze na kolanach. Skupienie robotników koło niego świadczy o tym, że czytał głośno innym, nie sobie.

Mietek staje przed ojcem, wzrokiem omijając jego oczy, zaostrzone pytającym spojrzeniem.

— Chciałbym z tobą, ojcze, pomówić bez świadków.

— Niestety, tu nie ma miejsca na rozmowy na osobności!

Robotnicy mimo szczupłego pomieszczenia odchodzą dalej. Między ojcem a Mietkiem na przestrzeni jednego wolnego kroku stoi Figa, oczami wodząc od jednego do drugiego. W perspektywie wielkiej sali setki oczu i cisza najcichsza z cisz.

— Trzeba aby ojciec wrócił z nami do domu — mówi Mietek i sam dziwi się, że tak łatwo sprecyzował to, o co mu chodziło.

— Trzeba? A dlaczegóż to trzeba? — pyta ojciec trochę ironicznie.

— Bo wszyscy inni wrócili i postawa ojca wobec strajku stawia nas w bardzo głupim świetle, w nieznośnej sytuacji, ośmiesza nas. Co ojciec ma z tym wspólnego? Ten strajk to przestępstwo! Przestępstwo wobec najświętszej idei działania, przestępstwo wobec zarządu i konsumentów! Ojciec nie tylko solidaryzuje się z przestępcami, ale jeszcze przewodniczy im. To wstyd!

Ojciec milczy. Na krótki moment obejmuje wzrokiem stłoczonych robotników.

— Gdzieś ty wyczytał te brednie? — mówi wreszcie głosem bezbarwnym, niższym tylko niż normalnie o kilka tonów. — To ten twój amerykański James oświecił cię najświętszą ideą działania? Wobec tego nie potrzebujesz już robić z głowy poważniejszego użytku. Przykro mi, że przynoszę ci tyle wstydu, ale idź sobie, mój synu, do domu i pozwól mi tylko, że tak jak ty sam rozstrzygnąłeś, przy czym chcesz być, tak i ja wybrałem swoje miejsce i stoję na nim dość mocno, jak mi się zdaje. — Wstyd ci? Miałbyś dużo więcej powodów do wstydu, gdybym teraz wstał i poszedł z tobą do domu.

— Czy to jest twoje ostatnie słowo, ojcze? — głos Mietka jest zły.

— Nie, pozdrów jeszcze ode mnie matkę — mówi już zupełnie cicho ojciec.

Mietek odchodzi. Od drzwi ogląda się jeszcze za Figą. Figa stoi oparta plecami o kolana ojca z oczami utkwionymi w drzwi.

— Figa, idziesz ze mną?

Brak odpowiedzi. Oddalona fala ludzka skupia się zwolna znów wokół ojca. Na froncie czerwienieje sukienka Figi. Między tłumem a Mietkiem leży porzucony przez Figę chleb.

Bez słowa mija Mietek bledniejącą we wczesnym wieczorze hutę. Nisko opadłe dymy z wielkiego pieca, rozwieszone niby zwoje pajęczej tkaniny na wysokości jego kolan, wydają mu się przeszkodą złośliwą i niebezpieczną, przeto obchodzi je z daleka, nie ufając ani im, ani wydeptanej ścieżce. W oknie sypialnego pokoju odróżnia sylwetkę matki i żałosny gest białej chusteczki, o wiele powolniejszy od tego, którym się wita kogoś lub żegna. Mietek przyśpiesza kroku. Pragnie jak najprędzej oddalić się z tego miejsca, w którym był szczęśliwy tylko wtedy, gdy był dzieckiem. O Faterku, o ludziach z portierni, myśli z ciężką goryczą. A niech ich diabli! — Skręca na prawo pod kątem prostym tuż koło kantorku i przez hałdę idzie na śmietniki, szczytami swymi sięgające prawie szczytów muru. Tędy przejdzie. W ten sposób uniknie portierni, Faterka, stróża Kowalskiego i pary szeroko rozstawionych oczu „szalonej Wandy". Tędy najlepiej. Tędy przecież szło się zawsze, utykając niepewnie w mroku, na niedozwolone drezyny fabryczne, tędy się wracało, skacząc w dół, przywierało znienacka piersią do trzeszczącego wieka śmietnika i przeczekiwało powłóczące kroki stróża Kowalskiego. Tędy najlepiej.

Gdy postawił nogi na deskach śmietnika i deski odpowiedziały jego stopom zwykłym trzaśnięciem, zobaczył w dole na ziemi Kapla rozpłaszczonego prawie, to znów podrywającego się do góry. Machnął z wysiłkiem czerwonymi skrzydłami i frunął na śmietnik. Ze śmietnika wdarł się na mur. Lewe skrzydło podnosiło się i opadało przez chwilę na starym, zmęczonym sercu, otwarty szeroko dziób z trudem łapał powietrze. Mietek stanął i patrzył. Kapel przysiadł na murze z podkulonymi nogami i spojrzał na drugą stronę w dół. Gdy był młody, przemierzał tę przestrzeń bez chwili namysłu jednym machnięciem skrzydeł. Dziś to nie było takie łatwe. Toteż Kapel dreptał w miejscu, zatrzymywał się, przysiadał, rozwijał skrzydła i znów dreptał. Naraz odwrócił się

i bezradnie spojrzał na Mietka. Wtedy Mietek wszedł na śmietnik, wziął koguta pod pachę i postawił go na ścieżce, prowadzącej do zagrody z kurnikami. Potem nie oglądając się ruszył w stronę domu. Dopiero na kamiennych schodkach przystanął i ponad śmietnikiem spojrzał na hutę. Szarzała rozrastając się na płask. Od jej przeczuwanych już tylko w mroku kominów szła noc. Z jasnej krawędzi muru zapadł ciężko w tę noc kulawy Kapel. Przez chwilę jeszcze migotał pod powieką Mietka czerwony sierp. A potem po hałdach fabrycznych poniosło się pianie. Mietek zamknął drzwi.

„Kochana Wando! — pisał tego lata Mietek do „szalonej Wandy", spędzającej wakacje u koleżanki w Tomaszowie. — Widzę, że jesteś nadal tak samo szalona jak dawniej, skoro zamiast odpoczywać po roku wytężonej pracy, latasz po Tomaszowie i zbierasz materiały do pracy o zatruciach siarczkiem w fabryce sztucznego jedwabiu.

„A przy tym roznamiętniasz się za bardzo, moja droga. Każda praca pochłania ofiary i trudno, abyśmy z tego powodu przestali pracować. Ciekaw też jestem, czy — gdy nabierzesz pretensji — zgodzisz się na nienoszenie jedwabiu dlatego, że ktoś z tego powodu cierpi?

„Pytasz o Figę. Zdała do szóstej klasy. Podobno bardzo dobrze się uczy, ale nie jest pierwsza w klasie. Zresztą jej szkoła w tym stopniu nie interesuje, co organizowane przez ojca świetlice, żłóbki oraz opracowywanie jakichś zupełnie niesamowitych projektów, które by, nawiasem mówiąc, rozwaliły przemysł. Ojciec miał zawsze duży wpływ na Figę i nienajlepszy.

„Ale nie o tym chcę pisać, od początku mam zamiar pisać o Tobie.

„Jestem wobec Ciebie szczery i przyznam Ci, że jesteś zbyt ładną dziewczyną, aby mężczyzna przeszedł koło Ciebie obojętnie. Twoja uroda jest Twoim najlepszym sprzymierzeńcem, nie powinnaś tego lekceważyć. Tymczasem robisz wszystko, aby się Twoją urodą nie interesować. — Wybrałaś rolę kobiety wojującej, uwzięłaś się na kilka idei i nie przestajesz wymachiwać nimi jak sztandarem. Zastanów się, czy masz rację, zastanów się, czy wytrwasz w tym! W gruncie rzeczy, przecież każda z was najbardziej pragnie męża, domu i dziecka, a mężczyzna poza pracą zawodową chce mieć dom zorganizowany tak, aby ten dom był czysty, wygodny i zawsze przygotowany na azyl dla jego kilkugodzinnego odpoczynku. Dlatego w domu potrzebna jest kobieta, która go buduje, dba o niego. — Społeczna rola kobiety — to rola żony i matki, a to nie byle jaka rola!

„Takie jest moje zdanie. Obawiam się, Wando, że Ty odbiegając tak daleko od tych z natury wynikających warunków życia kobiety, krzywdzisz się i na glinianych nogach stawiasz swoje szczęście.

„Pomyśl o tym, jeżeli Ci się zechce!

Mietek".

Na ten list nie otrzymał nic prócz małej kartki z dwoma zdaniami:

„Mietku! Metaforycznie nazywają mnie szaloną, nie rozumiem, czemu Ciebie nie nazywają dosłownie fiołem?

„Wybacz szczerość, ale — przy pozorach rozumu — bardzo niewiele rozumiesz.

Wanda".

IV

Poprzez zakurzone okna koszar na Aniołowie wrzesień 1939 roku nie mógł nabrać jesiennych barw.

Mietkowi, mijającemu dość często rozległy budynek, wydawało się, że jego wnętrze musi być obrzydliwe. Teraz miał sposobność przekonać się o tym naocznie.

A przecież, mimo że okno nie odsłaniało nic ze świata prócz obszaru śmietniska spiętrzonego odpadkami jedzenia, mimo że świat leżał tu skromnie w kilku głęboko w ziemię zarytych chałupkach i brudnych żydowskich domostwach — Mietek sterczał w oknie tak, jakby z tej właśnie strony spodziewał się rozstrzygnięcia swego wojennego losu.

W zatrzymaniu się czasu, w zlaniu się nocy z dniem, minuty z godziną, w stężeniu nerwów na wyczekującą nieczułość i zapaść, rozstrzygnięcie to mogło nadejść skądkolwiek. Zaczaiło się może nawet w niepewnym kroku żydowskiej dziewczyny, rozwieszającej na płocie kraciastą pierzynę. Dziewczyna osłaniając oczy przed blaskiem, szukała na niebie gwiazd czy śladów wojny, w którą Aniołów nie uwierzył jeszcze. Z odległości podniesiona w górę twarz żydowskiej dziewczyny, z oczami szeroko rozstawionymi — wydała się Mietkowi twarzą „szalonej Wandy" wzniesioną ku oczom ojca.

Tego obrazu należało się pozbyć natychmiast, aby móc cierpliwie i spokojnie doczekać rozstrzygnięcia losu.

Ale teraz Wanda natarczywie wraca i zawsze z Figą lub z ojcem. Że matka już od wielu lat nie przyjeżdża od babki — to nie tłumaczy niczego. To nie tłumaczy faktu, że Wanda idzie z ojcem pod rękę łąką żółtą od kaczeńców, że oboje z ojcem mają krok najszczęśliwszych: rytmiczny i lekki, wytańcowujący coś, co przeżywają razem młodo i radośnie. Mietek widzi przecież, że Wanda zrobiła się piękna, oczy ma połyskliwe i zawieszone stale gdzieś poza granicami oczu Mietka. Na ustach jej pojawia sę uśmiech bez przyczyny dostrzegalnej dla Mietka, a uśmiech Wandy jest sidłem dla każdego, zamyka bowiem w sobie czar wszystkiego, co Mietek zdołał w kobiecie dostrzec i przed czym zawsze trzymał się na wodzy.

Objawił mu się ten uśmiech w Kopenhadze, w niewielkiej galerii sztuki wczesnych Flamandów, gdy jako sekretarz dyrektora śląskiego koncernu węglowego, pana Wdowińskiego, podróżował wraz z nim po Europie.

Niewielki obrazek, na nim skrawek morza i rybaczka na brzegu. Nic prostszego, ale uśmiech tej kobiety, skierowany do morza i czegoś odeń wyczekujący — ten uśmiech uświadomił Mietkowi, że jeżeli mu ulegnie, pojedzie na-

tychmiast do Wandy i powie jej to, co następnie powiedział obecnej swej żonie, Helenie.

— Reprezentacyjną ma pan żonę, panie Mieczysławie — chwali dyrektor Wdowiński Helenę po przyjęciu u Mietka. — Opanowana, spokojna, ładnie zagospodarowała wasz dom.

Rzeczywiście ładnie. Wszędzie kwiaty, zawsze pod ręką popielniczka, nóż do przecinania kartek, zakładka do książki. Na małżeństwo z Mietkiem zdecydowała się łatwo w lęku, aby nie zażądał od niej czegoś trudniejszego. Tym lękiem ujęła Mietka. A potem bała się już wszystkiego: ciąży — przy jednoczesnym pragnieniu dziecka, strajków rolnych i fabrycznych — z jednoczesną nieodpartą wiarą w siły sfer rządzących, teścia — wraz z lekceważeniem wszystkiego, co mówił i robił, nawet wątłej, zadumanej wieczyście nad życiem Figi.

— Mieciu — budziła go ciemną nocą — dziecko poruszyło się we mnie. Boję się — szlochała.

— Nie przeżyję tej ciąży, skończy się cesarskim cięciem, zobaczysz!

— Odłóż tę książkę, mój drogi, zbadaj mi puls.

Lubiła życie zamknięte, w mieszkaniu z kwiatem, popielniczką, zakładką, z mężem punktualnym i „uważającym", z częstymi oświadczeniami miłości.

Ostatniej nocy przed wyjściem do koszar na Aniołowie Mietek nie spał ani chwili. Leżąc przy wstrząsanej płaczem Helenie słuchał jej nerwowego rytmu serca i myślał z niepokojem, że na darmo szukałby u niej akordów współbrzmiących. Dziwnie zachciało mu się tej nocy ostatniej żyć i po prostu potraktować wojenną wyprawę. Ranek zastał go rozbitego doszczętnie. Zaawansowana ciąża Heleny, przyjmowana przez nią histerycznie, dokuczała mu troską nie do zniesienia. Żegnał żonę z tą samą dozą obaw, co i tajonej głęboko ulgi.

Wpadł jeszcze na chwilę do Wdowińskiego i prosił go, aby zaopiekował się Heleną, ponieważ on jeden działał na nią uspokajająco. W jego towarzystwie była zawsze „reprezentacyjna", chętnie ubierała się w spokój i odwagę.

Wdowiński klepnął Mietka przyjaźnie po ramieniu.

— Nie denerwować się, tylko się nie denerwować, panie Mieczysławie. I tę wojnę przetrwamy, abyśmy tylko mieli dość w kieszeni. Groźby Hitlera, to zwykły *bluff*, jako oficer przekona się pan o tym prędzej ode mnie. Hitler wojny nie wygra, nie rozumiem, po co ją zaczął. — Panią Helenę weźmiemy pod opiekę, bądź pan spokojny!

Dziewczyna żydowska już dawno wbiegła z powrotem do sieni, niebo bez skaz nie zapowiada nic nieoczekiwanego. Z oddali tylko idzie głuchy pomruk.

Ach, żeby tu mieć przy sobie Józka Starzyńskiego i w rozmowie z nim oderwać się od ciężaru konkretności tej sali koszarnianej.

Rozkrzyżowany na nagiej podłodze śpi chrapiąc niesamowicie młody robotnik. Chrapliwy oddech wyziewa opary alkoholu. Mobilizacja zaskoczyła go pośród walczyka na własnym weselu. W klapie czarnego ubrania więdnie biały goździk w obramowaniu skulonych i żółknących już gałązek rozmarynu. Na

czerwone zgrzane czoło spada kosmyk zlepionych jasnych włosów. Siedzący i stojący wokół śpiącego żołnierze coraz rzucają jakieś uwagi.

— Ten ci był mądry, że się przynajmniej spił, nie siedzi teraz i nie trzęsie się jak barani ogon.

— A kto-ci się znów trzęsie jak barani ogon, idioto? — odparowuje młody człowiek w mundurze kolejarza. — Mobilizacja to nie wojna jeszcze. Zobaczycie, jutro pójdziemy do domu, a ten młody żonkoś nie uwierzy nawet, że przespał noc poślubną w koszarach.

— Nie zawracaj pan głowy! Ludzie znad granicy uciekają podobno, zostawiają wszystko, aby tylko głowy unieść, a pan w wojnę nie wierzy — mówi ktoś wolno z głębi sali, owijając nogi troskliwie onucami i usiłując wbić na stopy za ciasne fasowane buty.

— Widziałeś pan?

— Nie, nie widziałem, ale szedłem trzydzieści kilometrów, bo nie dostałem się już na pociąg i w drodze niejednego się nasłuchałem.

— Jakżeś pan nie widział, to nie szerz paniki, bo niedaleko na tym zajedziesz — głos mówiącego brzmi ostro.

Rozmowy milkną. Ruch wszczyna się na korytarzu. Do sali wchodzi grupa nowoprzybyłych zmobilizowanych. Rozglądają się bezradnie. Nie mą już dla nich miejsca siedzącego, niedługo i stojących zabraknie. Z korytarza dobiega gniewny głos oficera.

— Tak nie może być — termin stawienia się do koszar musi być zachowany.

— Melduję posłusznie — tłumaczy się ktoś — że nie znalazłem żadnego środka lokomocji, stawiłem się w najbliższym czasie piechotą.

— Zmobilizowany ma prawo zatrzymać każdy samochód na drodze i zażądać odwiezienia do koszar. — Nie spotkaliście żadnego samochodu?

— Owszem, spotkałem. Wszystkie szły z zachodu w kierunku wschodnim, żaden nie zatrzymywał się na sygnał. Prywatne samochody wożą uciekających znad granic niemieckich. Drogi zapchane.

— At, nie przesadzajcie — kończy oficer rozdrażnionym głosem.

Prawda, myśli Mietek, że Józek już nawet teraz byłby uchwytny. Amnestia przecież. W jaki sposób Józek aż tak się skompromitował, Mietek nie rozumie. Przez szereg lat prowadzić podwójną buchalterię w gospodarce korporacyjnej? Zaprzepaścić trzydzieści tysięcy? — Gdy Mietek odwiedził Józka w więzieniu, nie poznał go. Józek był niby dawnym Józkiem, ale przybył mu jakiś dziwny niedbały ton w mówieniu i zmienił zarys ust. Do kogoś Józek zrobił się podobny? Ale do kogo? W kącikach ust Józka czai się coś, co daje wrażenie przeżycia czy cynizmu. Podczas odwiedzin Mietka rozdrażniony Józek mówił nieodpowiedzialne rzeczy. Mietek nie pytał go o nic. Józek wybuchnął sam.

— Na końcu języka masz pytanie, skąd mi się wziął pociąg do złodziejstwa. Szkoda, że nie pytasz, pytaj! Odpowiadam chętnie. Przez rok miałem już czas to i owo przemyśleć...

— To nie ja powinienem tu siedzieć — głos Józka przechodzi w krzyk. — Ale ci, którzy mnie i ciebie nauczyli bić i zabijać! Dlaczego bijący nie miałby

kraść? Czy to takie dalekie jedno od drugiego? Najbardziej śmieszą mnie oburzający się na mnie koledzy, tak jakby w wielu z nich nie siedziało to samo co we mnie.

— Marzę o wojnie — zakończył — niech zetrze to wszystko w pył i niech postawi coś nowego na to miejsce.

Cały czas Józek mówił tylko o tym jednym, potem spokojnym ruchem odwrócił się na twardej pryczy plecami do Mietka i nie powiedział już ani słowa.

Dzień się kończy. Śmietnisko za koszarami powleka łagodna mgła, kłęby jej — rozwleczone zrazu mlecznymi smugami po ziemi — parują wyżej, obłoczeją, tworzą rozrzedzone niebo poniżej prawdziwego. Świat staje się ciasny, bliski, widoczny tylko o krok.

Los przybliżył się, stoi od Mietka już o krok, wyjść może zza pierwszej mgły.

Nie chce się Mietkowi pić kawy ani jeść żołnierskiego chleba. Wali się na swój w kącie leżący oficerski siennik i usiłuje przypomnieć sobie, do kogo podobny jest Józek.

Do Wdowińskiego, oczywiście że do niego.

Wdowiński siedzi obok Heleny na proszonym podwieczorku. Koncern węglowy dał *rendez-vous* koncernowi naftowemu, Mietek występuje tu oficjalnie jako sekretarz. Helena pełni rolę gospodyni. Ale Helena, żyjąca akurat w fazie lęku przed falą strajków przemysłowych, wybuchających na przemian to w Zagłębiu Dąbrowskim, to w Zagłębiu Śląskim, zwierza się Wdowińskiemu ze swych obaw. Mietek widzi dokładnie jej bladą twarz, bledszą niż zwykle z niepokoju. Wdowiński całuje Helenę w rękę i pociesza trochę śmiesznie, jak małą dziewczynkę. Ale oczy Heleny pozostają nadal niespokojne.

I wtedy właśnie Wdowiński staje się bardzo podobny do Józka Starzyńskiego, kiedy — pochylając nisko głowę nad stołem — uśmiecha się uprzejmie do dyrektora Żłobickiego i mówi powoli:

— Dla nas to wszystko nie ma specjalnego znaczenia. Nie widzę żadnej groźby ani dla siebie, ani dla dyrektora Żłobickiego, a przez to i dla mego sekretarza. Dziś inwestujemy tu, póki się da, jutro możemy inwestować choćby na przykład w Kongo Belgijskim. Tak jest.

Gorąco tu jest w tych koszarach, duszno, tylu ludzi śpi na jednej sali, tylu pali.

Kto jeszcze mówił kiedyś o inwestowaniu gdzieś?

Acha, ojciec. Mietek wtedy przyjechał z politechniki na parę dni podczas wakacji do ojca. Ojciec siedział w gabinecie z Wandą, Figą i Piotrowskim nad stertą gazet. Pierwsze kolumny pism były prawie jednakowe, wszystkie roztrząsały sprawę zabójstwa Francuza, dyrektora Żyrardowskich Zakładów Przemysłowych.

Na widok Mietka ojciec żywo wstał z miejsca i wyciągnął do niego rękę. Jednocześnie oczy ojca ześliznęły się z twarzy syna i zatrzymały na klapie jego marynarki, zdobnej w srebrny mieczyk. Wtedy ręka opadła.

Z głębi gabinetu doszedł Mietka stłumiony głos ojca:

— On właśnie mógł inwestować gdziekolwiek i w cyniczny sposób okazywał

to w Żyrardowie. Zabójca był przez długi czas zmuszany do ostatecznego aktu rozpaczy.

Gdyby Mietek miał teraz wypowiedzieć swą ostatnią wolę — poprosiłby, aby siadła tu koło niego na sienniku „szalona Wanda" ze skarpetami dla ojca czy brata i pomilczała przy nim, jak kiedyś na moście. A może Józek, może matka, może babka? Nie, właśnie Wanda, nieuleczona dotąd z szaleństwa. Ale ona nie siądzie. Mietek domyśla się, wie nawet, co robi teraz Wanda.

Okno. Za oknem jesion dotyka gałęziami szyb. Wanda stoi przy tym właśnie oknie i wznosi twarz do twarzy ojca — jak żydowska dziewczyna do nieba — i z tym wzrokiem w oczach ojca czeka na swój wojenny los.

Dlaczego tak jest, dlaczego tak się dzieje, że udziałem Mietka jest samotność w tłoku nagromadzonych ludzi?

Za oknem koszar nie widać już nic. Świat zza szyby znikł, przeniósł się do wnętrza pokoju. Darmo szukałbyś losu we mgle za oknem. Wpłynął ze światem do wnętrza pokoju.

Majaczy się Mietkowi jeszcze we wspomnieniu rozległe śmietnisko, dziewczyna rozwieszająca kraciastą pierzynę, jej szeroko rozstawione oczy i twarz za szeroka, aby ją nazwać ładną, a zbyt piękna, aby ją nazwać brzydką. Zza mgły wyłania się grupa ludzi... Idą. Już są na korytarzu, słychać ich głosy.

Drzwi do sali Mietka otwierają się z impetem.

— Zróbcie-no tam chłopcy trochę dyskretnego światła — mówi ktoś. Robi się ruch. Wielu śpiących nerwowo zrywa się na równe nogi z okrzykami.

— ...Co się stało? — Czy już?

Nikłe zamaskowane światło oświeca grupę przybyłych — częściowo umundurowanych żołnierzy, częściowo cywilów. Mietek patrzy na jednego z nich w randze porucznika. Młody chłopiec ma w oczach nieprzemijające osłupienie. Nie patrzy na nikogo, nikogo nie dostrzega. Poszarpany na piersiach mundur odsłania koszulę brudną i mokrą od potu.

— Co to jest, skąd jesteście? — padają od ścian pytania.

— My spod Janowa — mówi bezbarwnie porucznik — to moi chłopcy... — wskazuje na grupę.

— Skądżeście się tu wzięli, czy tu wasza jednostka?

— Nie. Przypadkowo dostaliśmy się na ciężarówkę, która nas tu przywiozła.

— Gadajcie o co chodzi, dlaczego nie w swojej jednostce?

Wszyscy milczą.

Mietek odstępuje porucznikowi pół siennika i zaprasza go do siebie. Inni robią to samo z resztą. Porucznik siada na brzeżku Mietkowego siennika. Osłupienie nie ustępuje z jego twarzy.

Milkną na nowo głośne rozmowy. Słychać tylko szepty.

— Powiedzcie-no mi kolego — prosi Mietek — co się stało?

— Jesteśmy rozbici — oznajmia krótko oficer.

— Ale dlaczego?

— Dlaczego? Pan się pyta dlaczego! Dlatego, że oni od swojej granicy idą osłonięci górą samolotami, dołem ogniem artyleryjskim, jak tarczą. Idą, dobre

sobie, idą! Tam prawie nikt nie idzie. Wszyscy jadą. Czołgi, czołgi, czołgi. Samoloty i czołgi. Tysiące. Wyjdźcie przed koszary, spojrzyjcie na zachód, wszystko w ogniu!...

— Papierowe czołgi, maskowane rewie, fotomontaże filmowe! Ach, cóż za łajdactwo! A my bez mundurów, bez butów, bez broni i gołe pazury na czołgi, gołe łby na bomby. Rozbili nas natychmiast, z pierwszego impetu...

—A u was to samo. Chłopcy nie umundurowani, połowa bez broni. A jak z dowództwem?

— Nie wiem jeszcze — mówi Mietek — i dopiero teraz uświadamia sobie, że faktycznie nie wie tego jeszcze.

— No tak — mówi oficer — to znaczy, że już wyjechało, tak jak u nas przed paru godzinami.

— Co wy gadacie — dokąd mogło wyjechać?

— Kierują się wszyscy w stronę granicy rumuńskiej. — I to wszystko znaczy, że z dobrym skutkiem dowódcą stać się możecie wy lub po raz drugi ja.

— Nie potrafiłbym — mówi Mietek.

— Ja też nie potrafiłem — odpowiada oficer i głowa opada mu na piersi.

— Czyście wy z byka pospadali — słychać z kąta półgłos — bomb i armat nie słyszeliście dotąd?

— Słyszeliśmy, ale to podobno ćwiczenia przeciwlotnicze i manewry nadgraniczne.

— Owszem, dobrze mówicie, za chwilę poćwiczą się tu Niemcy z wami i pomanewrują wam przed nosem. Niedługo patrzeć!

— Ile kilometrów stąd? — pyta Mietek.

— Nie dalej niż czterdzieści. O świcie powinni być.

Inaczej już teraz brzmi za oknem noc, noc pierwszego dnia wojny.

Na salę wpada kilku oficerów. Wywołują z grupy nowoprzybyłych: Mietkowego oficera i jeszcze kilku ludzi. Na natarczywe pytanie o buty, mundury i broń pada odpowiedź:

— Spokój, porządek, posłuszeństwo i gotowość!

— Silni, zwarci, gotowi — podpowiada ktoś.

Salę zalega denerwująca cisza, rozszeptana tylko po kątach urywkami rozmów.

Noc za oknem woła do Mietka głosem pierwszego dnia wojny i głosem klęski.

— Ach, więc to tak?

A może można by było jeszcze raz wyleźć na płot i patrzyć, przyglądać się godzinami hucie, oderwać oczy od kominów wielkiego pieca, by zatrzymać je na rozpędzonym w wędrówkach po paprociach Zielonego Ogrodu — Kaplu. Może by pochylić twarz nad mikroskopem i zobaczyć w soczewce odbicie głów ojca, Piotrowskiego, Figi i Kapla? I własnej obok nich. — Może by wprost od flamandzkiego obrazu pójść do „szalonej Wandy" i powiedzieć jej te słowa, które jej się tylko należały?

Żeby tak spróbować jeszcze raz! Miało by się w piersiach odwagę do sta-

wania dziś za tych, co bili, kradli, inwestowali jak nie tu — to tam, miało by się oddech do podjęcia rozstrzygającego losu wojny. Klęska byłaby klęską na dziś, nie na jutro.

Z płotu, z jesionu, z mostu, z nasypu, patrzy Mietek na wszystko, co minęło.

Szyby koszar dzwonią echem wybuchów. Za oknem czerwienieje nowy, odkryty przez rozbitych, świat.

Mietek wolno wstaje z siennika. Warta przed koszarami przepuszcza go, idzie napić się wody na podwórze.

Różowe odblaski dalekiego ognia, śmietnisko, a na nim cień idącego człowieka. O tu, w tym miejscu, stała żydowska dziewczyna i podnosiła głowę do nieba. Mietek staje tu przez chwilę, patrzy badawczo w bledniejący nad sobą mrok.

Przeszedł przez ulice potrącając w ciemności niepewną stopą pudełko po konserwach. Potoczyło się ze skrzypem po bruku i błysnąwszy zatrzymało się opodal. Mietek z wyciągniętymi naprzód rękami posuwał się zwolna w kierunku głównej ulicy. W ciszy nocy gdzieś z prawa skrzypiały wozy. Ten skrzyp, czasem przeciągłe stęknięcie osi, odprowadzało Mietka od zórz zachodu. Nad nim wisiała gwiazdzista noc — noc, której piękności i ciszy powierzać się pragnęło swój własny los.

— Żydki janowskie uciekają! — szepnął ktoś niewidoczny.

Mietek obejrzał się, ale nie zauważył zrazu nikogo. Dopiero gdy oczy przyzwyczaiły się do mroku, spostrzegł ze zdumieniem, że przed każdym mijanym domostwem stoją nieruchomo ludzie i szepczą patrząc w stronę szosy.

— Nie bój się, Maryś! No nie płacz tak, ja się wrócę!

— Ślij mi list! Pamiętaj! — prosił łzawy szept. — Na, masz na drogę chleb.

— Żydki janowskie uciekają!

Na szosie kolebały się wozy. Naładowane obficie spuszczały do ziemi spęczniałe boki. Skąd ludzie mogli wiedzieć, że na tych wozach uciekają Żydzi z Janowa, skoro nie widziało się nic prócz wysokiego cienia, skoro nie słyszało się nic prócz nieustannego skrzypu zatartych osi? I dlaczego oni tak uciekają? — myślał niechętnie Mietek. Otarł się prawie o zwał kraciastych pierzyn i zdawało mu się, że gdzieś na ich szczycie siedzi dziewczyna o szeroko rozstawionych oczach. Spojrzał w górę, ale w górze były gwiazdy. Położył rękę na sercu jak romantyczny bohater i tym teatralnym gestem uśmierzał ból, jaki sprawiały mu oczy „szalonej Wandy". Wtulił głowę w ramiona, by nie słyszeć nic z głosów pierwszej nocy wojny. I tak szedł przeciw skrzypiącym wozom.

Wydostał się za miasto i tu odetchnął nareszcie prawdziwą ciszą bez szeptów, bez skrzypów, bez nieosobowej obecności jakichś ludzi. Warta zakotłowała się pod mostem i obco zadudniły jego własne kroki. Fabryka Peltzerów, potem zapałczarnia, potem młyny Patrzyka stały w ciszy nocnej bez głosu, jakby

natężając uwagę, jakby czając się na coś. I Mietek stracił do nich zaufanie i skrył przed nimi głowę w ramiona.

Doszedł do huty, ale ominął główną bramę i skierował się w stronę ojcowskiego domu. W portierni zatrzymał go stróż Kowalski ostrym pytaniem:

— Kto idzie?

— To ja — odpowiedział Mietek. — Która to godzina? Ojciec w domu?

Kowalski poświecił zapalniczką, spojrzał na zegarek z rozpędzoną lokomotywą na kopercie, potem na Mietka i odpowiedział:

— Druga czterdzieści trzy. Zawiadowca na hucie z Faterkiem, panią i Piotrowskim. A pan już z powrotem, panie Mieczysławie?

— Ja? A tak, zwolnili mnie. Ale cóż, u Boga Ojca, robi zawiadowca o tej porze na hucie?

— Niech pan idzie, to pan zobaczy. Tam jest duża robota — odpowiedział ociągając się Kowalski i zgasił kopcącą zapalniczkę. Żeby nie to, że mi tu nakazał siedzieć i bramy pilnować — ciągnął jeszcze w ciemności — to bym też szedł na hutę.

Mietek potknął się o świeżo nadbity próg, otworzył boczną furtkę i wszedł na plac fabryczny. Szary jego teren przedstawiał w tej chwili obraz w scenerii katakumb i tajemnych praktyk pierwszych chrześcijan. Na nierównym gruncie snuły się cienie i błyskały wątłe ognie latarek, ognie niebieskie jak rozpuszczona w wodzie farbka. Ognie te poruszały się, to nikły, to na nowo się zjawiały. Mietek poszedł w ich kierunku. Zatrzymał się przy pierwszym. Ogień pochodził z przyciemnionej niebieską bibułką latarki, trzymanej przez jakiegoś robotnika. Obok dwaj inni kopali szeroki dół. Koło nich na sznurach, jak trumna nad grobem, stała skrzynia zbita z prostych desek. Mietek popatrzył na nią, wstrząsnął się i przeszedł do następnego światła. Tu robiono zupełnie to samo, z tą tylko różnicą, że kiedy drobny kopacz w zbyt obszernych spodniach podniósł twarz pod blask latarki — Mietek przekonał się, że ta twarz należy do „szalonej Wandy". Wanda tymczasem oparła się na łopacie i zdziwiona oglądała swoją prawą rękę, poniżej palców odartą ze skóry i krwawiącą.

— Już dosyć! — powiedziała.

Wtedy robotnik postawił na wale usypanej ziemi latarkę i podał dłoń Wandzie. Wygramoliła się z dołu i stanęła twarzą w twarz z Mietkiem. Sperlone na nosie krople potu drgnęły, połączyły się i spłynęły na kołnierz szarej kapoty. Jednocześnie usta wyokrągliły się:

— O, Mietek! — powiedziały tylko.

— Co to jest? — Mietek trącił nogą drewnianą skrzynię.

— Obrabiarka siemensowska. Zakopujemy do ziemi przed Niemcami. Właśnie będziemy spuszczać na pasach. Ty, Faterku, nie — odsunęła łagodnie kulawego ojca i odebrała mu z rąk końce rzemienia.

Cztery ręce starczyłyby do grzebania zmarłego, obrabiarka siemensowska oparła się im i utknęła w piasku. Wanda spojrzała na Mietka, ale ten już odwracał się i odchodził rzucając od niechcenia pytanie:

— A gdzie to ojciec i Figa?

— Kopią przy prawej hałdzie. Piotrowski! Ej, Piotrowski! Pomóżcie no tu u nas! — wołała zwracając oczy do kantorku.

Podszedł do hałdy, ale nie zbliżył się do ojca i Figi. Śledził ich z daleka. Słyszał cienki głos Figi, zdyszany, to znów zgłuszony głębią dołu, z którego się wydobywał. Odróżniał ojca spuszczającego jakiś przedmiot z piaskowego wału w dół, widział, jak z partią nowych robotników szedł w głąb fabryki, jak skrył go wysoki cień wielkiego pieca. Odetchnął głęboko i chyłkiem przemknął się do śmietnika. Przekładał nogę na drugą stronę muru, gdy na powierzchni śmietnika rozczerwieniło się coś i zanim domyślał do końca krótkie zdanie: „Skąd tu znowu Kapel, przecież już dawno zdechł?" niebo na zachodzie stanęło w płomieniach i ziemia jęknęła, jakby spadło na nią całe to rozpłomienione niebo. I hukiem za hukiem rozgrzmiał się świat. Rozmigotało się niebo i trzęsło się zestraszone, wyrwane z ciszy. Teraz już huczało bez przerwy. Od Janowa szedł ten huk, to światło i to trzęsienie ziemi. Nad Janowem stała łuna. Od Janowa szła wojna.

Mietek odpędził spod powiek Kapla i wbiegł na schody domu ojca. Drzwi zamknięte tylko na klamkę ustąpiły natychmiast pod jego ręką. Nie mógł zapalić światła, bo zobaczonoby je z łatwością z hałdy. Macał w ciemności. Dotarł do szafy. W pośpiechu złapał pierwsze z brzegu ubranie ojca. Drżącymi rękami zdzierał z siebie mundur. Potem oswobodzony rzucił go na łóżko. Przebrał się. Trochę za ciasny był ojcowski garnitur i trochę za krótki, ale nie było czasu myśleć o tym. Z kieszeni porzuconego munduru wyjął jeszcze mapę polową. Wybiegł z domu i chciał iść do portierni, skręcił jednak koło ogródków i przez płot wydostał się na łąki. Huczało mu w uszach, huczało i migotało za jego plecami. Zasłonił oczy rękami przy skroniach jak koń w uprzęży i szedł przed siebie coraz prędzej, coraz prędzej. Wreszcie zaczął biec. Pod nogami świeciły niebieskie przyziemne latarki, wśród nich błyszczały oczy Wandy, obok Mietka na chorej nodze chromał kulawy Kapel i ustawiał się do skoku w dół w sam środek Warty. Po drugiej stronie rzeki wyciągnął rękę Józek Starzyński i przyzywał nią biegnącego Mietka. Noc na wschodzie była cicha i ciemna jak zwykła noc.

Kulawy Kapel już dawno ustał i zwiesiwszy łeb między pióra spał w ziemi, gdy Mietek zatrzymał się w blasku wstającego pogodnie — jak co dzień we wrześniu tego roku — słońca, i wyjąwszy z kieszeni polową mapę uświadomił sobie, że nie zmylił drogi, że dobrze idzie: na Zaleszczyki i Rumunię.

S P R A W O Z D A N I A

POWIEŚĆ PIASTOWSKA

ANTONI GOŁUBIEW: *Bolesław Chrobry. Puszcza.* Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", (Kraków), 1947; str. 425 i 3 nl.
ANTONI GOŁUBIEW: *Bolesław Chrobry. Szło nowe.* Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", (Kraków), 1947; str. 597 i 3 nl.

I

Tylko pierwszy tom cyklu Antoniego Gołubiewa nosi tytuł *Puszcza.* Miano „puszcza" patrzyłoby się wszakże całemu dziełu: za jego rozrosłą i przelewną kompozycję oraz za obfitość spraw, które Gołubiew pragnie w tej kompozycji zagarnąć i rozwiązać. Powieść bowiem, której główny tytuł mówi o wielkiej indywidualności historycznej — *Bolesław Chrobry* — nie jest bynajmniej tylko powieścią o przodującym władcy. Pragnie być książką o polityce, jej prawach, świetnościach i klęskach, ukazywanych na tle najbardziej rudymentarnym. Pragnie być przekrojem poprzez cały naród, jeżeli w ogóle określeniem „naród" wolno się posługiwać dla wczesnych stuleci piastowskich. Dzieło to pragnie być jak jedna z jego postaci, co „siedząc na skraju polany, szepce staremu bóstwu puszczy pradzieje swoje, swego rodu, całego swego kraju". Tym być pragnie, a jest — —

Jest wykładem mimowolnym dwoistej filozofii pisarza i równie mimowolnym wykładem dwoistej metody wywoływania prawdy o przeszłości. Autor świadomie głosi filozofię chrześcijańską i cierpliwie śledzi jej mozolne ścieżki, jakimi przenikała do pogańskich dusz. Pogańska i czysto biologiczna postawa, wyostrzony zmysł artystyczny dla jej wszelkich świadectw, oto co z równą siłą przeziera z najtęższych kart jego utworu. Filozofia zatem dwoista, splątana i przerośnięta wzajemnie jak konary drzew w gęstwinie.

Jest wykładem dwoistej metody powieściowej. Dzieło Gołubiewa to obraz złożony przede wszystkim z elementów ginącej już niepowrotnie kultury ludowej Słowian. Obraz po to wywoływany ze swoich ostatnich, już w niepamięć przechodzących świadectw, by tym sposobem przybliżyć zamierzchłą prawdę przeszłości. Tymczasem otrzymujemy książkę podwójnie egzotyczną, baśń o podwójnym dnie. Elementy ludowe mające służyć ewokacji pradawności są równie jak ona egzotyczne. Wykład dwojakiej metody artystycznej nurza się w tej samej gęstwinie puszczańskiej. Jest wreszcie utwór Gołubiewa dziełem, w którego glebie stylistycznej, niczym w świeżo powstałej próchnicy, łatwo odróżnić, skąd pochodzą jej warstwy.

Wszystkie te zamierzenia i właściwości przelewają się i kipią wśród niepomiernej rozrzutności obserwacji, postaci, scen, realiów, wątków, opisów, które autor bez śladu znużenia coraz to wyrzuca na karty powieści. Czyni to z żywotnością niepohamowaną i nieskładną, z tym samym jurnym rozpędem zasiewu, którego pochwałę głosi w swojej filozofii. I — jak w prawdziwej puszczy — napotkasz w jego cyklu połacie pełne ujmującej świeżości, ale napotkasz i takie, gdzie z trudem przychodzi brnąć po rozkisłym grzęzawisku, nie bardzo pojmując dokąd i po co. Główne zaś tematy myślowe z tym samym radykalnym okrucieństwem, tak samo bez pytania, czy nie należałoby ich poprowadzić raczej w poprzek innych wydarzeń, tną dzieło Gołubiewa, jak przesieki królewskie czyniły to z puszczami.

Dlatego chcąc się zorientować w rozmiarach, gęstwinie, chaosie i bujności przyrządzonej przez niego powieściowej puszczy, należy po prostu przystanąć na którymś

z przesieków i spojrzeć, co dokoła. Niechaj nim będzie ów przesiek, jaki po zdobyciu Jomsborga Bolesław każe wyciąć od Poznania i Gniezna do opanowanego grodu Wikingów. W warunkach państwa piastowskiego jest to wielka inwestycja. Tak wielka, że na jej wykonanie nie starczy rąk normalnie pracujących. „Brakło ludzi. Bolko posłał po grodach — wszystkie więźnie z dybów mają iść, drogę siec". Ów przesiek przez puszczę przynosi też zmianę w losie jednej z rozlicznych postaci powieści: w losie Bugaja, tarczownika więzionego za niesforność wojskową, której w przeciwieństwie do ojca nie cierpiał młody książę. Bugaj wzięty do cięcia puszczy już nie powróci do więzienia. Obejmuje „księdzową strażnicę nad pustą drogą, której nikt jeszcze nie jeździł, po której jeno chmury komarów śpiewały cienkie pieśni i trzmiele buczały nad kwiatami".

Wielka Droga Bolkowa, którą wycina i nad którą czuwa Bugaj, przejdzie w głębi ziemi pomorskiej tuż obok zapomnianej osady rodu Śliźniów. Z polany rodowej zdaje się na zawsze odpłynęło już życie, gdy odeszli z niej młodzi wciągnięci do drużyny książęcej. I oto życie powraca znów. Inne, to, jakiego nie pojmuje zdziwaczały Lubusza, jedyny co z rodu pozostał na polanie wraz z bratanicą Dziewanną. Ludziom trzebiącym przesiek przewodzi włodarz Piekuta. Chociaż zjednuje Dziewannę tak mocno, że wbrew woli stryja ucieknie za nim, kiedy drwale pociągną przesiek dalej ku morzu, nie jego to osobista sprawa wkraczać poprzez wyłom w puszczy. Wkracza nowa organizacja państw, nieznana starcom przyzwyczajonym do czasów Mieszkowych. Oto rozmowa Piekuty z Lubuszą:

„— Dureń. Wszystka ta ziemia księdza. I ludzie.

Lubusza czuł, jak duma w nim rośnie, zalewa nieśmiałość.

— Śliźnie ludzie wolne!

— Ha ha ha! A wolnych na przesiek dasz!

— Nie dam — głos Lubuszy twardniał, stawał się ostry, dziadowy, śliźniowy, nie-Lubuszowy.

— Dasz! Rankiem.

Lubusza pokraśniał, zatupał nogami, krzyknął:

— Nie dam.

Piekuta był niski, krępy, mocny w sobie. Twarz miał małą, twardą, mięśnie w niej chodziły, jak u drwala na plecach. Wyciągnął zza pasa zacięty kij, znak księdza. Lubusza ścichł".

Piekutę zaś spotkamy jeszcze nieraz w powieści. On, który prowadził inwestycję tej miary co przesiek pomorski, awansuje wysoko w hierarchii państwa Bolesławowego. Jest komornikiem wrocławskim, umiejętnie zabiega wokół swoich interesów, nie cofnie się przed łapówką: konia przyrzeka temu, kto mu ułatwi objęcie funkcji komornika w poselstwie mającym wyruszyć do Rzymu. Zostaje wszakże kimś więcej: naczelnym komornikiem księcia, gdy ten napędził przekupnego krętacza Sobiesława. Na sprężystej sumienności nowego komornika Bolko się nie zawiedzie.

O świcie, wyrąbanym przez ludzi Piekuty przesiekiem, ucieka ku niemu Dziewanna. Ale inwestycja państwowa czasów Chrobrego niewiele się różni od puszczy wokół niej. W tych samych co ona uczestniczy objawach. Jest ledwo naznaczoną przez człowieka cząstką krajobrazu, gdzie człowiek, zwierzę i przesąd są równi sobie, cząstką wielkiego krajobrazu „czarnej, wrogiej puszczy... tylko tu i tam rozjaśniała ją wypalona czy wyrąbana polana, na której gmerał się człowiek, na którą wypadał tur, wypełzała dziwożona, nocami wyły dziady".

A Dziewanna, kiedy ucieka do ukochanego człowieka? „Przebiegła polanę, zagłębiła się w szczerbę przesieku. Obrąbki pni sterczały złote, trzymały się mocno ziemi rozczapierzonymi paluchami korzeni. Tramy ściągnięte w bok, zwalone w bezładne kupy. Było przed świtem. Mgły wisiały na konarach drzew, ściekały po pniach, snuły się po gęstym podszyciu. Zając przysiadł w środku przesieku, podniósł się na skokach, przednie łapy zwiesił, nastroszył słuchy, rozglądał się. Jak kamień spadł nań jastrząb. Puszczę napełnił płacz zajęczy, szarak poderwał się, jastrząb wbił mu w kark szpony, dziobem próbował uderzyć w głowę — zaszumiało, wpadli w gąszcz, płacz zajęczy ucichł".

II

Przystanęliśmy na przesieku, w głębi czasu i puszczy, i okazuje się, że z tej głębi widać nadspodziewanie dużo. Losy indywidualne ludzi, ich kariery i namiętności: wyzwolenie Bugaja, początek drogi w górę Piekuty. Widać też, jak w czysto biologiczne, pierwotne i puszczańskie bytowanie przenikają wiązadła powstającej organizacji państwowej. Jak wreszcie poza tym całym układem spraw i ludzi biologiczna filozofia pisarza daje im tło.

Tak jest wszędzie w książce Gołubiewa. Dzieło jest skłębione i bujne, a przecież tam, gdzie autorowi udaje się losy i problemy ciąć jasno, nie jest chaotyczne. Bywa

przejrzyste, często aż zbyt przejrzyste i zbyt wiadome w zamierzeniach konstrukcyjnych. Nie wystarczy zatem przystanąć na przesieku, trzeba wybierać widniejące zeń perspektywy.

Rozpocznijmy od tych, jakie Gołubiew świadomie otwiera. W sferze historycznej obchodzi go przede wszystkim problem budowy państwa z niczyjego dotąd, w ogóle poza zasięgiem historii bytującego materiału. W umiejętnych skrótach ukazuje on najdawniejsze zręby tej budowy. Drużyna Ziemomysła, pierwszy zaczątek władzy księcia przeciwko rodom. Drużyny Mieszka i Bolesława. Wróżda rodów, dziedziczna ich zemsta, rozbijana przez nową wierność, wierność księciu. Formy organizacyjne pierwotnej państwowości piastowskiej: opole, stan. Gospodarka państwowa na tym samym stopniu. Płuczką złota, wgląd księcia w handel państwa. Kupcom normandzkim z Wolina nie należy za miecze płacić jantarem, ponieważ mają go pod dostatkiem i cenią nisko. Jantarem należy płacić Wenecjanom. Wysoka wartość ekonomiczna jeńca wojennego, wartość każdej pary rąk do pracy. Ścisły związek zdobyczy wojennej z postępem gospodarczym kraju. Kontakty ze światem, własne poselstwa, ajent własnego wywiadu pomiędzy obcymi. — —

Przestańmy wyliczać. Rzecz bowiem w funkcji, jaką ów prymitywny schemat państwa odgrywa na tle egzotycznej dawności piastowskiego czasu. Przede wszystkim stwierdzić należy, że Gołubiew potrafi ów schemat ożywić artystycznie i nadać mu prawdę, która nie przestając być prawdą tylko dla minionego czasu, równocześnie świeci niespodziewanymi analogiami z każdą w ogóle formą organizacji państwowej. Gołubiew szczęśliwie łączy to pobudzanie analogii z przypuszczalną wiernością wobec epoki piastowskiej.

Instytucję opola, tzn. zbiorowego pościgu osad za każdym podejrzanym, kojarzy on zręcznie z losami jednej z postaci, mordercy Kłęba. Skutek ten, że czytelnik nagle dostrzega, iż ów niezmierzony na pozór i bezludny świat puszczański był dla przestępcy równie ciasny, jak jest nim dzisiaj świat w ludzi obfitujący. Jesteśmy w dziedzinie analogii. Drużyna natomiast wojów Bolesława najżywsza będzie nie w jakiejś matejkowsko-patetycznej scenie, ale w rubasznej zabawie. „Gonili się. Drużyna waliła w obu szyszkami, gałęziami. Podstawiali nogi, kulali się... pieczeń zdjęli z rożna, obcinali nożami, żarli. Ryczeli. Puszczali w siebie ogryzionymi kośćmi. Przechwalali się". Jesteśmy w dziedzinie odrębności.

Mimo tak mocno stawianych odrębności schemat państwa nie ginie na przestrzeni dzieła. Przeciwnie. Widnieje wciąż, jak wydobywany spod warstw gleby zarys pradawnej osady. Podobne też budzi w czytelniku wzruszenie. Wpływa podobnie, jak na pierwszych archeologów działać musiał krzemień, na którym na pewno widnieje ślad ręki ludzkiej, znaleziony pośród kamieni dotkniętych tylko przez przyrodę. Słusznie też w swojej recenzji Z. Starowiejska-Morstinowa („Polska szumiąca puszczą", *Tygodnik Powszechny*, 1947, nr 22) powiada, że „ciekawość, jak zaczynają się cywilizacyjne cykle — leży niewątpliwie u dna książki Gołubiewa. U jej dna leży ciekawość początku".

Wzruszenie takie i ciekawość udaje się Gołubiewowi wielokrotnie wywołać, szczególnie w drugim tomie. Rozbudziwszy je w czytelniku pisarz wkracza śmiało z czasu pradawnego w nasze poczucie jedności z tamtymi wiekami. Tryumf państwa Bolesławowego, pierwszy wielki tryumf państwa polskiego w ogóle, jakim jest wizyta cesarza Ottona III, przerzuca on na mocy analogii wprost w uczucia nasze. Wówczas to powstają najbardziej liryczne karty jego opowieści, jak ów króciutki rozdzialik tomu II „Gdy dzwony biły w Gnieźnie". Karty wyraźnie zamierzone przez pisarza w funkcji jednoczącej i emocjonalnej klamry.

„Nad ową zaśnieżoną, zawianą ziemią tu i tam huczały dzwony na znak: Nowe idzie. Czyli je usłyszał Bugaj u Wielkiej Drogi, abo Śliźnie na swej polanie, abo Pępik nawiązujący sieci, abo Ksieniec czy Kula, czy Ządrz, czy Pąch, czy Jagoda, czy owi bezimienni u Złotej Góry? Czyli biły one dla Bołka i drugów jego, dla Stojgniewa, Zefrida, Zadory, dla Ungera abo Emmildy, abo Astryka, abo młodego Mieszki? Czy dzwoniły one nad jodłami i modrzewiem, nad ziemią i wodami? Czyli miały się rozwiać, ledwo chłopcy ciągnący za sznur odeszli na wyżerkę? Czyli głos się ich ostoi — onych nielicznych dzwonów, małych, nie obejmujących ziemi?

Ziemio miła, azali ów nikły dźwięk kilkunastu dzwonów żyje jeszcze? Czyli się rozwiał, ledwo chłopcy ciągnący za sznur odeszli na wyżerkę?

Ziemio miła..."

Lecz, jak się rzekło, materiał państwa piastowskiego bytował jeszcze poza historią, w sennym lenistwie puszczy, obyczaju rodowego, zależności od przyrody. Jego czas nie mierzył się jakimikolwiek echami historii, przeciekał natomiast spleciony w jedność z biologią w przyrodzie i w ciele ludzkim. „A później? Goiły się rany,

trawa porastała groby, rosły jałówki i byczki, a no! rozrastał się ród. Latem ubił przybysz jelenia z dwanaściorgiem gałęzi na rogach, a brodą by u dziada. A późną jesienią nikt nie pamiętał takiej chmary gilów, wprost by wróbli, gdzie nie spojrzysz— czerwony brzuszek świeci. Powiadali ludziska: na spor to. I prawda: zima była lekka, zwierza obfitość, siedmioro dzieci urodziło się tej zimy".

Najbardziej też oryginalną i przekonywającą wartością cyklu Gołubiewa jest realna wizja codziennych dni piastowskich. Powieść jego nie stroni od scen o wysokim napięciu wydarzeń (śmierć Mieszka, męczeństwo św. Wojciecha), nie stroni również od tradycyjnych schematów, a mimo to inne obrazy pozostają z niej przede wszystkim w pamięci: codzienne, leniwie upływające okresy pradawnego czasu, uciążliwe prace, mozolne rozmowy, dotkliwy ucisk i równie dotkliwa radość przyrody, zimy i dni lipcowe, byle jakie i ostre rozkosze ludzi, te same dla księcia, co dla najlichszego z poddanych.

Tę wizję zamierzchłej codzienności, wizję surową i daleką od sielanki, udało się Gołubiewowi powołać do życia w sposób, który z tych kart jego utworów czyni karty dotąd niespotykane w naszej powieści. Jeżeli mimo to mocno tradycyjne w wyrazie, powody tego zjawiska leżą gdzie indziej i dopiero mówiąc o artyzmie pisarza spróbujemy ich dosięgnąć.

Trudno wyliczyć całe bogactwo obrazów tego gatunku. Tym trudniej, że Gołubiew bardzo niechętnie posługuje się elipsą. Ilekroć staje przed nim pokusa dokładnego realnie powtórzenia szczegółu, którym się już posłużył, tylekroć jej ulega. Zaznawanych przez rybaków, łowców, ucztujących i kochanków radości, radości podobnych do siebie nie tylko w rodzaju wzruszeń, ale nawet w samym wyrazie słownym, nie zliczysz w jego utworze. Z takiej przelewnej obfitości scen wysnuwa się rytm podobny monotonnej melodii świerszczy wśród łąk czy pszczół w konarach lip. Rytm bardziej zgodny z wymaganiami przedstawianej epoki, aniżeli z apercepcją czytelnika.

Dopiero kiedy się wyzwolić spod jego władzy i wsłuchać w poszczególne motywy, dostrzegamy jak bardzo nasycone i pełne jest to widowisko pradawności. Grody i podgrodzia, ciasno skupione życie Poznania, Gniezna, wawelskiego wzgórza. Książę, jego żona, dzieci, biskup, powiernicy, drużyna. Na podgrodziach mozolnie wydobywające się z rybackiego i myśliwskiego prymitywu zaczątki rękodzieł. Cieśle, garncarze, kowale. Pierwszy, z przypadku, artysta Dudek. Pierwszy, też z przypadku, kupiec Dzierbołek. Stanice nadrzeczne, pomniejsze grody książęce, odchodzące w przeszłość osiedla starych rodów. Tarczownicy, komornicy, woje. Wszystek możliwy obyczaj gospodarczy i odświętny, każdy człowiek ukazany z twarzy, dokładnie, każda sytuacja codzienna ukazana również z oblicza, z miłością dla wszelkiego szczegółu, jaki tylko na tej twarzy, tylko w tej sytuacji napotkasz.

Naprawdę — „pieśń o narodzie", jak napisał Wojciech Żukrowski. „Bohaterem tej powieściowej konstrukcji jest naród, naród polski, a jej fabułą przełom cywilizacyjny, jaki Polska przeżywała za czasów Chrobrego... Jest to może w tym ujęciu pierwsza powieść polska nie o człowieku, lecz o ludzkim zespole, albo może — wyrażając się ściślej — powieść właśnie o człowieku, ale o człowieku w funkcji społecznej, funkcji państwowej i narodowej, o człowieku zbiorowość budującym i przez zbiorowość urabianym". (Z. Starowieyska-Morstinowa) [1]).

Tę pieśń o narodzie śpiewa olbrzymi chór postaci. Ale sam chór taki nie byłby wystarczył, gdyby nie pewna dyspozycja artystyczna Gołubiewa, widoczna szczególnie w kompozycji codziennych dni piastowskich. Jest nią bardzo realne i precyzyjne widzenie przypuszczalnych szczegółów obyczajowych, psychologicznych i myślowych epoki. Powiadam: przypuszczalnych, ponieważ do epoki piastowskiej głównym dokumentem, oprócz analogii z obyczajem ludowym, jest domysł historyka i — archeologia. Kamień i grób, a te o psychologii danej epoki najmniej mówią. Prawda tych szczegółów polega więc jedynie na prawdzie wizji drobiazgowej i czujnej. Posiada ją Gołubiew. Dzięki niej rozbija różne motywy umowne, jakie w podobnej powieści musiały wystąpić w dużym natężeniu i mogły jej zagrozić nadmierną schematyzacją.

Dwa szczególnie motywy mam na uwadze: sprawy wojenne i sprawy chrześcijańskie. Bitew i walk jest w tym dziele z konieczności niezmiernie dużo. Dla epickiego biologisty zawierają one to niebezpieczeństwo, że pod jego piórem gotowe się zawsze rozgrywać wśród patetycznego hałasu, gromkie i matejkowsko-sienkiewiczowskie. Nie brak i takich ujęć u Gołubiewa. Mimo

[1]) Nonsensy, które przeciwko takiemu ujęciu *Bolesława Chrobrego* wypisał Zbyszko Bednorz (por. „Czy ‚rewolucja mas' u Gołubiewa?", *Odra*, 1947, nr. 38) w ogóle nie zasługują na dyskusję. Tak się mają do wyglądu cyklu Gołubiewa, jak gdyby ktoś pisząc o *Pamiątkach Soplicy* Rzewuskiego dowodził, że jest to powieść wymierzona w sarmatyzm.

o w najlepszych scenach wyzwala się on całkowicie spod schematu i ukazuje drugie, okrutne oblicze walki. Ukazuje wśród całkowitego prawdopodobieństwa sytuacyjnego, i dlatego, chociaż samo ujęcie posiada swoją zadawnioną tradycję i nie jest czymś nowym, na nowo wygląda w nadanym mu przez Gołubiewa wydaniu. Bo na pewno jest to ujęcie w zastosowaniu do epoki piastowskiej dotąd nie spotykane w naszej powieści.

Z niemniejszą czujnością zmienia autor sposób przedstawiania tych najlepszych scen batalistycznych. Klęska u wałów Jomsborga napisana jest na sposób homeryycki, gdzie każdy wojownik walczy za siebie i o każdym pisarz mówi oddzielnie. Spotkanie z Węgrami; w jakim ciężką ranę odnosi Stojgniew, to błyskawiczna migawka filmowa. Najlepszy zaś w powieści z epizodów wojennych posiada tony jakiejś przejmującej nowej *Anabasis* Ksenofonta. Jest nim powrót Śliźnia z wyprawy na Prusów, powrót z jeńcami wśród niebywałego mozołu, gdzie tylko wola dowódcy wydobywa z żołnierza ostatek sił. Ani to już okrucieństwo wojny, ani jej dziwaczna niespodzianka, ale wolą człowieka wytrzymany trud.

Sprawy chrześcijańskie. W nich znów zastanawia przekonywająca konsekwencja, z jaką Gołubiew je przystosowuje do puszczańskiej i pogańskiej wyobraźni. Chrześcijaństwo istnieje w jego utworze w trzakiej postaci: jako element myślenia filozoficznego samego autora, jako siła polityczna użytkowana przy budowie państwa, wreszcie jako sfera codziennego zetknięcia nowego obyczaju z dawnym, pogańskim. O pierwszej postaci mówić będziemy niżej; postać druga — jako N o w e, które n a d c h o d z i — stanowi nić przewodnią drugiego tomu, ale mimo to nie uderza jakąś odrębnością ujęcia. Dopiero zetknięcie dawnego obyczaju z wkładem chrześcijańskim daje u Gołubiewa ciekawe wyniki. Jesteśmy bowiem świadkami, jak pogaństwo stara się niejako otorbić w sobie nowe wyobrażenia, przystosować je do swoich wymagań i unieszkodliwić. Rozumiemy cały wiekowy mozół, z jakim nowa religia musiała się zaszczepiać w puszczy. Zabawne nieraz szczegóły zetknięć między N o w e m a pogaństwem mają pełniejszą wymowę, aniżeli oficjalne fakty — chrzty gromad, nowe kościoły, nowe dzwony.

Dla ludzi Gołubiewa chrześcijaństwo jest nieznaną im dotąd formą magii pogańskiej. Czasem skuteczniejszą, czasem lichszą. Według Stojgniewa „dokąd dochodzi głos srebrnych dzwonów i skąd widać święty znak, żadne złe nie podejdzie... Tylko w nocy zbliżają się, ale do tyla, dokąd dojdzie pianie kura". Kyrii Kristi (tak rekonstruuje autor możliwą w ustach Prapolaków nazwę nowego bóstwa) ukryty jest w Eucharystii przez czary, ale słaby to bożek, bo niewielkie jada obiady: „chlebusia kęs mu dają, a popić trochę".

Dlatego też kiedy Gołubiew pragnie ukazać odrębność wyobrażeń chrześcijańskich, czyni to zawsze sposobem najprostszym, a jednak skutecznym: przez kontrast pomiędzy nimi a pojemnością wyobraźni Prapolaków. Oto św. Wojciech oglądany poprzez reakcje niepojmującego go otoczenia: „Radbor spojrzał niepewnie: czy ma kazać wojom także uklęknąć i co ma czynić, by pełnić wolę Bolkową; woje odczuli tę klęczącą postać w stroju kościelnym na pustym, martwym śniegu, z rękoma wyciągniętymi, rzucającymi czary i uroki, jako powiew niesamowitości życia; nie drgnęli, bali się".

To wyobrażenia prostaczków. Niewiele od nich się różni wiara możnych, a nawet księży pochodzących z krajowego przychówku. Nie inna jest wiara Mieszka, ujawniona w przejmującej i doskonale napisanej scenie jego zgonu. Mieszko przemawia do Chrystusa jak do równego sobie księcia, panującego nad innymi bożkami, i nagle, przerażony, przypomina sobie i powtarza „słowa mocnego zaklęcia, któremu się Bóg nie oprze". Tym zaklęciem — *Ojcze nasz.* A już na pewno najlepsze są postacie prostych „świątków", księży, jak ów z Pułtuska, którego napad na kościół zastaje wyrzucającego gnój z synami, jak ów z dużym humorem skreślony Kędziorek, po kościelnemu świątek Andrzej. Żył on sobie spokojnie, obłapiając białkę, chłepcąc piwo, chwaląc codzienny chleb pomocnika przy wawelskim prezbiterze, aż nieszczęście zrządziło, że arcybiskup Radzym, brat św. Wojciecha, po kościelnemu Gaudenty, zabrał go ze sobą do Gniezna i zapragnął zeń uczynić prawdziwego prezbitra.

Kontrast zawarty w losie Kędziorka doprawdy więcej mówi o wielkim Nowem, co wraz z chrześcijaństwem schodzi na Polskę, aniżeli czysto formalne schylenie przez pogańską gromadę głowy pod chrzest. Bo w losie Kędziorka mieści się zarazem wymiar przejścia od zadowolonej biologii do formy kulturowej i jej wymagań. Dlatego zacytujmy odpowiednie ustępy:

„Było ciepłe przedwieczerze, dwa dni po św. Janie. Kędziorek siedział na przyzbie swej stacji, nad piwem, twarz wystawił na słońce, nogi wyciągnął, ręce zaplótł na brzuchu. Oczy miał przymknięte, ale nie

spał. Żyła w nim cicha i radosna czujność, świadomość zadowolenia z życia, ze słońca i piwa, ze szmerów-okrzyków grodowych, z tego radosnego faktu, że jest przedwieczerze, że słońce oto w twarz świeci ciepłe i łagodne, że kubek stoi obok na ławie i starczy jeno ręką sięgnąć, by poczuć miły, cierpki smak; ale że i ten leniwy ruch niekonieczny i można go odłożyć. A zaraz przyjdzie wieczór i skisłe mleko z twarogiem, a potem noc i gwiazdy zasypią niebo, i miesiąc — i sen, i odrętwienie; a potem ranek z przeciąganiem ramion, i podgardle wieprzowe z piwem, potem pewno zawoła go Jakub i będą — nie spiesząc się — śpiewać w trzemiku, wnętrzności się będą napełniały leniwym poczuciem ważności, głosy będą płynąć równą falą wyżej i niżej, spokojnie i beznamiętnie".

Tak wygląda los Kędziorka w Krakowie. A w Gnieźnie?

„Bezsensownie się odmieniło życie Kędziorka. W dzień dusił kluski, nieokraszone mlekiem i tłuszczem, gryzł placki jęczmienne, nawet piwo pił w niewielkich ilościach. Cięgiem musiał się modlić w trzemie gnieźnieńskim, śpiewać psalmy z klerykami. Białki nie lza mu było tknąć. Z wieczora leżał do północy krzyżem, albo klęczał z rozkrzyżowanymi ramionami. O północy biczował się trzema sznurami, które miały mu przypominać grzechy przeciwko każdej Osobie Trójcy Przenajświętszej; każdy sznur miał po trzy wałeczkowate supły.

Klęczał i pełnym ruchem zarzucał pletnię na barki, bacząc by chłostać się niezbyt mocno. Po łbie mu chodziły słodkie wspominki krakowskie. Zacinał zęby — mierziło go to życie.

W te właśnie noce pokutne układał plany przejednania Gaudentego. Nie mógł pojąć, za co się nań tak arcybiskup zawziął, czym poczuł się obrażony, jakim słowem czy ruchem. Może wypadałoby mu złożyć w dani jaki dar; pewno, że wypadało".

Biedny Kędziorek! Biedny prezbiter Andrzej! Już nie ma dla nich powrotu. Ich kraj jeszcze nieraz zapadnie w sytość, będzie pełen „leniwego poczucia ważności" i za każde przebudzenie coraz surowiej przyjdzie mu płacić historii. Bo nie tylko dzwony gnieźnieńskie, huczące na tryumf analogią poprzez wieki, budzą poczucie jedności z czasem piastowskim. Prezbiter Kędziorek, praszczur Reja, czasów saskich i kontuszowych, budzi je również.

III

Perspektywy polityki, budowy państwa i materiału na nią Gołubiew otwiera światomie. Poza nimi wszakże rozpościera się w jego cyklu mnóstwo zagadnień mówiących nie o tematyce Gołubiewa, lecz o nim samym jako myślicielu i artyście. Sferę obyczaju, państwa i codziennych dni zamyka u niego i otacza puszcza. Ponad nią pojawia się pełnia chrześcijaństwa upostaciowana w wymaganiach świętości. Obydwa te pograniczne zjawiska z równą siłą przyciągają uwagę pisarza, stając się podłożem dla jego dwoistej filozofii. Bo puszcza Gołubiewa, chociaż tak realna i ukazana w tylu odmiennych wyglądach, jest przede wszystkim jego katechizmem filozoficznym. Twierdzeniom światopoglądowym służy, nie wyglądowi drzew.

„Puszcza szła we wszystkie strony, gdzie słońce wschodzi i gdzie zachodzi, skąd przylatuje wiatr, gdzie noc się zaczyna i gdzie blady miesiąc tonie w gęstwie drzew. Ogromne święte dęby, siedliska duchów puszczy, rzucały w tłustą próchnicę gładkie, złote żołędzie. Te, jeśli ich ryj dzika nie wyżarł, leżały przez zimę pod śniegiem. Wiosną pęczniały od wody i od potężnej żywi, rozpierały skorupę, aż wytryskał z nich zielony strumień młodego pędu. Ciepłe dżdże poiły je brunatnymi smugami, promienie słońca dodawały sił, gleba nagrzana i parująca rozgrzewała i karmiła. Potężną falą życia tryskała ziemia, a za dębami, modrzewiem, ostrężyną i mchem parzyły się w gorącym porywie żubry i łosie, chutne dziki i płochliwe zające, ptactwo na gałęziach, wszelki zwierz żyjący w puszczy. Ryby w rzekach tarły się o siebie nad ikrą, węże zwijały się miłośnie, muchy i jętki złączone z sobą wirowały gęsto w gorących promieniach słońca; krowy i łanie chodziły po lesie ociężałe i lepkie, rogacze spoglądały na się krwawymi oczami, z łoskotem zderzały się rogami w ślepej walce o prawo do miłości. Łoś beczał przeciągle, tokował głuszec i wiwilga wabiła na gałęzi.

Coraz potężniejszą falą zalewała kraj puszcza.

Wraz z puszczą, bojąc się jej i walcząc z nią bez ustanku, plenił się człowiek. W gorącą noc, gdy ciężarna łania rozkraczała się do porodu, i wrzące życie rozsadzało skorupę żołędzia, gdy ptaki zachłystywały się z żądzy w świegotliwym śpiewie, a rozparzona ziemia przyjmowała w siebie nasienie, książę Mieszko przygarnął łapczywie Dobrawę, przywalił ją swym ciężarem, rozdygotany i żądny, namiętne zwierzę puszczy. Gałęzie szumiały pod wiatrem, lędźwia były pełne chuci i spazmów.

Puszcza dygotała miłością".

Nie sądźcie, że to jakiś cytat wyjątkowo obitnie świadczący o puszczy jako podawie filozoficznej. Mógłbym na jego miejce dać kilkanaście innych; niemniej wyraście mówić będą o jedności człowieka żywiołu puszczy, o identyczności praw, tóre rządzą jego wzruszeniem i życiem rzyrody. Terminy, jakie w tych niezacywanych ustępach napotykamy, niewiele ędą odbiegać od słów — „potężna żywia", potężna fala życia", „wrzące życie". Oto ne: „jarą siłą dygocze ziemia", „tryskaca z ziemi siła życia", „blask i namiętność kłębionego nurtu życia", „rozkosz wegeacji, buchającej siły życia", „z zazdrością atrzył na towarzyszy, z których żywia uchała z codzienną chucią życia", „od cieia (pradziada) toczyły się ku niemu kłęby otężnej żywi" — — coraz to czytamy powieści.

Nie ma dosłownie osoby, nie ma sytuacji zy faktu psychologicznego, których by ołubiew nie usiłował wyjaśnić lub przyajmniej naświetlić za pośrednictwem wciąż ch samych — trudno powiedzieć: — przeonań, wypada je nazwać: — obrazów fizoficznych z dziedziny panbiologizmu. Lędźwie i ramiona pełne były snu i znuenia, a nad strzechą błyskały niepojęte wiazdy; czyliż nie były jej siostrami na ym pełnym radości świecie — jak mech, k paproć, jak mrówka, jak sarna". Uporzywe natręctwo takich obrazów, oto ów łówny przesiek Gołubiewa, który tnie jego zieło nie licząc się z faktami czy prawopodobieństwem psychologicznym bądź istorycznym. Widzą go wszyscy dotychzasowi recenzenci, ale każdy pochwalnie. Nikt nie zadał sobie trudu, by mu się bliżej rzyjrzeć.

Ów przesiek nadaje cyklowi Gołubiewa rzejrzystość aż nadmierną, bo procesy awet tak skomplikowane jak powstawanie ańswa odnosi do podstaw panbiologiczych. Najwięcej też w czytelniku wywoje sprzeciwów. Bywa wprawdzie bardzo omocny w ewokacji codziennych dni piaowskich, ale kiedy autor próbuje z niego czynić główną (choć wobec chrześcijaństwa isarza mało świadomą) zasadę swego planu yślowego, a taką próbę co krok znajdujey, raz po raz napotykamy zadziwiające orzeczności i nieporozumienia.

Panbiologizm oddaje niewątpliwie Gołuiewowi usługi w konstrukcji prymitywnych sychologicznie a żywotnych typów ludzich. Radości łowców graniczące z pospolym okrucieństwem, rozkosze i potworności ojowników, prymitywne przeżycia rozzicielskie, głód i sytość, poczucie rodowej vspólnoty, cała ta na pół zwierzęca sfera psychologii żyje prawdą u wszelkich postaci pisarza. Zwłaszcza że jego wynalazczość jest tutaj rzeczywiście szeroka, szczególnie... kiedy sięgnie języków i podniebień. Jakżeż żreją wojowie Bolka! Bodaj u nikogo po Rabelais'em, oprócz pewnych kart w *Colas Breugnon* Romain Rollanda, a już na pewno u nikogo w polskiej powieści tak nie żreją.

„Nie myśleli, jedli, grzebali paluchami w misach, wybierali kęsy co tłustsze, co miększe, solili, moczyli w sosie. Kości trzaskały w zębach. Zagryzali słonymi suszkami. Nalewali do rogów piwo, pili, czkali, odbijali powietrzem. Podrzucali łokcie sąsiadom, gdy ci przechylali czary, wylewali miód na gęby, szyję, przyodziewek. Rechotali. Walili się otwartymi dłońmi po ramionach, po karkach, obejmowali się, całowali. Rzucali w siebie kawałkami mięsa. Zasuwali za kołnierz obgryzione kości, gwizdali jak ptaki, piali kiej kury, Boruta gdakał, Zbygniew szczekał by pies. Weselili się na całego, w pełni, po pijanemu".

Na tym wszakże gastronomicznym zysku korzyści się kończą. Bo ilekroć swoim biologicznym przesiekiem przejdzie Gołubiew w poprzek spraw więcej skomplikowanych, tyle razy zgrzyt. Przede wszystkim od biologizmu cierpi wyraz uczuć. Bywa nieraz tak niewybredny, jak w *Krótkiej rozprawie* Reja. „Wątpia mu rosły, rosły, właziły w gardło... Ciasno. Kiszki w gardło lazły". Cały wyraz strachu! „Czuła na szyi gorący dech Bolesławowy, parzył ją ten dech, w dołku mgliło". Cały wyraz pożądania! I tak często. Jeszcze mocniej cierpią interpretacje myślowe. Tylko najbardziej jaskrawe zgrzyty wskażemy. Stary Ślizień nie chce dopuścić do wycięcia otoczonych Normanów. Dlaczego?

„Nie żałował trudu. Ród ma dość czasu. Żałował krwi, żałował każdego życia swoich, jakby wierzył jeno we własną płodność, która zanikła, a wraz z jej zanikaniem wzrastał strach o rodową przyszłość. Dawniej, gdy jądra miał pełne mocy, bitki, na które szli jego synowie, nie przerażały go wcale. Teraz trząsł się nad każdym życiem, jakby w gromadzie mogło zbraknąć nasienia i białek rodzących co rok".

To dobre jako filozofia Pétaina. Wątpię, by istniała w czasie piastowskim. Wojownik Bugaj powraca nareszcie do rodzinnego gniazda. Doznaje wzruszenia znanego każdemu z nas, kiedy po latach wstępujemy na ścieżki dzieciństwa. Tymczasem autor komentuje: „Bugaj podnosił oczy ku niebu, dech mu zapierało wzruszeniem, pierwotnym wzruszeniem zwierza, którego odwieczny pęd gna ku wykrotom szczenięctwa".

Wracają wprawdzie łososie na tarło, ale takie zwierzęta, pełne swych wspomnień dziecinnych, to baśń panbiologiczna. Gołubiew — niestety — elementy tej baśni wprowadza zbyt często. Mieszko uwierzył w chrześcijaństwo, ponieważ przyrzekło mu nieśmiertelność, a tę pojmuje on wyłącznie w sposób rodowo-biologiczny, jako dalsze trwanie łańcucha przodków istniejących w jego pamięci. „Choć i jego dziady nie pomarły, czuł się wyraźnie w tym łańcuchu przodków i potomków ważnym, istotnym ogniem: ogniwo to nie pęknie, nawet gdy on odejdzie".

A już najważniejszy chyba zgrzyt spotkamy w centralnym zworniku myślowym powieści, kiedy pisarz głosi wyższość bezimiennego wkładu każdej jednostki, wyższość zatem zbiorowego wkładu narodu nad tym, co zdolna jest uczynić wielka postać historyczna. Teza niewątpliwie słuszna, ale jakże dziwacznie wyrażona! Gołubiew opisuje lot królewski i powrót zapłodnionej królowej-matki do barci i ten jakiś funkcjonalny automatyzm społeczeństwa pszczół w jego pojęciu wyraża w sposób dobitniejszy prawdę o przewadze wysiłku zbiorowego.

„Była (matka pszczela) czymś osobistym, czymś jednostkowym i jednostkowo czującym, choć ślepo służyła gromadzie, choć budowała — wespół z ludźmi — bogactwo kraju, o którym Bolesław — nie myśląc o niej, nie racząc choćby przelotnie zwrócić uwagę na muchę — mówił, zaciskając pięść i patrząc wprost w oczy wysłannika cesarza:

— Księstwo trzymam w garści! Ot, tak! Księstwo? Matka pszczela jaja składała. Pszczoły miód nosiły. Puszcza szumiała. Ryby w wodach uciekały od sieci. Stary Pępik kiwał się nad Wartą i mruczał rybackie pieśni. Ktoś polował w gąszczu drzew, ktoś rodził, ktoś dumał dumki niewesołe, ktoś niósł wodę ze źródła, ktoś się modlił do nowego Boga, ktoś tęsknił za wolą, ktoś z wykapanych oczodołów płakał, ktoś się złościł, ktoś do miłej tążył. Ktoś w puszczy gęstej krył się, ktoś judził i ktoś pochlebiał. Każdy coś czuł i do czegoś szedł. W garści? Czyli nie za wielką masz garść, Bolesławie?"

Piękny to obraz, nie do przyjęcia jego konsekwencje myślowe. Bo jeśli rzeczywiście organizmy państwowe i społeczne powstają z tym biologicznym automatyzmem, zaiste, po cóż się wysilać? Po co trud planowania i przewidywania? Syty Kędziorek kręcący palcami młynka na brzuchu ma rację, a przecież nie o jego rację pisarzowi chodziło. Przecież zanurzone w żywiole puszczy życie społeczne powstaje według swoich odrębnych praw. Stary błąd przesadnej analogii naturalistycznej, analogii podawanej w stanie wyjątkowo surowym, mści się na dziele Gołubiewa w jego miejscach najważniejszych. Organizmy się rodzą, urządzenia społeczne tworzą. Gołubiew wie to dobrze, a przecież w rozpędzie jednolitej interpretacji zapomina, uwiedziony przekonaniem, że w ten sposób swojemu myśleniu nadał jednolitość. Złudne przekonanie, złudna jednolitość.

Wymagania świętości chrześcijańskiej, które Gołubiew jako pisarz katolicki usiłuje rozpiąć ponad puszczą, są niemniej od innych jego motywów podmyte nurtami panbiologizmu. Chrześcijaństwo jako siła polityczna w ręku Bolesława oraz jako fakt obyczajowy na tle pogaństwa nie podlega temu działaniu. Chrześcijaństwo natomiast jako fakt autonomicznie religijny dziwnie graniczy z ziemskim biologizmem. Sprawa ta rozgrywa się w duszy jednej tylko postaci, św. Wojciecha, i w jednej szczególnie, na pewno najświetniejszej w powieści, scenie jego męczeństwa. Dlatego warto tej scenie poświęcić więcej uwagi.

Nie będziemy się spierać o pewne zwroty, które chyba tylko na karb przepisania się autora należy złożyć. Kiedy np. św. Wojciech odprawia mszę pod pruską brzozą, czytamy: „Dusza mu się rwała w słowach mszy świętej, które nabrały tego dnia pełni, miąższu, twardej bryłowatości, odwiecznej mocy, możności zaklęć odmykających niebo, zatrzaśnięte ciężkimi wierzejami chmur". Czy te zaklęcia bardzo się różnią od wiary Mieszka w *Ojcze Nasz* jako formułę magiczną? Nie będziemy również wytaczać procesu o to, że w tak bardzo ludzki, do naturalistycznej bezwzględności posunięty sposób ukazuje on świętego. Mgli go na łodzi, dostępny jest lękom i strachom, zmorzony głodem. Nie będziemy, ponieważ wśród takich przeżyć, świetnie skreślonych przez Gołubiewa, zupełną prawdą brzmią słowa Radzyma, żywotopisarza swego świętego brata: „zatrwożył się trwogą człowieczą". Wszystko bowiem, co jest ową trwogą człowieczą, u Gołubiewa przyjmuje prawdę.

Spójrzmy jednak uważnie na przeżycia świętego w jego przedśmiertnej chwili. Ten obolały, ustawicznie raniony przez ludzi żarliwiec i doktryner wiary, w którego postanowieniu męczeńskim więcej jest maniakalnego wyzwania rzuconego Bogu, aniżeli pełnionej naprawdę misji, na cóż to się nawraca w ostatnich urywkach żywota?

„Pojmował głucho — pierwszy raz w życiu — że oto nie było grzechu w jego mi-

łości do świata. Chciałby oto chudą dłonią, mokrą od przedśmiertnego potu, pogłaskać oną kolczastą puszczę, zbałwanione morze. A jednocześnie wnętrze biskupa rwał strach. W brzuchu bolało od gwałtownego ssania, pełnego lęku. Z wysiłkiem wzniósł oczy w niebo — było martwe. Spojrzał na skłócony tłum krajowców: krzyczeli wszyscy. Ta swobodna, nowonarodzona miłość do świata, przejrzysta i bezgrzeszna, łączyła się z obrzydzeniem przed gwałtem męki".

Nawraca się zatem na miłość do świata i przez to zostaje świętym. Inna to, sciszona wersja tej zasadniczej postawy Gołubiewa: tylko ziemia i jej sprawy są godne miłości. Bo o tym, ażeby św. Wojciech był poprzednio zakochany w rzeczywistości, by należał do typu św. Augustyna, nigdzie nie szłyszymy — przeciwnie. U początku wyprawy po aureolę męczennika czytamy: „Brat, Bogusz, kucający krąg wojów Bolkowych, ołowiana, gęsta woda, niebo wiszące nisko nad morzem, brudny ostrokół Gdańska — wszystko zdawało mu się naraz obce, tak obce, aż wrogie, tak wrogie, aż bolesne. Wojciech poczuł jak dech mu zapiera, przymknął oczy. Stał z zaciśniętymi powiekami, a jego wnętrzem targał strach przed światem. Poczuł obrzydzenie do szystkiego, a gwałtowną tęsknotę za tym, co nadchodziło".

Sens jego przedśmiertnego przemienienia nie daje się zatem na żaden inny sposób zrozumieć, aniżeli jako jedna jeszcze odnoga panbiologizmu. Przeprowadzony przez Gołubiewa przesiek nie oszczędza nawet wiary samego pisarza. Powie ktoś jednak, że takie żądanie konsekwencji należy do gatunku prokuratorkich chwytów Zoila. Tymczasem konsekwencji żąda również pogwałcona przez Gołubiewa prawda myślowa średniowiecza. Jego biologizujące rozwiązanie świętości jest wykluczone w ramach tej epoki. Wie to na przykład doskonale Teodor Parnicki w *Srebrnych orłach*, nieporównanie lepiej od Gołubiewa zorientowany w problematyce filozoficznej wczesnego średniowiecza. Jedna z toczonych u niego dyskusyj niechaj wyręczy Zoila. Pustelnik Romuald, założyciel zakonu Kamedułów, którego naśladowcą i uczniem był św. Wojciech, o różnicy natury ludzkiej od natury przyrody tak rozmawia z Gerbertem, późniejszym papieżem Sylwestrem II:

„W moim eremie bracia pokutujący surowo mają zakazane chodzenie boso — nie naczej stąpają po ziemi, jak na podeszwach grubych: wielem bowiem dusz wyspowiadał — dobrze wiem, że ów, co wczoraj boso po piasku, trawie lub błocie chodził, utro nagi zupełnie tarzać się będzie po ziemi, mile łechcącej, lub w rzece się zanurzał rozkoszą grzeszną członki rzeźwiącej... Człowiek, błogiego doznając łechtania piasku, trawy, wody — zapomina kim jest: zapomina, że odciął go Bóg od przyrody nierozumnej — że wysoko ponad nią wyniósł, ku sobie przybliżył. Ziemia i woda, wichry i deszcze, skały i przepaście, łąki i lasy — wróg to natury ludzkiej odwieczny, zacięty, zazdrością tchnący, iż oto nie im, jeno człowiekowi użyczył obrazu swego Bóg — mamyż więc zniżać się do tego wroga, zbliżać i bratać się z nim, jednoczyć w rozkoszy hańbiącej? Przenigdy! Uciekać, jak najdalej uciekać — poza mury grube, i szaty grube, i podeszwy!"

Gerbert nie zgadza się z tym, by tylko uciekać. Należy walczyć, należy za wszelką cenę zrywać naturalistyczną łączność z przyrodą, „należy walczyć bronią potężną, jaką jest myśl człowiecza, na wzór Mądrości Przedwiecznej ukształtowana". Ale tak Romuald jak Gerbert na pewno są bliżej średniowiecza, aniżeli św. Wojciech pragnący głaskać pruskie lasy. Bo prymitywnego i nieświadomego siebie biologizmu, prymitywnego spojenia z naturą, było w tej epoce jeszcze zbyt wiele, by właśnie takie związki należało zalecać. Tymczasem u Gołubiewa zgoda na śmierć męczeńską jest zgodą ze światem, dostępną w wysublimowanej na podłożu naturalistycznym ekstazie.

IV

Kiedy śledzić, jakie tematy powieści historycznej przeniknęły z dwudziestolecia w lata obecne, a jakie natomiast straciły swoją aktualność, okazuje się, że żywotność wyczerpał temat porozbiorowy, związany albo z powstaniami, albo z epoką napoleońską. Do naszej powieści wniósł ten temat przede wszystkim Żeromski. Można by zatem przypuścić, że oddziaływanie Żeromskiego jako powieściopisarza historycznego już się w ogóle wyczerpało. Tym bardziej, że dwudziestolecie przekazuje wyraźnie latom obecnym temat średniowieczny, przesunięty we wczesną epokę piastowską.

Tymczasem przypuszczenie takie byłoby grubym błędem. Przemawia przeciwko niemu cykl Gołubiewa, w tych przede wszystkim właściwościach swoich, które co dopiero zostały omówione. Biologizm Gołubiewa pochodzi wprost ze szkoły Żeromskiego i jest nowym wydaniem ekstatycznego miłośnictwa świata, które posiadał ten pisarz. Ale Żeromski znał na równi uniesienia tego miłośnictwa, opiewał namiętnie urodę życia, przyrody i miłości, jak dawał

świadectwo żalowi nad przemijaniem, jak znał gorycz daremnych wspomnień. To drugie, gorzkie skrzydło urody życia niedostępne jest Gołubiewowi. Kto tę różnicę pragnie uchwycić na przykładzie bardzo dobitnym, niechaj porówna św. Wojciecha w ujęciu Żeromskiego *(Wiatr od morza)* z ujęciem Gołubiewa. U Gołubiewa dręczą wprawdzie przyszłego świętego uczucia, które tylko współczesny pisarz dostrzega — nuda istnienia, obrzydzenie do ludzi i świata — ale ani śladu u niego tej odwrotnej miłości bytu, jaką tak hojnie obdarza Żeromski swoją postać. Jego święty Wojciech to jakiś bolesny Heraklit zadumany nad mijaniem wszechrzeczy.

Biologizm Gołubiewa jest więc bardziej jednolity i prymitywny, i na pewno też bardziej ubogi w odcienie psychologiczne. Jest jak krzepa sienkiewiczowska podana w wieńcu naturalistycznych obrazów tego typu, w jakie obfitują np. *Gody Życia* Dygasińskiego.

Ale gdy o biologizmie mowa, nie możemy poprzestać na analogiach historyczno-literackich, ani też na wskazaniu sprzeczności w postawie myślowej. Krzepa biologiczna w prozie powojennej obejmuje tylu pisarzy, o sprzecznych skądinąd poglądach, że dorasta rozmiarów problemu zasługującego na to, by ukazać jego genezę społeczną w przeszłości oraz fałszywy, zawodny wydźwięk teraźniejszy. Nim to przy innej sposobności uczynię szerzej — oto główne punkty wywodu.

Biologizm w naszej literaturze jest tworem ubocznym tych wszystkich sytuacji ideowych, kiedy słabła myśl racjonalna, a tendencje postępowe ulegały stłumieniu przez tradycje sarmackie i wsteczne. U jego kolebki stoi sarmatyzm historyczny Rzewuskiego, a w obrębie pozytywizmu chwilowemu osłabieniu dążności poznawczych tego prądu znów towarzyszy pod piórem Sienkiewicza wybuch krzepy. Zjawiska zaś, które wokół tego problemu zachodzą w Młodej Polsce, nadają biologizmowi jakiś charakter pozornie autonomiczny, przenoszą go rzekomo tylko w sferę interpretacji filozoficznej.

Krzepa przeradza się w kult życia, w irracjonalną wiarę w życie (dużymi literami), które ponad sprzecznościami wszystko wyrównuje, tragicznie, mniej tragicznie. Biologizm odrywa się od swojej podstawy społecznej i udziela sobie pozornej samoistności. Przestaje rzekomo być jednym z objawów szlacheckiej kompensacji i niekontrolowanej wiary, że — „chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły nieźli są ludzie". Przestaje być w świadomości pisarzy, nie będziemy bowiem Żeromskiemu przypisywać rozmyślnej mistyfikacji, ale nie przestaje w apercepcji czytelnika. Wydźwięk społeczny niewiele się zmienia: czy zamiast myśli czytelnik otrzyma irracjonalizm z ciała, metafizykę z dobrze trawiącego brzucha, czy też metafizykę ŻYCIA, które samo z wszystkim daje sobie radę — wszystko jest jedno, różnice są pozorne.

Nie inny też jest wydźwięk społeczny tego stanowiska dzisiaj, a dzieło Gołubiewa dostarcza klasycznego przykładu. Zamierzywszy opowieść o konstrukcji państwa, o wysiłku organizacyjnym na jego prymitywnym i oczywistym stopniu, opowieść zatem godną zalecenia czytelnikowi, autor podbija ją podszewką biologiczną tak grubo, że w końcu okazuje się, iż właśnie przez tę podszewkę apeluje do czytelnika. Zamiast myśli — znów irracjonalizm z brzucha. Źródła literackie tego irracjonalizmu, ich oczyszczony i pozornie bardziej ufilozoficzniony skład chemiczny — Żeromski i jego pokolenie — nie zmieniają istotnego smaku owego apelu. Jesteśmy na tej samej linii co u Rzewuskiego, grubo spóźnionej i społecznie martwej, utwierdzającej czytelnika w nałogach, zamiast by te nałogi kruszyć.

Kontakty z Młodą Polską nie ograniczają się jedynie do tego okrojonego dziedzictwa filozoficznego po Żeromskim. Pełno ich w kompozycji i stylu utworu. Nad artystyczną stroną swej powieści Gołubiew panuje w sposób bardzo nierównomierny i płochliwy. W tym sensie płochliwy, że najbardziej oryginalny bywa w szczegółach kompozycji, w ciekawym własnym toku narracji, w samym biegu i układzie okresu zdaniowego, w dobrej i samorodnej budowie poszczególnej komórki powieściowej, ale na wyższych kondygnacjach się płoszy. Albo ulega całkowicie naciskowi tradycyjnego schematu powieściowego, albo też chwyta formuły stylistyczne żywcem przejęte z młodopolszczyzny. Sprzeczność biologizmu i chrześcijaństwa posiada w stylu utworu pełno odpowiedników i stąd artyzm *Bolesława Chrobrego* bywa jeszcze bardziej dwoisty, rozszczepiony i niekonsekwentny, aniżeli myśl pisarza.

Gołubiew posiada niewątpliwie własny i bardzo wyraźny tok zarówno poszczególnego okresu zdaniowego, jak całego ustępu narracyjnego. Tok niecierpliwy, przyspieszony, często pełen całkiem filmowej precyzji obrazów, w jeden bystry rytm układający zarówno elementy opisu, jak

wzruszenia czy doznania. To jakieś zrównanie wszystkich pierwiastków życia wobec jednego ich źródła biologicznego, które występuje w jego filozofii, znajduje odpowiednik w tym zrównaniu wszystkich elementów w zdaniu lub w odstępie. Narracja zadyszana i gorączkowa obsługiwana jest bowiem przez pamięć arcybogatą w szczegóły, tak bogatą, że aż nieskłonną do jakiegokolwiek wyboru wśród zasobów zapamiętanego.

„Zefrid skoczył swym drobnym, szybkim krokiem, porwał od tyłu Nieluba, tamten okręcił się, rąbnął mu pięścią między oczy, odrzucił do kąta, bryknął do progu, kopnął drzwi, wypadł na dwór, obrzucił wkoło wściekłym wzrokiem; Pąch tłukł się po obejściu, Nielub wrzasnął: — Konia mi! Szybko".

To typowe dla Gołubiewa zdanie.

„Przeprawili się przez Noteć, Nakło zostawiając na prawo, tamten brzeg był błotnisty, zarośnięty szuwarem, splątanym zielskiem wodnym. Czarne błoto ciągnęło za nogi, jeźdźcy prowadzili konie za powody, konie się zapadały, grzęzły, ludzie ratowali się społem. Bolko sapał, klął. Nad gęstwą widniały tylko ostre dzioby szłomów i łby końskie. Zielska chwytały za kolana, raz po raz wpadał któryś w lepkie błoto. Przewodnik krzyczał, że wnet trafią na starą groblę. Klęli słysząc jego wrzask. Paćkali się, wściekłość przeciw Jomsborgowi mieszała się z płynnym bagnem. Wreszcie przewodnik odnalazł zwalone w trzęsawisko kłody. Pnie ugrzęzły głęboko, były oślizłe, ani stanąć. Wyłazili na nie jak glisty, ci co byli dalej wrzeszczeli, by podać im włócznie. Konie ślizgały się, zapadały, kaleczyły nogi, strachały się, biły kopytami. W końcu przebrnęli bajoro, przeliczyli się, dziesiętnicy okrzykiwali dziesiątki. Trzy konie zostały w bagnie i dwóch ludzi".

To typowy ustęp narracyjny. Panuje w nim ten sam co w zdaniu niecierpliwy rytm, to samo zrównanie przeżyć i obserwacyj. Niestety, Gołubiew i tutaj bywa płochliwy. Rozbija okresy w rapsodyczne wersety, urozmaica narrację typowymi dla złej maniery Żeromskiego repetycjami słów: krótko — długo, cuda — cudeńka, baj — baje, dziwy — dziweńka, siłą — gwałtem, i tak dalej i tak dalej. Prężną swoją obserwację zastępuje potokami słów, wyliczeniami na ślepo i bez wyboru. A już najgorzej, kiedy straciwszy zaufanie do naturalnej i tęgiej w potrzebie poetyczności swej narracji, zaczyna poetyzować na sposób młodopolski. „Życie nie płynie jednym nurtem, by strumień; nie ciągnie się bez przerwy, by drożyna. Życie bucha, by płomień w czasie pożogi; jak uderzenia burzy; jak szaleństwa samotnego Bugaja. Życie jest porywem żądzy, porywem dziczy, odruchem i spazmem. Jest warem. Jest kipiącą, czarną smołą".

To bardzo smutne zdania, a podobnych bywa dużo w tej powieści. Smutne nie tylko przez swoją nic nie mówiącą treść, ale głównie jako oznaka dziwnego niedostatku samowiedzy artystycznej i smaku. Tylko temu należy przypisać rozdźwięki stylistyczne, bez jakich utwór mógł się doskonale obejść [1]).

Ten niedostatek nie tylko pochodzi z odziedziczonych a złych wzorów, zbyt częstych u Gołubiewa. Również i jego biologizm dociera do warstwy językowej utworu, a objawy zadyszki stylistycznej, które podnieciły Ważyka do sumarycznego potępienia (por. „Choroba stylu", *Odrodzenie* nr 43), ściśle się kojarzą z krzepą filozoficzną „jako taką". Niespokojny galop zdań, podrywanie ich za uzdę, osadzanie w tekście słów mocnych a dziwnych, skłonność do archaizacji, oto niektóre dowody. Ale Gołubiew nawet w obrębie tych znamion posiada perspektywy nieskażone młodopolszczyzną i nadmierną krzepą. Klątwa sumaryczna Ważyka — „obłęd stylistyczny" — w ustach krytyka byłaby grubą przesadą. Raczej rozplątujmy włókna i wskazujmy, które są zdrowe.

Niemniejsze rozszczepienie samowiedzy artystycznej znajdujemy w kompozycji powieści. Gołubiew doskonale sobie radzi z niewielkim rozdziałem. Rozdziały te spadają na czytelnika w sposób równie gorączkowy, wśród ustawicznych przeskoków od wątka do wątka akcji, jak spadają jego zdania. Nigdy nie posługuje się on informacją i skrótem, stale kreśli sytuacje realne z niewyczerpaną ochotą urodzonego bajarza. Ta metoda anegdoty powieściowej wraz z natłoczeniem osób i wydarzeń przypomina mocno *Piotra Wielkiego* A. Tołstoja, a wzór to nie byle jaki. Dlatego wśród poszczególnych scen znajdujemy wiele, które na pewno będą należeć do klasycznych w naszej powieści historycznej: śmierć Mieszka, Bolesław chłoszczący w łaźni, klęska u wałów Jomsborga, drużyna Bolesława, zabójstwo komornika Ludka, gadka o Wojciechu, biskupie praskim, narada królewska z wyniesieniem Piekuty, powrót Śliźnia z wyprawy na Prusy, a przede

[1]) Wartość stylizacji językowej u Gołubiewa oraz innych powieściopisarzy-historyków oceni w specjalnym artykule na łamach *Twórczości* prof. Witold Taszycki. Dlatego sprawy tej na razie nie poruszamy.

wszystkim najlepsza w powieści *Ofiara puszczy pruskiej* — czyli męczeństwo św. Wojciecha.

Natomiast w układzie i przeplocie kilku równoczesnych wątków powieściowych Gołubiew postępuje w sposób zbyt tradycyjny. O ile w poszczególnych rozdziałach całkiem zręcznie posługuje się relacją pochodzącą z kilku ust, albo też odsuwa wydarzenia tak, że słyszymy o nich dopiero z epickiej i gawędziarskiej odległości (oblężenie Jomsborga), albo też wreszcie w sposób symultaneistyczny zapowiada od razu szereg mających nastąpić epizodów *(Był upał)*, to w kompozycji ogólnej nikną te wszystkie sposoby odsuwające od czytelnika znużenie. Znużenie, które musi go ogarnąć, kiedy znajduje się ustawicznie pod obstrzałem faktów — padającym zawsze z tej samej odległości, zawsze w podobnym tempie. Nawał wydarzeń i osób, jeżeli podawany jest z kilku dystansów narracyjnych, zyskuje na zainteresowaniu, ponieważ sama narracja staje się wówczas dodatkową i dla współczesnego czytelnika najbardziej interesującą intrygą. Świetnie to zadanie rozwiązuje Parnicki. Gołubiew natomiast tworzy wielką i prawie że statyczną panoramę i tylko widzowi każe być w ruchu. Sam tego ruchu narracji wprowadza absolutnie za mało. Ruch zaś wydarzeń, intrygi, mało jest dzisiaj zdolny zafrapować w powieści, zwłaszcza historycznej, bo trudno w niej wiele nowego wymyślić. Wolimy po prostu film.

Również w skali odziedziczonych schematów, tak powieściowych, jak czysto historycznych, pojmuje Gołubiew stosunek akcji do odtwarzanej epoki. To mam na myśli, że wyzywa on po prostu te schematy, staje do pojedynku z nimi. Jeżeli historia jako centralne zjawiska panowania Bolesława Chrobrego ukazuje śmierć św. Wojciecha, wykupno jego zwłok i wizytę Ottona III, to Gołubiew czyni z nich również centralne miejsca akcji. Miejsca, którym poświęca najwięcej uwagi, do których czytelnika długo przygotowuje i długo jeszcze po ich odbyciu pozwala brzmieć echu. Gołubiew swoim wymyślonym wydarzeniom powieściowym nie nadaje niby obiektywnej wagi, tak jak to czyni np. Sienkiewicz, z niewielkich potyczek Jeremiego Wiśniowieckiego urządzający epokowe wydarzenia wojenne, bo tak mu z czysto powieściowej akcji wypadało. Kroczy on wiernie za nakazem historii, a jest to na pewno droga najtrudniejsza dla pisarza-historyka. Najtrudniejsza w tym sensie, że artystyczne szczyty jego narracji muszą przypaść tam, gdzie każe im przypaść sama historia, a nie wewnętrzna, samodzielna konwencja utworu.

Ten pojedynek ze schematami historycznymi Gołubiew wygrywa. Za wyjątkiem rozdziałów o wizycie Ottona III, w których wyraźnie mu zabrakło oddechu, dotrzymuje on kroku ryzyku tematu. Wydarzenia najważniejsze na mocy przekazu historycznego są zarazem najciekawsze artystycznie. Nie wygrywa jednak z równym powodzeniem pojedynku ze schematem intrygi powieściowej. Za dużo u niego spraw podsłuchanych i podpatrzonych, trucicielskich i podstępnych, podawanych czytelnikowi *ad oculos*.

Również w obrębie schematu tradycyjnego buduje Gołubiew swoje postaci powieściowe. Buduje z wynikiem zasadniczo pozytywnym. Doświadczenie powieści nowoczesnej ujawniło bowiem, że właśnie postać powieściowa najlepiej wytrzymuje ujęcie tradycyjne i pozbawione przesadnej komplikacji. Bardziej żyje postać sprowadzona do kilku rysów zasadniczych, byle one były odmieniane i cieniowane, aniżeli postać będąca szufladą na obserwacje psychologiczne wszelkiego gatunku. Gołubiew też tylko odmienia i cieniuje kilka właściwości zasadniczych, ale postacie, na których mu zależy, stara się wprowadzać w sytuacje, w jakich od samych wydarzeń bogacą się one i wydają coraz to inne, chociaż w istocie są zawsze te same i jednolite.

W ramach pojedynku ze schematem historycznym Gołubiew walczy przede wszystkim o wyraz psychiczny osób najważniejszych: Mieszka, Bolesława, św. Wojciecha. Walczy i wygrywa. Nieufny, podejrzliwy, skryty, napięty w radzie, popędliwy tylko w potrzebie, ohamowany ilekroć sytuacja tak nakazuje — jest Bolesław Chrobry najlepszą postacią książki. Na czujności i nieufności, doprawdy zwierzęcej, zbudowane jest też podobieństwo pomiędzy ojcem a synem, ich wspólne pomazanie władzą, która nigdy swoim wybrańcom nie daje spoczynku i wytchnienia.

„Ta chwila, gdy (Bolesław) pierwszy raz uśmiechnął się, by ukryć miotające nim gwałtowne uczucia, zapadła już w tak daleką przeszłość, że zdawała się kryć za fałdzistą, nieprzenikliwą zasłoną, dzielącą dzień dojrzałości od ostatniego dnia dzieciństwa w babińcu, pełnego beztroski, nieudawania. A jednak gdy dobrze wytężył wzrok, widział przez tę zasłonę swego ojca, młodszego o lat bez mała dwadzieścia, pełnego sił męskiej jarości. Gdy Mieszka wchodził swym kołyszącym się nieco krokiem pałąkowatych nóg, niski bardzo i krępy, z głową wsadzoną głęboko w ramiona

i pochyloną jakby do uderzenia guzatym łbem, z przenikliwymi, wiecznie czujnymi oczyma wojownika i władcy, szare oczy Dobrawy wyrażały uległe poddanie. Kładła dłoń na karku Bolesława — jej tarczy i podstawie jej znaczenia na dworze — i wiodła go do ojca ruchem pełnym godności. Mieszka patrzył nań prędko, w głębokim chwilowym zamyśleniu, zaraz odwracał go, lekkim pchnięciem oddalał do siebie, siadał ciężko na zydlu. Były to zapewne jedyne jego chwile wytchnienia i wygładzenia się namiętności — tu tylko wobec głębokiego spokoju Dobrawy zatracał swą nieustanną ruchliwość, siedział chwilę nieruchomy, jakby zwiędły, bezmyślnie oglądał się dokoła. Głowa mu zapadała jeszcze mocniej w ramiona, bruzdy na czole i koło ust płytczały, mięśnie rozprężały się w leniwym uczuciu bezpieczeństwa".

Zwracamy uwagę tylko na Mieszka i Bolesława, ale fauna ludzka tego utworu jest jak fauna puszczy. Bogata w okazy, bardziej skąpa w gatunki. To znamię puszczy, jakby powiedział Norwid, które Gołubiew świadomie powołuje do istnienia, kładzie bowiem swoje piętno na wszystkich częściach jego dzieła. I jak w prawdziwej puszczy, napotkaliśmy w nim połacie pełne ujmującej świeżości, ale też i takie, gdzie przychodziło grzęznąć. Więcej tych świeżych połaci było w temacie i jego wymaganiach anegdotyczno-historycznych, więcej natomiast grzęzawiska w opracowaniu literackim.

Czytelnik, który przebrnął przez wątpliwości i zastrzeżenia, jakimi obstawiło się powieści Gołubiewa, gotów uznać, że stanowisko krytyka jest zasadniczo niechętne. Pomyliłby się w takim domyśle i dlatego jeszcze kilka zdań. *Bolesław Chrobry* należy do tych całkiem nielicznych powieści powojennych, od których można wymagać wiele, ponieważ sam autor swoimi osiągnięciami daje prawo do takich wymagań. Jeżeli pisarz śmiało się mierzy z głównymi wymaganiami tematu, jeżeli nie obchodzi ich bokiem, jest w tym niewątpliwa odwaga. Uwieńczona powodzeniem zarówno kiedy daje wizję codziennego dnia Polski Piastowskiej, jak wówczas, gdy sięga po jej tryumfy i niezwykłe postacie.

To zwycięskie ryzyko wobec tematu daje podstawę, by żądać od Gołubiewa równego ryzyka wobec artyzmu, równej samowiedzy pisarskiej oraz myślowej, szczególnie gdy ulega on panbiologicznemu zaślepieniu. Również dziedzictwo młodopolskie jest w tej książce zbyteczne i tylko rozcieńcza jej walor. Kiedy w pozostających do napisania tomach Gołubiew pozbędzie się tego martwego balastu, zrozumie wówczas zapewne, że i w obrębie swej niepohamowanej narracji powinien wybierać, skracać, pozostawiać domyślności czytelnika. Zrozumie, że przemilczenie bywa środkiem pisarskim skuteczniejszym często od rozpasanego słowa. Jego *Bolesław Chrobry* już teraz posiada wszelkie szanse, ażeby pozostać w trwałym dorobku naszej powieści historycznej, a szanse te jeszcze może pomnożyć.

Kazimierz Wyka

PANOWANIE MIESZKA

KAROL BUNSCH: *Dzikowy skarb.* Powieść z czasów Mieszka I w dwóch tomach. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1945; t. I — str. 335 i 1 nl; t. II — str. 321 i 3 nl.

— *Ojciec i syn.* Powieść historyczna w dwóch tomach. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1946; t. I — str. 307 i 5 nl; t. II — sttr. 315 i 3 nl.

Powieści Bunscha: *Dzikowy skarb* i późniejszego, treściowo się z nią łączącego *Ojca i syna,* zacząłem czytać jako językoznawca, wiedziony ciekawością, jak też sobie radzi autor z archaizacją. Doznałem od tej strony zawodu, ponieważ Bunsch nie archaizuje, poprzestając na lekkim podbarwieniu języka staroświeckimi lub gwarowymi wyrazami, czasem też ogólny tok zdania bywa niedzisiejszy. Dobrą tego próbką może być opowiadanie Gawrona *(Dzikowy skarb,* I, 128-31).

Jest to wybrnięcie z sytuacji raczej chwalebne, bo zwykle archaizacyjny wysiłek autorów bywa niewspółmierny z wynikami, zwłaszcza gdy są mierzone wymaganiami znawców; lepiej kłopotliwych zabiegów zupełnie poniechać. W *Ojcu i synu* jedynie bliźniaki Miłosza i Otłoka zatrącają gwarą dość mocno, co ma pewnie w zamierzeniu autora oznaczać, że są jeszcze niedorostkami, którzy się nie otarli o szerszy świat i z jego sposobem mówienia nie zapoznali. Podobnie Dzik, jako człowiek nieokrzesany, pozwala sobie czasem na grubsze słowo; „mam go w zadku" albo „lać" — oto cała grubość; najwidoczniej

więc autor poddał jego oświadczenia surowej cenzurze. Nie chcę się tu głębiej zapuszczać w sprawy składni i gwary, pomijam też wspomniane staroświeckie wyrazy, czasem stosownie, czasem zaś niestosownie użyte, ponieważ w całości stylu nie odgrywają istotnej roli. O imionach użytych w *Dzikowym skarbie* pisałem już rok temu w *Dzienniku Polskim* (nr 65), nie tając swoich zastrzeżeń, przed którymi się autor potem tamże bronił. W mniejszym stopniu można te same zastrzeżenia wysunąć pod adresem nowej powieści. I to jednak pozostawiając na boku, ograniczam się do kłusowniczej wycieczki w sferę krytyki literackiej.

W czterech tomach obu powieści zamknął Bunsch całe panowanie Mieszka. *Dzikowy skarb* obejmuje z tego zaledwie cztery lata z wypadkami, które historycy znają tylko ze skąpych wzmianek kronikarskich, dających się zmieścić bodaj na jednej stronicy. Tę krzywdę wyrządzoną owym czasom przez zwięzłość kronikarzy starają się nadrobić współcześni historycy jak umieją, toteż każda wzmianka została przez nich osnuta całą biblioteką fantazji, domysłów i namiętnych dyskusji.

Czerpie z nich Bunsch pełną garścią. W *Dzikowym skarbie* mieści się wszystkiego pięć historycznych zdarzeń: klęska Mieszka w r. 965, za czym przyszedł obowiązek płacenia cesarzowi daniny aż po Wartę, małżeństwo z Dąbrówką, chrzest Mieszka, narodziny Chrobrego i bitwa pod Cydyną; na odpowiedzialność niektórych historyków dołączył do nich jeszcze autor podbój Mazowsza i Grodów Czerwieńskich. *Ojciec i syn* objął dalsze dzieje Mieszkowego panowania, znacznie obfitsze w wypadki. Na pierwszy plan rychło się wysuwa spór Mieszka i Bolesława w związku ze spadkiem po Mieszku i ewentualnym podziałem państwa między synów Mieszka z Ody. W te dzieje państwa i rodu Piastów wplątane są prywatne perypetie leśnego osiłka, Dzika, w pierwszej powieści, a bliźniaczej pary, Miłoszy i Otłoki, w drugiej. Ich losy są jednak tak zepchnięte na dalszy plan, że czytelnik nigdy nie zapomina, kto jest właściwym bohaterem powieści.

Tematycznie więc są powieści Bunscha objawem osobliwego, spontanicznego zajęcia się przez wielu naraz piastowskim okresem zmagań się z Niemcami. Wojna, podczas której Bunsch pisał, wyraźnie przegląda między wierszami, a dawne wypadki opisane są nieraz z dzisiejszego punktu widzenia. W pewnym sensie są powieści Bunscha powieściami współczesnymi.

Charakterystyczną cechą twórczości Bunscha jest niezwykła dbałość o prawdę historyczną. Choć się porusza w czasach, których badacze nazbyt często brak źródłowych wiadomości nadrabiają własną fantazją, stara się być jak najbardziej ścisły. Po ukazaniu się *Dzikowego skarbu* spotkały go słowa uznania z ust specjalisty, prof. Widajewicza (w *Dzienniku Polskim*), który zganił tylko charakterystykę Dąbrówki i uśmiercenie Ścibora, Mieszkowego brata, w bitwie pod Cydyną. Ten drugi zarzut uznał autor w odpowiedzi za swój błąd, ponieważ ta śmierć pociągnęła za sobą pewne artystyczne konsekwencje. Swoją drogą, śmierci Ścibora zawdzięczamy najlepszy chyba obraz (pogrzeb bohatera) w obu powieściach.

W nowej powieści „autentyzm" dochodzi do raczej zabawnej przesady. Mam na myśli uwagi pod tekstem, które podają daty pewnych wypadków albo miejsce aktualnie wyzyskanej kroniki. Czasem są to naprawdę błahe drobiazgi. Kogóż np. może obchodzić, czy Thornstein proszony przez Jaskotela na swata był postacią historyczną i czy umarł w 1000 r., czy też w innym. Idąc dalej w tym kierunku, powinni autorzy w konkursie na utwór o miasteczku powoływać się na Rocznik Statystyczny. W imię autentyczności zmienił też autor imię Dubrawki (tak w *Dzikowym skarbie*) na Dobrawkę. Natomiast autentyzm nie sięga realiów. Pod tym względem rzecz rozgrywa się w próżni i bez trudu można by sobie podstawić dzisiejszy strój, mieszkanie itp., a nawet psychikę.

Zdradziwszy się już w *Dzikowym skarbie* z sympatiami do Dąbrówki (wolę tradycyjną nazwę), pozostał jej Bunsch wierny aż do śmierci opisanej w tomie *Ojciec i syn*. Chce w ten sposób świadomie naprawić krzywdę wyrządzoną jakoby jej pamięci przez czeskiego kronikarza Kosmasa, który się bardzo niepochlebnie wyrażał o jej prowadzeniu się. Miał może Kosmas rację, skoro imię to nie powtórzyło się nigdy w rodzinie Piastów. Mniejsza o to, ważniejsze, że autor ją wycackał na matronę bez skazy. Bo to i żona wierna, i matka troskliwa, i opiekunka ubogich, i protektorka nauki (coś jak później Jadwiga), a nawet z rządami w czasie choroby męża świetnie sobie umie poradzić.

Podobnie wypieszczony został Mieszko. Sprawiedliwy, po prostu w tym nieomylny, dobry dla słabych, dzielny wódz, znakomity dyplomata, w ogóle człowiek bez skazy. Z cesarzem gada, że proszę siadać! Inni tylko na schodach takie mądre rozmowy prowadzą („on mi tak, a ja mu tak! on na to tak, a ja wtedy tak!"). Talentem

dyskusyjnym odznaczają się prawie wszystkie osoby, nawet starego Ziemomysła, na pół już żywego, stać jeszcze na polemikę. Postacie zaś niższego rzędu, np. otoczenie Dzika, z pasją lubią się przekomarzać i docinać sobie uszczypliwościami.

W ogóle czytając powieści Bunscha przebywa się bez przerwy w samym szlachetnym towarzystwie. Nawet gdy stary Audun klnie, to w tak doskonałym stopniu, że tylko wzmacnia łaski, którymi się cieszył u autora. Na odwrót, Niemcy są uczernieni na gładko. Wpływ to oczywiście naszych wojennych przeżyć. Autor nie tylko bohaterów obdarzył cnotami, ale zachował tkliwe serce dla roślin, tak im współczując pewnego razu: „przewracali się po łączce, jeden drugiego przemóc usiłując, niebaczni że łamią i tratują niewinne kwiecie". Tę więc jednobarwność charakterów trzeba zanotować jako pierwszy minus powieści.

Drugim minusem jest przeładowanie wiadomościami historycznymi. Autor tak się nimi obciążył czytając monografie historyczne, że się nie może oswobodzić spod ich natłoku. Nie ma dla nich, rzecz jasna, miejsca w samej akcji — na to by trzeba napisać znacznie więcej tomów — więc rozpycha nimi opowiadanie. Wtyka szczegóły drugo- i trzeciorzędne, aż się to czytelnikowi w głowie zaczyna mieszać. Nawet w rezultacie sam autor nie ma głowy na rzeczy ważniejsze.

Typowy przykład to małżeństwo z Odą. Zawarł je Mieszko z zimnego wyrachowania politycznego, z czasem jednak przylgnął sercem do młodej żony i dzieci. To zaangażowanie uczucia niesłychanie mu skomplikowało sprawy państwowe. Powstał więc wdzięczny dla pisarza węzeł dramatyczny, Bunsch jednak przechodzi obok niego, jak zresztą nie silił się na przedstawienie, jak Oda opanowała Mieszka, człowieka, któremu kobiety nie były dziwne: wszak ich siedem odprawił, żeniąc się z Dąbrówką. Także zmiany zachodzące w Bolku są zbyte krótko; ot, Jaskolet pewnego razu, po miesięcznym niewidzeniu się, spostrzega w nim pana i przechodzi z „ty", na „wy". Tak się odbyło przeobrażenie chłopca w księcia. Nie ma więc Bunsch ambicji odmalowania psychiki ludzkiej (tzw. „bicia się z myślami", które czasem uprawiają bohaterzy Bunscha, nie uważam za ekwiwalent), jak nie stara się o szerszy obraz społeczeństwa, co było np. ambicją Gołubiewa. *Ojciec i syn* — to zbeletryzowana kronika wydarzeń politycznych.

Najważniejszym chwytem, który ma robić nastrój dawności, są efekty niesamowitości, ponieważ widocznie niesamowitość i magia wydawały się autorowi koniecznością w czasach na pół pogańskich. Niesamowity jest przede wszystkim Zbrozło. Wprowadza go Bunsch już w *Dzikowym skarbie* i przedstawia nam przy pierwszym jego występie długą litanię jego rzeczywiście niezwykłych talentów. Umie on hipnotyzować i leczyć, umie przewidywać przyszłość. Sama jego obecność rzuca na ludzi lęk. Wyrasta, gdzie go nie posieją, byle był potrzebny. Jego lekki chód, niesłychanie czuły słuch przywodzą na myśl słynnego Winnetou i Old Shatterhanda, bohaterów powieści Karola Maya.

Zbrozło — to symbol walki z Niemcami, człowiek bezkompromisowy, nie uznający nawet takich kompromisów, co by się miały Niemcom na dłuższą metę nie opłacić. Co do tego jest on antagonistą Mieszka, który woli podleźć, gdy widzi, że nie może przeskoczyć. On jest motorem powstania Słowian połabskich przeciwko Niemcom, zakończonego niestety, po wstępnych sukcesach, straszną klęską, której nawet cudowny Zbrozło nie umiał zapobiec: ledwie sam z życiem uszedł. Więcej miał szczęścia, gdy dowodząc polskimi posiłkami cesarza wyciął w pień, w zamieszaniu bitewnym, jazdę biskupa Poppona. Bardzo był z siebie dumny, że osłabił potencjał wojenny Niemców, ale... zapomniał wraz z autorem, że jezdni Poppona byli Serbami, tymi samymi, za którymi się ujmował, gdy ich biskup nazywał parszywymi. Chcąc dorzucić Zbroźle listek laurowy do wieńca sławy zagalopował się autor za daleko. Nadzwyczajne zalety niektórych bohaterów są łącznikiem między powieściami Bunscha a awanturniczą literaturą dla młodzieży.

Techniczne niewyrobienie autora widać także w opisach przyrody. Pomiędzy zjawiskami w przyrodzie a przyżyciami ludzi zachodzi stały paralelizm. Np. opis jesieni poprzedza śmierć Dąbrówki, a burza zapowiada przybycie Zbrozły do Mieszka ze złymi wiadomościami. Gdy rozmowa z nim wyjaśni ponure myśli Mieszka, to i w przyrodzie nastąpi przejaśnienie. Taki paralelizm bywa oczywiście stosowany przez autorów, nie powinien się jednak rzucać w oczy. Szwy i zakładki roboty pisarskiej powinny być ukryte.

Innym technicznym naiwizmem jest w *Ojcu i synu* para bliźniaków, którzy się z sobą wciąż kłócą i biją, co ma czytelnika bawić. Możliwe, iż młodego czytelnika będą istotnie rozśmieszać, ale nieco bardziej oczytanemu muszą przypomnieć wiele przekomarzających się par, a ponieważ komiczność Miłoszy i Otłoki nie jest szcze-

Pozostałe w ograniczonej ilości

KOMPLETY MIESIĘCZNIKA »TWÓRCZOŚĆ«

za rok 1945 i 1946

mogą nabywać

w okresie od 15-go listopada do 31-go grudnia 1947 roku

BIBLIOTEKI

ŚWIETLICE

CZYTELNICY

Komplet za rok 1945 składa się z 5 zeszytów, łącznie stron 932, cena 140 zł, poprzednio 200 zł.

Komplet za rok 1946 składa się z 11 zeszytów (jeden numer podwójny), łącznie stron 2112, cena 490 zł, poprzednio 700 zł.

Zamówienia należy kierować na adres Prenumeraty Wydawnictw „Czytelnika", Kraków, Powiśle 6, wpłacając jednocześnie należność na konto P. K. O. IV 1632.

0374608